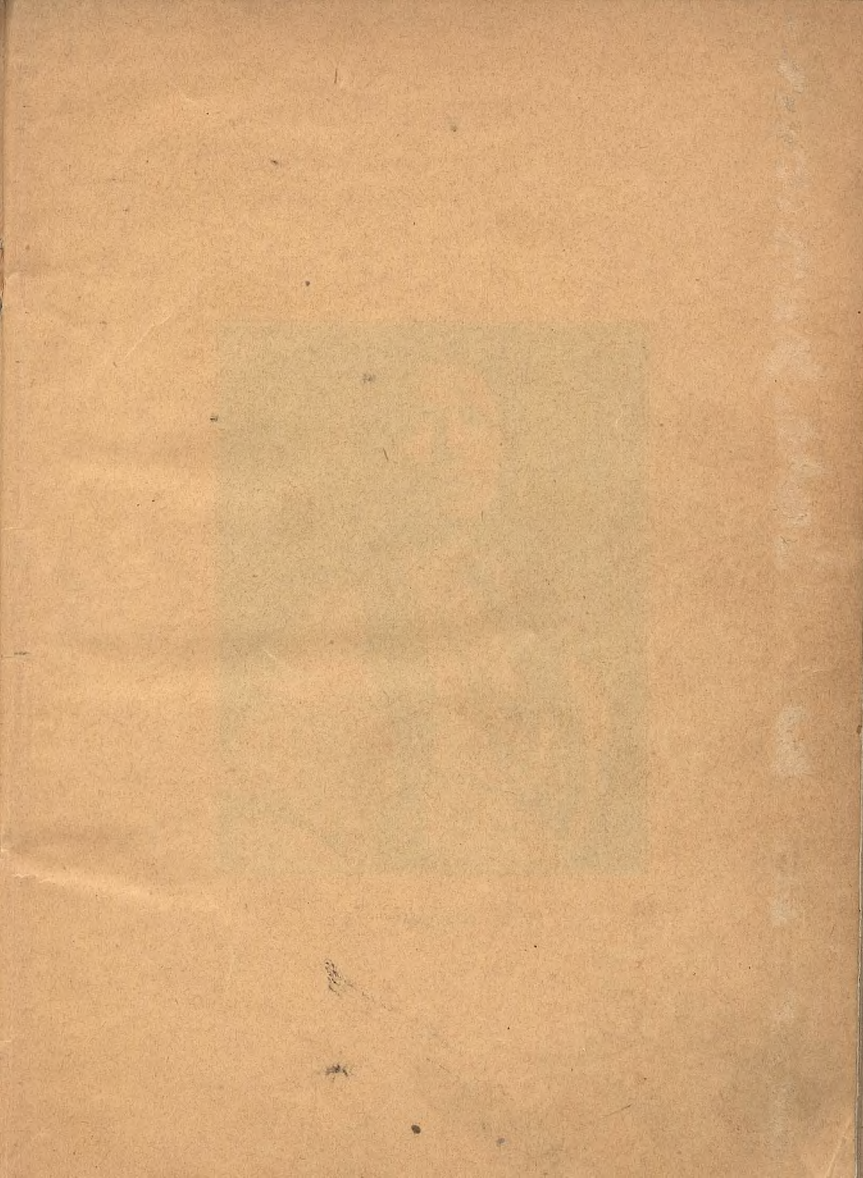


13216/70

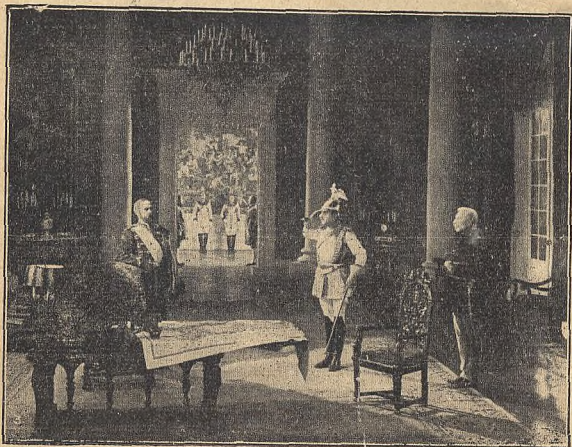




Sangara.



Bal w Kremlu.



W gabinetcie cara.

JULJUSZ VERNE

KURJER CARSKI

(MICHAŁ STROGOW — OD MOSKWI DO IRKUCKA)

OPRACOWAŁ

LEO BELMONT



NAKLAD BIBLIOTEKI GROSZOWEJ Sp. z ogr. odp.
Warszawa, Moniuszki 11

LP II 4 d 2

319888

I

BIBLIOTEKA GROSZOWA

Wydawnictwo Tygodniowe

Redaktor H. Zajączkowski

Wydawca Biblioteka Groszowa

Sp. z o. o.

Warszawa, ul. Moniuszki 11

WARUNKI PRENUMERATY:

Łącznie z dodatkami do każdego tomu i przesyłką pocztową
kwartalnie (za 13 książek) Zł. 9 gr. 95
miesięcznie „ 3 „ 35
w oprowie kwartalnie . . „ 13 „ 95

*Prenumeratę przyjmuje Administracja
Biblioteki Groszowej.*

Nowo przybywający kwartalni prenumeratorzy otrzymują bezpłatnie
dodatki dla młodzieży, które się dotąd ukazały.

Znak 95 groszowego wydawnictwa prawnie zarejestrowany
i naśladownictwa będą sądownie ścigane



K-70/13216
9.7. 24.-

Zakłady Graficzne „Drukarnia Bankowa”
Warszawa, Moniuszki 11, telefon 190-93.

SŁÓWKO WSTĘPNE.

Juljusz Verne, jak Roger Bacon (wiek XIII), jak Leonardo da Vinci, potrafił fantazją nakreślać drogi cudownemu postępowi techniki i nauki, malując statek Kapitana Nemo „Nautilusa“ krążącego w głębokościach mórz — przewidział współczesne łodzie podwodne i możliwość żeglugi poprzez wody oceanów. On to w powieści „Robur — zwycięzca“ z potężnym uporem myśliciela stwierdził, że nad balonami wezmą górę maszyny, cięższe od powietrza, urzeczywistnione przez dzisiejszy geniusz techniczny w aeroplanach.

A temu mądrym fantascie, wysyłajacemu wyobraźnią pociski na księżyc, odpowiada dzisiaj wyliczenie matematyczne uczonego Amerykanina — inżyniera, gotującego się tego lata posłać podobny pocisk na naszego najbliższego satelitę z możliwością powrotu, opartą na danych naukowych.

O ścisłości wiedzy, o obszernych studjach bibliotecznych, Juljusza Verne'a, przedsiębranych, zanim zasiadł do pisania jakiegokolwiek z licznych swoich powieści, niechaj zaświadczy przykładowo nieznaną dotąd czytelnikowi polskiemu, dziwem niedostrzeżona

przez jego licznych tłumaczy, acz uwieczniona przez Akademię Francuską powieść o podróży Michała Strogowa „od Moskwy do Irkucka”

Historja Michała Strogowa, przerobiona na scenę, nie schodziła z repertuaru popularnego teatru paryskiego (Châtelet) przeszło rok cały; zgromadzała widzów dzień w dzień przez 380 wieczorów!

Obeonie kinematograf sięgnął do tej skarbnicy malowniczych obrazów i mocnych wrażeń, rzucił dzieje podróży i duszy Strogowa wraz z przedziwnem tłem tatarskiego najazdu i natury syberyjskiej na ekran.

12 Kwietnia 1926 r.

Leo Belmont.

ROZDZIAŁ I .

Bal w Nowym Pałacu.

- Najjaśniejszy Panie, znowu depesza!
- Skąd?
- Z Tomska.
- Czy dalej, za Tomskiem, telegraf przerwany?
- Tak, od wczoraj.
- Niech mi telegrafują z Tomska co godzinę.
- Rozkaz! — skłonił się generał Kisow.

Te słowa zamienione zostały w chwili, gdy w Pałacu Nowym bal rozwijał całą pełnię swego przepychu. Była godzina druga nad ranem.

Grały orkiestry pułków Preobrażeńskiego i Pawłowskiego. Brzmiały tony mazurów, polek, walców... Bez końca przewijały się pary taneczne wśród wspnianych sal tego pałacu. Marszałek Dworu umiejętnie organizował kontredanse, w których brali udział Wielcy Książęta, ich Małżonki, szambelanowie, frejliny. Wielkie Księżne, lśniące brylantami, damy ze świty, przystrojone galowo, dawały przykład tanecznej ochoty żonom wyższych urzędników wojskowych i cywilnych. Dano sygnał do poloneza. W pochodzie uroczystym wykwinnych par lśniły barwy strojów narodowych, po włóczystych sukien, obszytych koronkami, szamerowania uniformów, stwarzając w oślepiającym

blasku żyrandoli nieopisanie czarujący widok... Dokoła błyszcząły marmurowe kolumny, migotały złocenia wysokich sklepień, gorzały purpurowe portjery u okien i wejść.

Przez szerokie okna światło salonów strzelało czerwienią w otulającą pałac, czarną noc. Stojący we framugach, nietańczący goście, pociągnięci tym kontrastem, mogli przez szyby obserwować zarysowujące się w cieniach olbrzymie sylwety stłoczonych dzwonnicy. Widzieli tuż pod rzeźbionymi balkonami przechadzające się miarowo, liczne straże, z karabinami na ramieniu. Od czasu do czasu z ulicy dochodziły tony trąbek posterunkowych, wdzierając się w rytm orkiestrowej muzyki na balu. Dalej jeszcze w skośnych promieniach, wypadających z pałacu, widniały na wąskiej rzece nieruchome barki w przystani.

Ten, który wydawał ów bal i którego generał Kisow mianował tytułem najwyższym — miał na sobie skromny uniform oficera pułku strzelców. Nie była to poza skromności, lecz przyzwyczajenie człowieka, nie nadającego zbytnej wagi wyglądowi zewnętrznemu. Ten kontrast uderzał jednak mocno, gdy Wysoki Gospodarz ukazywał się od czasu do czasu wśród swojej swity Kozaków i Lezginów, odznaczających się świetnością uniformów kaukaskich.

Wzrostu wysokiego, o gestach uprzejmych, z twarzą spokojną — wszelako z przejściowemi zmarszczkami troski na czole — przechodził od grupy do grupy, ale mówił mało i zdawał się udzielać tylko przelotną uwagę czy to wesołym okrzykiem zaproszonej młodzieży, czy nawet poważniejszym słowem wysokich urzędników i członków ciała dyplomatycznego, reprezentujących przy nim główne państwa Europy. Dwóch czy trzech polityków — fizjonomistów z zawodu — zauważyło na twarzy Gospodarza balu ja-

kieś oznaki niepokoju, lecz o przyczynę zapytać nie śmieli. Sam „oficer gwardji” niewątpliwie dbał o to, aby jego tajne troski nie mąciły wesela gości; a że należał do tych Suwerenów świata, których myśl, nawet niewypowiedziana, staje się rozkazem — uciecha balu nie ustawała ani na chwilę.

Przeczytawszy depezę, spochmurniał. Mimo-woli położył rękę na rękojeści szabli, drugą osłonił oczy.

Czy raziło go światło, czy chciał ukryć wzruszenie? Usunął się wraz z generałem w cień framugi.

— Zatem od wczoraj jesteśmy pozbawieni komunikacji z moim Wielko-książęcym bratem — podjął przerwana rozmowę.

— Niestety, tak! Depesze nie przedrą się już przez front syberyjski.

— Ale wojska Amurskie, Jakuckie i Zabajkalskie pomaszzerowały już na Irkuck?

— To był ostatni rozkaz telegraficzny, który udało się nam przesłać za jezioro Bajkał.

— Jesteśmy w komunikacji stałej od początku najazdu z gubernatorami Jenisejska, Omska, Semipalatyńska i Tobolska — nieprawdaż?

— Tak, Najjaśniejszy Panie! I pewni jesteśmy, że Tatarzy *) nie przeszli poza rzekę Irtysz i Ob.

— A o zdrajcy, Iwanie Ogarewie są jakie wiadomości?

— Nic nowego. Szef policji nie wie, czy przeszedł za nasz front.

— Należy posłać zawiadomienia o nim do Niż-

*) W oryg. franc. Tartarzy. Nazwa ta oznacza nie jedno plemię mongolskie, ale trzy narody: Mongołów, Tunguzów i Turków. Tu stosuje się do plemion, zamieszkujących Azję środkową.

szego Nowogrodu, Ekaterynburga, Kassimowa, Tiumieni, Iszumu, Omska, Elamska, Koływani, Tomska — do wszystkich stacji telegraficznych, z którymi korespondencja nie jest dotąd przerwana.

— Rozkaz Waszej Cesarskiej Mości będzie wykonany natychmiast.

— I zachować milczenie o tem wszystkim!

Generał wmieszał się w tłum i niepostrzeżenie znikł z sali. Rozkazodawca znowu zbliżył się do grup wojskowych i dyplomatów. Twarz jego przybrała uprzedni wyraz spokoju.

Jakkolwiek rozmowa powyższa prowadzona była cichaczem, nie uszła całkiem uwagi. Były osoby wysokiej rangi i dyplomatycznego stanowiska, które wiedziały cośkolwiek o wypadkach zaszłych za frontem, lecz rozumiały obowiązek milczenia. Wszelako dwóch zaproszonych, nie przybranych w mundury i nie noszących żadnej oznaki, rozmawiało przyciszonym głosem na ten temat. Obaj zdawali się posiadać informacje dość ściśle.

Albowiem, chociaż to byli zwykli śmiertelnicy, nieobdarzeni zdolnością jasnowidzenia, jednak na mocy swego zawodu, nakazującego im przenikać sekrety nagłębsze i zdobywać informacje dla informowania innych — potrafili sięgać węchem, słuchem, i wzrokiem poza granice, zakreślone dla innych. Słowem, byli to dziennikarze!

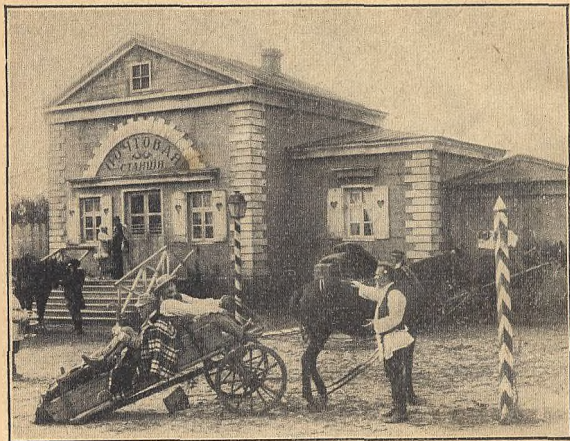
Jeden był Anglikiem, drugi — Francuzem. Obaj wysocy i chudzi. Ten — brunet, jak południowcy Prowancji; tamten — ryży, jak gentleman z Lancashire. Aglo-Normandczyk, powściągliwy w słowach i gestach, zimny, flegmatyczny, mówił z przystankami, stereotypowo, li pod naciskiem spraw ważnych. Gallo-Romańczyk, przeciwnie, ruchliwy i gadatliwy, oczyma, rękoma, słowami — na dwadzieścia sposobów wypo-



Nadi odmówiono wizy.



Nadja była zrozpaczona.



Jolivet i Blount przybyli oryginalnie.



— „Konie są moje!..“

wiadał myśl każdą. Fizjonomista ocenilby nadto poza temi widocznymi różnicami kontrast fizjologiczny charakterów rasowych: Francuz był całkowicie okiem, Anglik był cały uchem.

Pierwszy posiadał w źrenicach bodaj talent prestidigatora, zauważającego kartę w szybkim ruchu tasowania talji; miał coś więcej nadto: pamięć oka. Drugi wyćwiczonym słuchem chwycił szepty i po dziesiątku lat rozpoznawał głos, raz zasłyszany. A jakkolwiek uszy ludzkie według przyrodników—są prawie nieruchome i nie nadają się do strzyżenia, jak u zwierząt, aparat słuchowy dziennikarza angielskiego przez lekkie nachylenia i zwroty głowy stał na równi z wrażliwością psią na dźwięki.

Daily-Telegraph cenil wysoko tę doskonałość słuchu swego korespondenta. Co do Francuza—wzrok jego musiał być również ceniony... Ale przez jaki dziennik — nie wiedziano. On sam powiadał, że koresponduje ze swoją „kuzynką Magdaleną“. Bowiem godzi się zaznaczyć, że mimo pozornej otwartości subtelny francuz bodaj dyskrecją prześcigał swego angielskiego kolegę. Nawet gadatliwość służyła mu niejako do lepszego ukrycia myśli.

Obaj znaleźli się na uroczystości w Nowym Pałacu w noc z 15 na 16 lipca*), jako dziennikarze, i gwoli potrzebom swoich czytelników. Obaj miłowali swój zawód, jako misję. Z zimną krwią i brawurą, nieustraszeni szli na trudy swego rzemiosła, gotowi przesadzać mury, przepływać rzeki w wyścigu polowania na nowości i bodajby paść bez tchu, jak ów szybko biegacz ateński, aby zdobyć pierwszeństwo w przynie-

*) Autor nie podaje daty roku. Prawdopodobnie wypadki tej powieści rozgrywają się w połowie siódmego dziesiątka lat zeszłego wieku, ok. r. 1864.

sieniu ważnej wieści! Redakcje nie szczędziły pieniędzy, aby im ułatwić możliwość przenikania wszędzie. Tu zaznaczymy ku honorowi obu dziennikarzy, że nie kusili się oni wglądać w tajemnice prywatne i uprawiali od lat wielu jedynie „wielką reporterkę polityczną i militarną.”

Alcyd Jolivet i Harry Blount spotkali się na owym balu po raz pierwszy w życiu. Tak różni charakterami a podobni zawodem, co wywoływało konkurencję w informowaniu publiczności europejskiej, nie mogli być zbyt pociągnięci ku sobie. Lecz obaj dyplomatycznie szukali zbliżenia i może korzyści z rozmowy — dwaj polujący na jednym terytorjum, lecz świadomi granicy swoich przywilejów. Oko jednego mogło przysłużyć się uchu drugiego i odwrotnie. Obaj zwietrzyli coś w powietrzu tego wieczora. Bodajby tylko nie był to przelot kaczki dziennikarskiej, niegodnej wystrzału.

— Ten balik jest czarujący! — rozpoczął Jolivet rozmowę manierą wybitnie francuską.

— Już telegrafowałem: „splendid!” — odparł z flegmą Blount, akcentując ten zwykły wyraz zachwytu angielskiego.

— I ja... mojej kuzynce Magdalenie.

— Kuzynce?—zdziwił się Blount.

— Tak, to ją interesuje. Nawet musiałem jej donieść o tem, że oblicze naszego Wysokiego Gospodarza zaćmił, zdaje się, lekki obłoczek...

— A mnie się wydał ono promiennem — rzekł Blount, może kryjąc swoje spostrzeżenie podobne.

— I nakazałeś mu pan promienieć na szpaltach Daily-Telegraf'u!...

— Oczywiście!

— A pamiętasz pan bal w r. 1812?

— Jakbym tam był!—wycedził z uśmiechem Anglik.

— Zatem wiesz pan—kończył Jolivet — że podczas balu, wyprawionego na cześć cesarza, Aleksandrowi I doniesiono, iż Napoleon przeszedł Niemen z awangardą wojsk francuskich. Jakkolwiek ta nowina mogła być zapowiedzią utraty cesarstwa, cesarz nie pozwolił, aby niepokój zmącił ucztę...

— Naturalnie pan nie czyni aluzji do przyniesionej przez generała Kisowa wiadomości o przerwaniu drutów pomiędzy frontem i gubernatorstwem Irkuckiem.

— Al pan zna ten szczegół?!

— Troszeczkę.

— Ja też. Muszę go znać. Moja ostatnia depesza doszła tylko do Udińska — rzekł z zadowoleniem Jolivet.

— Moja tylko do Krasnojarska — zauważył nie mniej zadowolony Blount.

— Tedy wie pan i o rozkazie wymarszu wojsk z Nikolajewska?

— Jako i o nakazie telegraficznym skoncentrowania kozaków w Tobolsku.

— Wszystko to prawda. I racz mi wierzyć, panie Blount, że moja miła kuzynka już jutro będzie o tych zarządzeniach coś wiedziała!

— Tak samo, jak czytelnicy **Daily-Telegraph**, panie Jolivet!

— Oto, co znaczy widzieć wszystko, co się dzieje!

— I słyszeć wszystko, co się mówi!

— Ciekawą jest rzeczą śledzić tę kampanję, panie Blount.

— To też ją śledzę, panie Jolivet.

— Zatem może spotkamy się na terenie mniej bezpiecznym, niż posadzka tego salonu?

— Mniej bezpiecznym, ale...

— Ale i mniej śliskim! — rzekł z uśmiechem

Jolivet, podtrzymując kolegę w chwili, gdy ten się potknął.

W tej chwili otwarły się podwoje sąsiedniego salonu.

Oczom ukazały się długie i liczne stoły, zastawione wspaniale. Główny stół, przeznaczony dla wielkich ksiąząt i członków ciała dyplomatycznego, uderzał przepychem złotych naczyń, przybyłych z Londynu i arcydziełami porcelany z Sèvres.

Goście skierowali się na wieczerzę.

W tej samej chwili generał Kisow zbliżył się do oficera gwardji. Rzekł cicho:

— Depesze nie dochodzą już do Tomsku.

— Natychmiast przywołać kurjera!

Oficer porzucił wielką salę i wszedł do sąsiedniego pokoju. Był to gabinet, umeblowany nader skromnie, położony w narożniku pałacowym. Nad dęborem biurkiem wisiały tu obrazy Horącego Vernet'a. Oficer otworzył szybko okno. Potem wyszedł na balkon i szerokim rozwarciem ust wciągnął powietrze, jakby go zbrakło jego płuc.

Przed jego oczyma ciągnął się w świetle miesięcznym mur forteczny, w którego obrębie wznosiły się dwie świątynie katedralne, trzy pałace, arsenał. Poza murem odrzynały się zarysy trzech miast odrębnych—**Kitajgorod, Biełojgorod, Ziemiłanojgorod**; olbrzymie dzielnice europejskie, tatarskie, chińskie, dzwonnice, klasztory, kopuły trzystu cerkwi, labirynt rozsypanych na wzgórzach niskich domków i wysokich budowli o zielonych dachach i czerwonych ścianach—dziwaczna mozaika, rozbłyskująca czarodziejsko w poświacie księżyca, ciągnąca się na przestrzeni kilku wiorst, przetykana ogrodami, przerżnięta tu i ówdzie zawilemi skrętami rzeczułki.

Rzeką tą była Moskwa — i miasto zwało się Moskwą — a tym murem fortecznym był Kreml. A tym oficerem gwardyjskim, który skrzyżowawszy ręce na piersi, chmurząc czoło marzycielskie, wsluchiwał się w gwar, płynący od Nowego Pałacu na prastare miasto — był Car Aleksander II!...

ROZDZIAŁ II.

Rosjanie i Tatarzy.*)

Troska cara była usprawiedliwioną. Za granicami Uralu zachodziły wypadki wielkiej wagi. Straszliwy najazd zagrażał władzy rosyjskiej wydarciem ziem Syberyjskich.

Rosja Azjatycka, czyli Syberja, przedstawia najrozleglejszą w starym świecie płaszczyznę — 12 i pół miliona kilometrów kwadratowych, $\frac{1}{3}$ część całej Azji; w owej epoce liczyła około 2 milionów mieszkańców**). Ciągnie się od gór Uralskich, odgraniczających ją od Europy, ku wschodowi — do wybrzeży Oceanu Spokojnego. Na południu graniczy z nią

*) J. Verne wszędzie śladem geografów francuskich używa nazwy Tartarja zam. właściwszej naukowo Tatarja. Tatarzy, o których tu mowa, są niepodległymi Rosji Azjatami w odróżnieniu od poddanych jej Tatarów, zamieszkujących na południu i wschodzie Rossji Europejskiej.

***) Według spisu statystycznego ilość ta wzrosła w r. 1892 prawie do 6 milionów.

linjami dość nieokreślonymi Turkestan i Państwo Chińskie; na północy — Ocean Lodowaty i Morze Karskie do cieśniny Behringa. Dzieli się na gubernie: Jenisejską, Irkucką, Tobolską, Tomską i obwody Amurski, Zabajkalski, Jakucki, Nadmorski, wliczając tu podane władzy Moskiewskiej kraje Kirgizów i Czukczów oraz półwysep Kamczatkę.

Kraj ten był terenem osiedlenia zbrodniarzy, a także wygnania przestępców politycznych, skąd nazwa jego brzmi zgrozą w uszach zachodowca — echem jęku w dziejach powstańców polskich...

W czasie, do którego odnosi się powieść nasza, dwaj Generał-gubernatorowie wykonywali imieniem cara władzę namiestniczą nad tym olbrzymim krajem stepowym, zalegającym obszar dziesięciu stopni geograficznych. Nie przeszła wówczas jeszcze kolej żelazna po tych równinach, tu i owdzie przedziwnie urodzajnych. Nowoczesne świdry jeszcze nie przeniknęły głęboko w łono tej ziemi, zawierającej po dziś bezmierne bogactwa mineralne. Podróżowało się tu latem w tarantasach i na furach, zimą — na saniach. Ale od Uralu przebiegał już drut — jedyny, liczący przeszło 8000 wiorst, który niósł w potrzebie depesze w cenie przeszło 6 rubli za każdy wyraz. Od Irkucka prze granicę mongolską poczta mogła je zanieść do Pekinu w ciągu dwóch tygodni.

Ten właśnie drut telegraficzny, rozciągnięty między Ekaterynburgiem i Nikolajewskiem został przecięty naprzód za Tomskiem, a w parę godzin później między Tomskiem i Koływanią. I oto car pomyślał o konieczności wysłania kurjera do miejsc, z których żadne wieści już nie nadchodziły.

Wrócił z balkonu do gabinetu, gdy w progu zjawił się szef policji. Car rzucił pytanie:

— Co pan wie, generale, o Iwanie Ogarewie?

— Jest to człowiek bardzo niebezpieczny.

— W randze pułkownika?

— Tak.

— Inteligentny?

— Bardzo. Ale nieopanowany... szalenie ambitny... Wdał się wcześniej w intrygi. Przeto Wielki książę zdegradował go przed dwoma laty i zesłał na Sybir. Pół roku temu Wasza Cesarska Mość ułaskawiła go. Wrócił do Rosji...

— A teraz?...

— Wrócił na Syberję... dobrowolnie! Ponieważ — nastął czas, kiedy się wraca z Syberji!

W tej uwadze był cichy wyrzut. Car odczuł to i rzekł z dumą:

— Za mego życia Syberja jest i będzie krajem, z którego się powraca!

Znaczyło to, że sprawiedliwość rosyjska nauczyła się przebaczać — rzecz, z którą szef policji nie mógł się pogodzić. Cóż w takim razie wart był ukaz cesarski, gdy nie zagradzał powrotu na zawsze zesłańcom Tombolska, Jakucka, Irkucka?! Ale wobec słów Cesarza wypadało zmilczeć. Car indagował dalej.

— Czy Ogarew nie powrócił do Rosji po raz wtóry?

— Tak... po tajemniczej podróży przez ziemie syberyjskie.

— I wówczas policja przestała go śledzić?

— Nie! — skazani są niebezpieczni, odkąd są ułaskawieni.

Car zmarszczył brwi. Szef policji już uląkł się, że zaszedł zbyt daleko. Ale cesarz zaniechał wyrzutów. Chwila była nie po temu.

— Ostatnio gdzie był?

— W Permi... Ale tam nie postrzeżono w jeg

postępowaniu nic podejrzanego. W połowie marca znikł z tego miasta... wyjechał...

— Dokąd?... I co robił?...

— Niestety! nie wiemy.

— Ale ja wiem! — rzekł mocno Car. Otrzymałem listy anonimowe, które minęły policję... A wobec dzisiejszych wypadków widzę, że zawierały dane ścisłe.

— Czy Wasza Cesarska Mość chce powiedzieć, że Iwan Ogarew brał udział w inwazji Tatarów? — niemal wykrzyknął naczelnik policji.

— Tak jest. Pouczę pana o tem, o czem nie wiesz. Ogarew, opuściwszy Perm, udał się za Ural. W stepach Kirgizkich usiłował burzyć tameczną ludność — nie bez powodzenia! Potem był dalej — na południu — w wolnym Turkestanie, w chanatach Buchar, Kokandu, Kunduzy — tam znalazł wodzów chętnych do rzucenia na nas swoich hord, do sprowokowania buntu w ziemiach Syberji. Owoce jego działalności dojrzały dziś w wybuchu...

Cesarz, mówiąc, gorączkowo chodził po pokoju. Szef policji myślał o jednym: o tem, że kiedy Carowie nie udzielali łask wygnańcom, plany Ogarewych nie mogły się urzeczywistnić! Rzuciwszy się w fotel, Aleksander z goryczą zauważył, że los depesz, mających poruszyć wojska Syberyjskie, nie jest wiadomy, a pułki wysłane z Permi i Niższego Nowogrodu, oraz Kozackie, zaledwie po kilku tygodniach dojdą do linii nieprzyjacielskiej.

— Jednakże Wielki Książę chyba odebrał wiadomość, że otrzyma posiłki w Irkucku! — wtrącił pocieszająco generał.

— Wie o tem, ale nie wie, że Iwan Ogarew, jego wróg osobisty, gra rolę zdrajcy. Nie wie o tem; że ten człowiek, nieznan mu z twarzy, zamierza pod

falszywym nazwiskiem ofiarować mu swoje usługi, zyskać jego ufność, zająć przy pomocy Tatarów Irkuck i wyrzucić na nim pomstę za niełaskę, której nigdy od niego doznał. Oto. co wiem z raportów — a o czem nie wie mój brat, którego życiu grozi niebezpieczeństwo!

— Najjaśniejszy panie, jednak inteligentny i odważny kurjer...

— Szukam takiego.

— Musiałby prześlizgnąć się po ziemi, podatnej dla buntu.

— Jakto?... sądzisz, generale, że nasi wygnańcy polityczni podadzą rękę najeźdźcom — krzyknął cesarz. Myślę, że mają w sobie więcej patriotyzmu...

Szef policji zmieszał się, wybąkał:

— Tak... Ale... Zresztą są tam także inni osiedleńcy.

— Kryminaliści?! Ach, tych ci daruję! To odpadki bez ojczyzny. Ale wszyscy odczują, że ten najazd grozi nie mnie, lecz Rosji, którą zawsze — mają nadzieję ujrzyć... którą zobaczą! Nigdy Rosjanin nie połączy się z najeźdźcą celem złamania władzy rosyjskiej.

Cesarz-reformator, wprowadzający do sądów wraz ze sprawiedliwością miłosierdzie, miał słuszną zasadę zaufania patriotyzmowi wygnańców. Ale inwazja mogła znaleźć inną, poważniejszą pomoc — w ludności Kirgiskiej.

Kirgizi, podzieleni na trzy hordy, liczyli w 400 tysiącach namiotów blisko 2 miliony dusz. Były wśród nich plemiona niepodległe; były też uznające zwierzchnictwo Rosji; lub ciężące ku Turkestanowi. Niektóre koczowały nad Irtyszem, inne zachodziły aż do Om-ska i Tobolska. Sprzymierzenie ich z najazdem groziło odcięciem Syberji od Rossji. Wprawdzie Kirgizi,

nowicjusze w sztuce wojennej, są raczej nocnymi rabusiami i napastnikami karawan, niżli regularnymi żołnierzami. Czworobok konnicy zgniecie dziesięćkroć liczniejszą masę Kirgizów, a jeden wystrzał armatni rozpędzi ich tłumy. Ale kiedyż armaty i kawalerja rosyjska nadążą tam z odległości dwóch lub trzech tysięcy wiorst poprzez bagniska i pustynie?!

Przeważnie nomadzi-koczownicy, patrzyli oni niechętnie na pragnące utrzymać ich w karbach kolonje wojskowe rosyjskie i należało się liczyć z tem, że namowy sąsiednich sułtanów Turkestanu i chanów Buchar, Kokandu, Kundzy-Muzułmanów, jak oni — musiały już oddziałać na nich w kierunku wyzwolenia się z pod władzy prawosławnych.

Tatarowie, którzy zagrażali w danym wypadku cesarstwu rosyjskiemu, należą przeważnie do rasy kaukaskiej — wbrew innym zaliczającym się do rasy mongolskiej. Zajmowali rozległe ziemie Turkestanu, podzielone na szereg chanatów. Najznacniejszym wśród nich była Buchar. Stojący na jej czele Feofar Chan prowadził politykę poprzedników, którzy nieraz już ścierali się z Rosją w bojach o panowanie nad Kirgizami.

Państwo to przy ludności, wynoszącej 2^{1/2} miliona mieszkańców, posiada armję 60-tysięczną, mogącą urosnąć trzykrotnie w czasie wojny, przy 30 tysiącach koni. Kraj to bogaty z natury i potężny przez zabory ziem sąsiednich. Posiada 19 znacznych miast. Otoczona murem długości 8 tysięcy mil angielskich, Buchar o której z zachwytem pisali uczeni X wieku, słynie jako środowisko wiedzy muzułmańskiej. Samarkanda szczyci się grobem Tamerlana i pięknymi pałacami. Inne miasta słynne są z budynków, wież swoich, murów obronnych; mają nadto osłonę z gór, lub nie-

dostępność swoją opierają na izolowanem położeniu wśród oaz.

Otóż ambitny i dziki chan Buchary, poparty przez innych chanów, posłusznych tatarskiemu instynktowi grabieży, stanął na czele hord średnio - azjatyckich w czasie tego najazdu, którego duszą był Iwan Ogarrew.

Zdrajca, party nienawiścią i ambicją, nakreślił plan potężnego uderzenia na Rosję przecinającego wielką drogę syberyjską.

Emir — takim był tytuł chana Buchary — pchnął swoje hordy przez granicę rosyjską, zajął gubernię Semi-palatyńską, zmusił do cofnięcia się nieliczne stráže kozackie, kroczył dalej za Bałkaj, pociągnął za sobą Kirgizów, przenosił obozy swoje z żonami i niewolnikami z miasta do miasta, grabił, więził, mordował opornych, zapatrzony na swój wzór bezczelny i wiekopomny — Czingis-Chana.

Gdzie znajdowali się teraz? — dokąd cofnęły się wojska rosyjskie? — co ocalało z władzy moskiewskiej? a co wyrwało się jej? — na żadne z tych pytań nie można było odpowiedzieć. Ten goniec, który nie lęka się niczego, ani skwarów lata ani mrozów zimy, beznamiętny i korny szybki, jak błyskawica — goniec w postaci niewidzialnie biegnącej iskry elektrycznej nie mógł się przedrzeć przez stepy. Drut między Koływanią i Tomskiem został przecięty.

Kurjer, który miał iskrę zastąpić i uprzedzić W. księcia o groźnej zdradzie, człowiek musiał użyć sporo czasu dla przebieżenia 5,523 kilometrów oddzielających Moskwę od Irkucka, i winien był posiadać inteligencję i odwagę nadludzką, aby przedrzeć się do swego celu przez tysiące niebezpieczeństw.

Czy znajdzie takiego? — pytał car...

ROZDZIAŁ III.

Michał Strogow.

Odźwierny gabinetu cesarskiego zaanonsował generała Kisowa. Car żywo spytał wchodzącego:

- Pański goniec?
- Jest tu— czeka.
- Człowiek odpowiedni?
- Ręczę zań głową
- Ze służby pałacowej?
- Tak, Najjaśniejszy Panie.
- Znasz go osobiście?
- Spełniał moje najtrudniejsze polecenia.
- Zagranicą?
- Nie, w Syberji.
- Skąd pochodzi?
- Z Omska. Sybirak.
- Ma zimną krew, inteligencję, odwagę?
- Wszystko, aby mieć powodzenie tam, gdzie inni znaleźliby zgubę.
- Wytrzymały?
- Do ostatnich granic—na głód, chłód, pragnienie, bezsenność.
- Czyż ma ciało z żelaza?
- Tak. Wasza Cesarska Mość.
- A serce?
- Ze złota.
- Nazywa się?
- Michał Strogow.
- Gotów do wyjazdu?

— Oczekuje rozkazów W. C. Mości.

— Niech wejdzie.

Za chwilę wszedł wezwany do gabinetu. Michał Strogow był jednym z najwyborniejszych okazów rasy Kaukaskiej. Wysoki, barczysty, o piersi, wydatnej, muskularny, zdawało się, iż stojąc, wrasta w ziemię. Obfite czarne włosy wiły się nad pięknym, inteligentnym czołem. Twarz, zwykle blada, kraśniała, gdy serce zapulsowało mocnym wzruszeniem. Oczy błyszcząły szczerem wejrzeniem odwagi bohaterskiej. Nozdrza wzdymały się, jak u rasowego rumaka.

Nie rozumiał, co znaczy załamywać ręce w rozpacz, lub drapać się po głowie w zakłopotaniu. Był stanowczy, skąpy w słowach i gestach. Raczej maszerował, niż chodził, niby żołnierz wytrawny, idący na zdobycie wrażeń okopów. Miał na sobie świetny uniform strzelecki, zdobny krzyżem zasługi i mnóstwem medali. Należał do rzędu specjalnych kurjerów cesarskich wśród których wyróżniał się sprawnością, w wykonaniu rozkazów—zaletą cenioną najwyżej w państwie Moskiewskim. Był jakby stworzony do misji, igrającej z niebezpieczeństwem, zwłaszcza na gruncie Syberji, której obyczaje i dialekty znał doskonale.

Jego ojciec, Piotr Strogow, zmarły przed laty dziesięć, mieszkał w Omsku; był z zawodu myśliwcem. Przebiegał stepy, tak w czas skwarów okrutnych, jako i mrozów, sięgających nieraz 50 stopni niżej zera, ze strzelbą na drobną zwierzynę i widłami, lub nożem, na grubą. Zabiwszy 39 niedźwiedzi, złożył broń i wziął się do uprawy roli, posłuszny przesądowi, że przy czterdziestym niedźwiedziu oddaje się żywot.

Od owej chwili syn Michał pomagał ojcu w utrzymaniu rodziny. Mając lat czternaście zabił pierwszego niedźwiedzia, sam go wypaproszył i skórę gigantycznego zwierza przywłókł do domu, odległego o mil kil-

ka. W tem życiu nabył żelaznego zdrowia mieszkań-
ców północy, Jakutów. Mógł obyć się dobę bez jadła
i napoju, nie spać przez nocy dziesięć, wyszukać sobie
przysiółek w szczerym stepie tam, gdzie inni musieliby
zginąć. Zgadywał nadchodzący zdaleka orkan po nie-
widnych innym oznakach i odnajdywał drogę śród
mroków długiej nocy polarnej. Zaostrzonymi swemi
zmysłami zdobył, nawzór ojca, wszystkie tajemnice
stepów. Lada chmurka, trawka, układ gałęzi drzewa,
daleki poszum, przelot ptaka, kierunek płatków śnie-
gu, ślad zwierzęcia — wszystko to służyło mu za
wskazówkę nieomylną. Gadał milczeniem, jak Indjan-
in, z otaczającą naturą.

Jego jedyną namiętnością była miłość dla starej
matki, która nie zdecydowała się opuścić męzowskiego
domku na brzegach Iryszu. Przyrzekł odwiedzać ją
przy każdej sposobności, a obowiązku tego dopełniał
ze czcią religijną. Wykazawszy przedziwne zalety: od-
wagę, zręczność, krew zimną, rozsądek — w podróżach
na Kaukaz z poleceniami trudnemi i w nużących bo-
jach z następcami Szamila, a później w wyprawach
na kraniec Rosji Azjatyckiej do Kamczatki — dostąpił
zaszczytu odkomenderowania go na dwór cesarski.
Stąd lwiał część skromnej pensji stale wysyłał matce;
a gdy wypadło mu jeździć do krajów dalekich i trzy
lata jej nie widzieć — z jego polecenia Marta Strogowa
otrzymywała regularnie należny synowi z kasy dwor-
skiej żołd miesięczny.

Stanął przed carem, zgoła nie wiedząc, po co
został wezwany. Nieruchomy, wyprostowany, wytrzymał
jego obserwujące długo, przenikliwe spojrzenie. Ce-
sarz widocznie był zadowolony z oględzin, gdyż dał
znak szefowi policji, aby zasiadł przy biurku. Podyk-
tował mu przyciszonym głosem krótki list, położył na
nim swój podpis z dodaniem sakramentalnej formułki

ukazów cesarskich; „Byt ' po siemu.” Potem rozkazał zbliżyć się Strogowowi i głosem stanowczym zadał mu szereg pytań.

- Imię?
- Michał Strogow, Najjaśniejszy Panie.
- Stopień?
- Kapitan Korpusu Kurjerów Cesarskich.
- Czy znasz Syberję?
- Jestem Sybirakiem.
- Urodziłeś się...?
- W Omsku.
- Masz tam rodziców?
- Starą matkę.

Cesarz chwilę milczał. Następnie podał mu list:

— Ten list należy wręczyć Wielkiemu Księciu nikomu innemu.

- Wręczę, Najjaśniejszy Panie.
 - Wielki Książę jest w Irkucku.
 - Udam się do Irkucka.
 - Trzeba przedrzeć się przez kraj zbuntowany, między ludymi, którzy zechcą ci ten list odebrać.
 - Przedrę się.
 - Nie zaufaj zdrajcy Iwanowi Ogarewowi, którego może spotkasz na swojej drodze.
 - Nie zaufam.
 - Pojedziesz przez Omsk.
 - To moja droga.
 - Jeśli zobaczysz się z matką ryzykujesz, że cię poznają. Nie powinieneś jej zobaczyć.
- Chwila wahania! Potem mocne:
- Nie zobaczę.
 - Przysięgnij, że nikt nie dowie się, kim jesteś z czem jedziesz.
 - Przysięgam!

— Zbawienie Syberji. życie Wielkiego Księcia zależy od wypełnienia twego posełstwa.

— Wypełnię je.

— Zatem przedostaniesz się do celu?

— Przedostanę się, albo mnie zabiją.

— Trzeba, abyś żył.

— Będę żył, Najjaśniejszy Panie!

— Michale Strogow, jedź w imię Boże!

Goniec salutował po wojskowemu. W chwilę opuścił pałac.

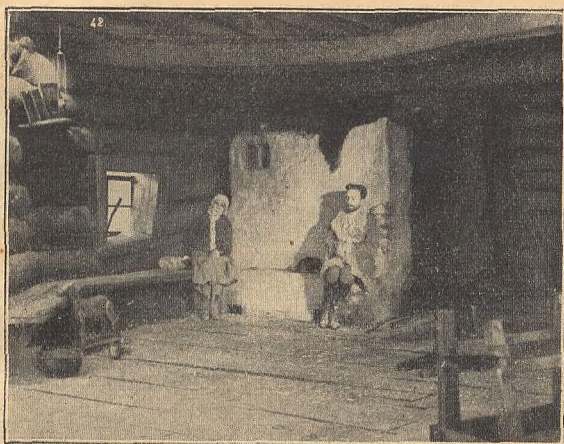
— Masz szczęśliwą rękę, — rzekł Cesarz. To człowiek, jak się patrzy!

ROZDZIAŁ IV.

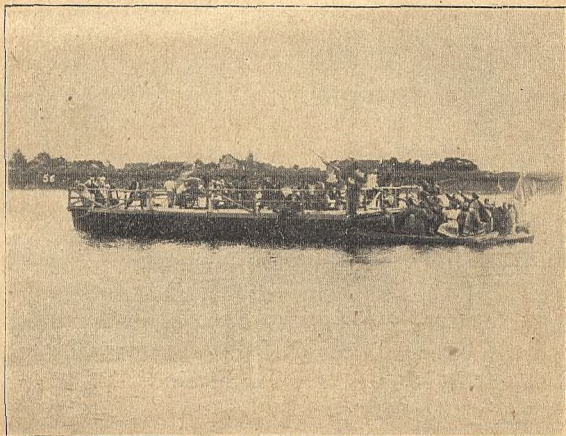
Z Moskwy do Niższego - Nowogrodu.

Najszybszy goniec cesarski mógł przebyć naówczas drogę od Moskwy do Irkucka — półszósta tysięcy kilometrów — w dni osiemnaście. To był wszakże wyjątek; zwykli posłańcy potrzebowali w tym celu czterech do pięciu tygodni.

Taki człowiek, jak Strogow, przełożyłby dla podróży ostry czas zimowy, hartujący wędrownika. Wody zamarzły: — wszędy rozpościera się gładki obrus śnieżny, po którym ślizgają się lekko sanie. Wprawdzie nieraz mgły przesłaniają drogę, wichry kłębami zawleczonych śniegów zasypują całe karawany, stada głodnych wilków zagryzają podróżnych. Ale o tym cza-



Znękani, nie mówili do siebie.



Tatarzy natarli na prom.



Tatarzy porywają Nadję.



— „Tyś nie mój syn?!”

się najeżdźcy siedzą w obozach, maruderzy nie włączają się po stepie i można uniknąć najgroźniejszego niebezpieczeństwa dla poselstwa w rodzaju Strogowa—człowieka. Lecz wybór pory nie zależał od gońca; trzeba było jechać zaraz i poddać się okolicznościom trudnym.

W kraju najechanym roiło się od szpiegów. Nie mógł tedy Strogow korzystać z przywilejów cesarskiego gońca, ułatwiających szybkość podróży, ale budzących podejrzenie. Otrzymał od Kisowa przy znacznej sumie na przeżycie dokument zwany „podorożną” na imię kupca Mikołaja Korpanowa, rzekomo wracającego do miasta rodzinnego Irkucka. Mógł korzystać z przepręgów pocztowych, z towarzyszenia służby, ze straży kilku osób zbrojnych, wszelako bez ryzyka rozpoznania, to jest bez wygód, które kurjerowi cesarskiemu służyły z zasady; jechał bowiem w charakterze osoby prywatnej, zamaskowany swoją „podorożną”.

Trzydzieści lat temu wstecz człowiek znaczny nie mógł wyruszyć w głąb Syberji bez eskorty z dwustu kozaków konnych, dwustu żołnierzy pieszych, 25 jeźdźców-baszkirów, trzystu wielbłądów, 25 wozów, dwóch przenośnych statków, dwóch armat. Michał Strogow miał do rozporządzenia tylko pojazd, zaprzężony w konie; zresztą w potrzebie winien był podróżować na piechotę.

Co prawda pierwszych półtora tysiący kilometrów od Moskwy nie przedstawiało tylu trudności; tu jeszcze można było korzystać z kolei, karet pocztowych, statków wierzchowców.

Tedy rankiem tegoż dnia — 16 Lipca — Michał Strogow udał się na dworzec kolejowy. Nie miał już na sobie munduru. W ubraniu rosyjskiego chłopca — przepasanej bluzie, szarawarach, długich butach — dźwigał na plecach tłumok podróży. Nie nosił broni

—przynajmniej jawnie: W zanadrzu pod bluzą krył rewolwer, a w kieszeni kordelas, warty jatagana, przebijającego niedźwiedzia.

Dworzec Moskiewski był pełny gwaru odjeżdżających i żegnających. Stanowił niby „gieldę nowin” dla ciekawskich. Chwytano tu wiadomości, nadchodzące z Petersburga, z którym wiązała Moskwę linja drogi żelaznej, zbaczająca stąd na wschód do Niższego Nowogrodu, a w owej epoce kończąca się przy nim. Od tego miasta Strogow zamierzał dotrzeć, częścią statkiem wdół Wołgi, częścią szlakiem lądowym, do granicy Rosji Europejskiej ~ gór Uralu.

Jak dostojny mieszczanin, niezajęty interesami ponad miarę, zasiadłszy w kącie wagonu, zabierał się do drzemki. W istocie zaś, nie będąc sam, spał tylko jednym okiem a słuchał dwójgiem uszu. Echo inwazji Tatarów i buntu Kirgizów dotarło już do Moskwy i omawiano w głos wypadki, wprawdzie oględnie i z umiarem. Jadący w pociągu byli przeważnie kupcami, udającymi się na słynny jarmark do Niższego Nowogrodu—mieszanina narodowości, mówiących swoimi językami: Rosjanie, Żydzi, Turcy, Kozacy, Ormianie, Kałmucy i t. d. Wypowiadano obawy, iżby rząd z powodu zaszłych wypadków, nie przedsięwziął środków, mogących skrzepować handel na granicy Azji; albowiem ci egoiści potrafili brać w rachubę wielkie polityczne zdarzenia w państwie tylko pod kątem swoich interesów kupieckich. Obecność jednego munduru w wagonie starczyłaby do powściągnięcia języków, ale nikt w jadącym *incognito* nie podejrzewał wojskowego, a nadomiar gońca cesarskiego. Strogow świadomie nasłuchiwał.

Pers w charakterystycznym fezie wyrażał lęk, że podrożeje herbata. Stary patriarchalny żyd ubolewał raczej nad możliwością wstrzymania wysyłki dywanów z Samarkandy. Wyliczano z niepokojem towary, któ-

rych może zabraknąć na jarmarku z powodu przerwania dróg przez najazd.

— No, to tem bardziej podbijecie ceny na posiadane zapasy!—roześmiał się jakiś Rosjanin.

— Pana to bawi!—ozwał się stary żyd. Widać nie jesteś pan kupcem.

— Zgadłeś, szanowny potomku Abrahama! Nie sprzedaję ani chmielu, ani miodu, ani wosku, ani drzewa, ani solonego mięsa, ani kawioru, ani wełny ani futer...

— Ale kupujesz pan!—przerwał Pers.

— O ile mogę, jaknajmniej—tylko dla osobistej potrzeby.

— To figlarz! — rzekł żyd do Persa.

— Albo szpieg! —odparł tamten szeptem. Bądźmy ostrożni. Nie wie się dziś, z kim się jedzie, a policja nasza... pan wie...

W drugim kącie wagonu mówiono mniej o towarach, więcej zaś o konsekwencjach wojny.

— Trzeba, oczekiwać rekwizycji koni syberyjskich...

— Ba! ale czy to pewne, że Kirgizy łączą się z Tatarami?

— Kto u nas może pochlebiać sobie, że coś wie napewno?!

— Podobno Kozacy Dońscy już wyprawieni zostali Wołgą przeciw buntownikom...

— Droga do Irkucka nie jest już bezpieczna. Mojej depechy do Krasnojarska nie przyjęto...

— Po rekwizycji koni nastąpi rekwizycja statków, wozów, wszelkich środków transportowych, wkrótce nie będzie można zrobić kroku bez pozwolenia—westchnął ktoś. Jarmark w Niższym nie skończy się tak świetnie jak się zaczął:

— Bezpieczeństwo i całość terytorjum państwa—

to rzecz najważniejsza! — ozwał się rosjanin, który twierdził, że nic nie sprzedaje i prawie nic nie kupuje. Interesy są tylko interesami!

W jednym z wagonów pociągu jechał pasażer, osobliwie wpadający podróżnym w oko — najwidoczniej cudzoziemiec. Otwierał szeroko oczy, przystawiał do nich lornety i zadawał towarzyszom podróży mnóstwo pytań, dotyczących przemysłu, handlu, liczebności i śmiertelności mieszkańców, nazw najmniejszej z przebieganych okolic. Był to Alcyd Jolivet, zbierający informacje dla swojej „kuzynki”. Oczywiście jego ciekawość, w czasie tak strasznym, wydawała się podejrzaną, a przed domniemanym „szpiegiem” zamykały się usta; omijano w skąpych odpowiedziach zdarzenia dnia.

Nie dziw tedy, że zapisał w swoim notatniku:

Podróżni absolutnie dyskretni. W kwestiach polityki trudno ich rozruszać.

W innym wagonie udawał się podobnie na teatr działań wojennych Henryk Blount. Nie spotkali się ci dwaj na dworcu w Moskwie i nie wiedzieli o tem, że podróżują równocześnie. Ponieważ dziennikarz angielski więcej słuchał, niż mówił, tedy nie krępował wypowiedzania się obecnych w granicach naturalnych, odpowiednich do ich widnokregu umysłowego i ostrożności. Nie budził bowiem podejrzania, że jest szpiegiem. A skoro przedewszystkiem interesował się sprawami handlu ze Wschodem, więc zanotował w swoim dzienniku obserwację, co najmniej tyleż słuszną, ile nią była obserwacja jego kolegi.

„Podróżni ogromnie zaniepokojeni. Interesują ich tylko kwestji wojny. Mówią o nich ze swobodą mogącą zadziwić między Wołgą i Wisłą.”

Tym sposobem czytelnicy Daily-Telegraph zo-

stali tak samo dobrze poinformowani jak francuska kuzynka p. Alcyda Jolivet!

A ponieważ p. Blount siedział przy oknie z tej strony, z której grunt podnosił się nieco falisto — i nie widział niezmiernych płaszczyzn na prawo — dopisał z aplombem brytańskim: „Między Moskwą i Włodzimierzem kraj górzysty”.

Tymczasem dawało się po drodze wyczuwać, że policja przedsięwzięła pewne środki surowe. Szukano śladów zdrajcy Ogarewa. A jakkolwiek bunt nie wyszedł poza granice Syberji, podejrzliwość rządowa lękała się złego wpływu na obce elementy ludowe w prowincjach nad Wołgą, bliskich krajom Kirgiskim.

Ta hipoteza policyjna była usprawiedliwioną w takim kraju obszernym, jak Rosja. Olbrzymie cesarstwo, ciągnące się na przestrzeni 12 milionów kilometrów kwadr. i zaludnione naówczas przez 70 milionów mieszkańców, prócz górującego elementu Słowiańskiego, rozpadającego się na niepogodzone żywioły: wielkoruski, małoruski i polski, zawierało nadto mnóstwo plemion, żyjących interesami odrębnymi, mówiących własnymi narzeczeniami — był to oczywiście zlepek, mogący utrzymać się w tak rozległych granicach tylko do czasu, o ile starczyło rządowi biurokratycznemu sprytu i hartu do ochrony całości państwowej*)

Ponieważ sądzono, że Ogarew nie opuścił jeszcze Rosji Europejskiej, poddawano oględzinom podróżnych na każdej stacji; najwięcej podejrzanych wyprawiano na posterunki policyjne, a pociąg udawał się bez nich w dalszą podróż. Zatrzymywani nie śmieli ani słowem protestować, bo rozkazy wychodziły od

*) „L'oeuvre du temps” — prorocza uwaga znakomitego autora francuskiego.

urzędników, obleczonych wyższą władzą wojskową i działających w imieniu Cara, który na czele państwowych ukazów ma przywilej umieszczać formułę: „My Cesarz i Samowładca Wszech Rosji, Wielki księżę Finlandzki, Król Polski, Car Kazani, Astrachaia i t. d. zawierającą kilkanaście wierszy druku i mogącą zwykłych poddanych przyprawić o dreszcz śmiertelny i zawrót głowy.

We Włodzimierzu pociąg zatrzymał się na kilkanaście minut, co korespondentowi dziennika angielskiego wystarczyło do ujęcia całkowitego fizycznej i moralnej fizjonomji tego starożytnego miasta Rosji!

Z nowych pasażerów ściągnęła tu uwagę Strogowa młoda dziewczyna, która wsiadła do jego przedziału. Zajęła miejsce naprzeciw niego, skromna, spokojna, nie podnosząc oczu na przygodnych towarzyszy podróży, zwykły bagaż swój umieściwszy na kolanach. Chciał jej ustąpić własne miejsce, dogodniejszego, w kierunku jazdy, ale podziękowała lekkim skinieniem głowy, nie przyjmując grzeczności.

Mogła liczyć lat siedemnaście. Jej czarująca główka miała charakter wybitnie słowiański. Przy włosach złocistych uderzały jej oczy piwne. Wyraz ich był przedziwnie słodki. Twarz blada, zwarte usteczka mówiły, że zdawna oduczyła się śmiać. Cała postać świadczyła o wielkiej energii moralnej, prześcigającej przeciętną energję męską. Czuło się, że to młode dziewczę już miało za sobą lata cierpień i walki, że szło naprzeciw twardej przyszłości. Przynajmniej takim było wrażenie Strogowa, który od pierwszej chwili czuł się ku niej pociągnięty podobieństwem charakterów.

Ubiór jej był niebogaty, zdradzający pewne zaniedbanie przy bezwzględnej czystości. Kożuszek, krój i barwy wyglądającej z podeń wyszywanej sukni, pół-

buciki-słowem, cały kostjum doświadczonemu oku Strogowa mówiły, że podróżna pochodzi z prowincyj nadbaltyckich.

Badając ją niepostrzeżenie z pod oka, zapytywał siebie, czemu tak samotna, nieodprowadzona przez nikogo, udawała się w podróż, i czy cel jej podróży był daleki, a tam u celu czyli również nikt jej nie czekał? Tak wydawało się. Całe jej zachowanie świadczyło o tem, że jej zwyczajem było troskać się o samą siebie bez czyjejkolwiek pomocy.

Strogow uczuwał trudność w zawiązaniu z nią rozmowy. Wszelako udało mu się okazać jej grzeczność. Gruby handlarz słoniną, zasnawszy, zwałił się całym ciężarem swej osoby na jej ramię. Strogow obudził go i opryskliwie pouczył o konieczności trzymania się prosto. Śpioch zaklął, wybąkał coś o „ludziach, mieszkających się w nie swoje rzeczy.” — lecz odtąd głowę przechylał już na drugą stronę. Dziewczę podziękowało swemu *vis-à-vis* niemem spojrzeniem.

Wkrótce potem, już w pobliżu Nowogrodu, miał sposobność poznać bliżej i podziwiać młodą współpasażerkę. Na zakręcie szyn pociąg doznał okrutnego wstrząsu, poczem biegł przez chwilę pochyło po wysokim nasypie. W wagonie rozległy się krzyki. Zdawało się, że grozi niechybna katastrofa — wykolejenie. Wszyscy rzucili się ku drzwiom, wrzeszcząc, tłocząc się, popychając. Zeskakiwano, ratując się, na plant. Dziewczyna pozostała nieruchoma w miejscu; zaledwie nieco przybladła. Strogow poruszył się także.

„Energiczna natura!” — pomyślał.

Tymczasem niebezpieczeństwo minęło. Pociąg zatrzymał się. Pęknięcie łańcucha przy wagonie towarowym było powodem skoku. W godzinę naprawiono szkodę, która o mało nie wywołała runięcia pocią-

gu w przepaść z nasypu. Przybyto do Niższego Nowogrodu o 8^{1/2} wieczorem z opóźnieniem parogodzinnem.

Nie wolno było nikomu wyjść z wagonów przed egzaminem policyjnym. Zaopatrzony w „podorożną” na imię Kupca Korpanowa, obywatela Irkucka, Strogow nie napotkał żadnych trudności w swobodzie dalszych ruchów. Inni pasażerowie, wylegitymowawszy się dostatecznie przeznaczeniem podróży—jarmarkiem, uzyskali szczęśliwie prawo wejścia do miasta. Co się tyczy młodej kobiety, to ta zaprezentowała jakiś dokument natury specjalnej, opatrzone pieczęcią urzędową. Inspektor policji studjował go długo — poczem zadał zatrzymanej pytanie:

— Więc panna jesteś z Rygi?

— Tak.

— Jedziesz do Irkucka?

— Tak.

— Jaką drogą?

— Przez Perm.

— Dobrze! — rzekł inspektor. Ale musisz panna wizować swoje pozwolenie w kancelarji policmajstra w „Niżnym”.

Dziewczę pochyliło głowę z rezygnacją.

Obecny przy tej indagacji Strogow doznał uczuć zdziwienia i litości naraz. Młoda dziewczyna—sama—w drodze na daleką Syberję, w czasie tak osobliwie niebezpiecznym! Czy dojedzie?

Przeгляд skończył się. Drzwi wagonów otworzyły się. Ale zanim Michał Strogow zdążył uczynić ruch ku niej, młoda Liwonianka, zeskoczywszy ze stopni pociągu — zmieszała się z tłumem, zapełniającym dworzec, i znikła mu z oczu.



Tatarzy wdarli się...



Starzec pomógł gościowi.



Męczennik obowiązku.



Na statku.

ROZDZIAŁ V.

Dekret w dwóch artykułach.

„Niżnij Nowgorod” gościł naówczas w swoich murach 300 tysięcy ludzi, t. j. dziesięćkroć więcej, niż w zwykłym czasie. Magnesem był słynny jarmark, którego tradycje sięgają aż r. 1817. Trwa on corocznie od trzech do sześciu tygodni; a zaćmiewał w tej epoce nawet sławę jarmarku lipskiego.

Ale Strogow nie interesował się jarmarkiem. Śpieszył na przystań, nie chcąc stracić ani godziny. Lecz tu dowiedział się, że statek „Kaukaz” odchodzi do Permi dopiero nazajutrz w południe i że lokomocja lądowa bynajmniej nie przyśpieszy jego podróży. Z konieczności trzeba było pogodzić się z tą 17-godzinną zwłoką.

Przebiegał tedy ulice, aby znaleźć posilek i nocleg. Głód mu już dobrze dokuczał. W oberży, noszącej szumny tytuł „Hotel Konstantynopolitański”, wynajął skromny pokoik i zjadł kolację, w której bigos z kaczki, razowiec, mleko i kwas grały główną rolę. W każdym razie uczta jego była wyszukańszą od kolacji sąsiada-starowiera, spożywającego z zasady tylko kartofle z nieosłodzoną herbatą.

Ledwo rzuciwszy okiem na pokój, w którym na ścianach wisiały wizerunki świętych, a przedewszystkiem nieodzowna ikona Matki Boskiej — mimo naturalnego znużenia całodzienną podróżą, nie poddał się ponęcie łóżka. Wybiegł na miasto i jął bładzić po już pustoszejących ulicach.

Co go tak gnało?... Nie krył tego przed sobą. Pędziła go nadzieja spotkania gdzieś wypadkiem na ulicy uroczej Liwonianki. Dręczył się niepokojem o los nieznaną. Mój Boże! wybrała się sama w taką porę w stepy, w których roilo się od band dzikich Azjatów. Nie mogła nie wiedzieć o niebezpieczeństwie, bo współpodróżni mówili tylko o tem — o buncie i najeździe. Rozumiał, iż on sam odważa się tam jechać. dla Cara i Rosji!.. Ale ona dla kogo? dla kogo!... Gubił się w domysłach. „Biedactwo! nigdy nie dotrze do Irkucka!”

Po godzinnem błakaniu się wśród ulic, zapelnionych z okazji jarmarku wozami i namiotami przyjezdnych, straciwszy nadzieję spotkania nieznaną — (byłby to traf szczególny, gdyby o tej porze była na ulicy) — przysiadł znużony na jakimś wielkim placu. Nagle w zmierzchu wyrosła za jego ławką jakaś figura, której zbliżenia się na postrzegł. Ktoś ciężko położył rękę na jego ramieniu.

— Co robisz tutaj? — spytał szorstki głos.

Strogow zerwał się.

— Jak widzisz, odpoczywam.

— Masz zamiar spać tutaj całą noc?

— Gdyby mi się tak spodobało!

— Oho!... A nie raczysz się zbliżyć, abym cię zobaczył?

— Nie widzę potrzeby! — odparł Strogow, cofając się przed zuchwałym natrętem i na wszelki wypadek sięgając za pazuchę po broń.

Bystremi oczyma rozpoznawał, że ma przed sobą cygana. Upewniał go w tem dostrzeżony przezeń teraz z boku drogi wielki wóz z namiotem. — koczo-wnicze pomieszkowanie, służące Cyganom, czyli Zingari, mrowiem rozchodzącym się po Rosji, wszędy, gdzie można było zarobić parę kopiejek, i oczywiście tłum-

nie zjawiającym się na jarmarku, gdzie można było coś sprzedać, kupić i... ukraść.

Cygan stał w niepewności. „Zbliź się.” — powtórzył ostrzej. „Zbliź się sam!” — odparł Strogow. W tej chwili rozchyliło się płótno u wyjścia namiotu i na wozie ukazała się ledwo widoczna w zmroku sylwetka kobieca. Odwołała cygana mową, która stanowiła jakąś mieszaninę syberyjskich i mongolskich narzeczy:

— Jeszcze jeden szpieg! Poniechaj go! Chodź wieczerzać. „Papluka” gotowa.

Strogow uśmiechnął się mimowoli. Przypisywano mu rolę tych, których sam lękał się najbardziej. Cygan odpowiedział:

— Masz słuszność, Sangarol! Zresztą niechaj wietrzą tu, ile zechcą. Nas to nic nie obchodzi, skoro jutro musimy stąd wyjeżdżać.

— Jutro?

— Tak! Sam Ojciec nas wysyła... dokąd oczy poniosą.

Nie nadając wagi treści tej rozmowy dwojga obcych osób, Strogow, odchodząc, pomyślał, że o ile nie chcieli być rozumiani, winni byli uciec się do jakiejś innej mowy, a nie jakiegokolwiek z syberyjskich narzeczy, z którymi osłuchał się od lat dziecińczych.

Przyjrzał się jeszcze ciemnym wodom Wołgi i Oki, zlewającym się tu pod Nowogrodem. W godzinę potem spał twardym snem w gospodzie na łóżku, które każdy zachodowiec uznałby za niemożliwie twarde.

Ohudził się nazajutrz o 7 nad ranem. Miał przed sobą pięć godzin wyczekiwania na odjazd — dla niego wiek cały.

Zapłacił za nocleg i wyszedł na miasto. Postanowił zużyć wolny czas na przyjrzenie się jarmarkowi.

Na olbrzymich placach, rozciągających się nad rzeką— po stronie przedmieścia, a niegdyś grodu Markarjewa— kipiało różnobarwne i gwarne życie, snuły wielojęzyczne tłumy, leżały nagromadzone stosy najrozmaitszych towarów. Były tu osobne okręgi żelaza, drzewa, wełny, futer —jeziorka rybne... Były budowle wymyślne, skonstruowane z niezwykłych materiałów— domki z cegiełek herbaty, lub z pościów słoniny — swoista reklama w stylu fantazji wschodniej. Wśród wielbłądów, koni, mułów, pojazdów i fur tłoczyli się Rosjanie, Niemcy, Żydzi, Ormianie, Grecy, Chińczycy, Indusi i t. d. napełniając różnojęzycznym gwarem przetargów i rozpraw olbrzymi plac. Ciekawi i interesanci oglądali z zajęciem kaszmiry indyjskie, broń kaukaską, zegary szwajcarskie, koronki Ijońskie, minerały uralskie, owoce i produkty zachodu i wschodu, towary z wszystkich części świata.

O potężnym biciu pulsów tego jarmarku świadczy cyfra jego obrotów handlowych: 100 milionów rubli!

Rozbijali tu także swoje namioty— na ten okres zyskowny kuglarze, sztukmistrze, akrobaci, wędrowni aktorzy, i piosenkarze. Obok szopy, w której widziało się tańce cyganów, sztuki żonglera, popisy linochoda, przyjezdny teatr dawał dramat Szekspira; a nieopodal ryczały lwy koczowniczej menażerji, lub pod batem tańczyły niedźwiedzie. Dziwaczna mieszanina barw i strojów! — chaos bogactw— targowisko, z którego wychodziło się, gdy już nie miało się co sprzedać, lub nie zostawało grosza, aby co jeszcze zakupić!

Spotkali się tu przypadkiem i nasi dobrzy znajomi—pp. Jolivet i Blount. Na ten raz konkurencyjni korespondenci nie zamienili ze sobą ani słowa—ogra-

niczyli się chłodnym ukłonem powitalnym i pożegnalnym jednocześnie. Jolivet, który znalazł wyborny hotel i świetną restaurację, posłał do Paryża podniosły hymn na cześć jarmarku. Blount, niezadowolony z nędznej gospody i jadłodajni, które odszukał był nadto z trudem, napisał artykuł, ciskający gromy na „zdzierców Nowogrodzkiego jarmarku stanowiącego bezwstydną pułapkę na cudzoziemców.“

Objektywny Michał Strogow, który bywał tu nieraz, stwierdzał tymczasem, że jarmark tegoroczny — wbrew pozornemu gwarowi — ustępował pod względem ożywienia handlowego latom poprzednim. Niepokój nawiany przez najazd, paraliżował transakcje i obawiano się ryzykować pieniądze i udzielać kredytów wobec ewentualnego zamknięcia granic, dla oczekiwanych ze wschodu i przeznaczonych dlań towarów. Nie wiadać tu było na ten raz żołnierzy ani oficerów, najwidoczniej skonsygnowanych w koszarach. Szeptem mówiono o sztafetach nadeszłych z Moskwy na imię Gubernatora, który posiadał w tem mieście imponujący pałac.

Bliskość N. Nowgorodu z granicą Syberyjską, skąd zagrażał potomek Tatarów, którzy w XIV wieku dwakroć zdobyli to miasto — usprawiedliwiała środki ostrożności, przedsiębrane przez zaniepokojony rząd. Biura policji, otwarte dzień i noc pełne były przyjezdnych z Europy i z Azji, poddanych najsurowszej rejestracji. Strogow w przejściu usłyszał czyjś trwożny głos.

— Mają zamknąć jarmark!

Około mówiącego skupiła się zaraz gromadka osób. Padały zdania lękliwe.

— Mówią, że Tatarzy zagrażają Tomskow

— Policmajster otrzymał ważny rozkaz!... Zmierz tu od Pałacu gubernatorskiego.

— Oto on!

Krzyki ścichły nagle. Na czele oddziału kozaków wjeżdżał na plac policmajster. W ręku trzymał papier. Tłum otoczył go w posępnem milczeniu. Rozumiano, że ma ogłosić ważną nowinę.

Głosem podniesionym odczytał.

Dekret General-Gubernatora.

Artykuł I. Zabrania się Rosjanom opuszczać gubernię Nowgorodzką z jakiegokolwiek bądź powodu.

Artykuł 2. Rozkazuje się pizybyšom pochodzenia azjatyckiego opuścić gubernię w przeciągu 24 godzin.

ROZDZIAŁ VI

Brat i siostra.

Oba nakazy, jakkolwiek brzmiały posępnie, miały słuszną podstawę. Jeżeli Iwan Ogarew nie wyjechał jeszcze, to artykuł pierwszy przeszkodzi zdrajcy połączyć się z Feofar-chanem. Drugi rozpędzał zbiorowisko mongołów, podatne do buntu i do szpiegowania na rzecz najeźdźców.

Ale oba były ciosem dla bywalców jarmarku. Pierwszy zakaz więził formalnie tych, którzy zjechali do N. Nowgorodu przygodnie i na krótko. Drugi rozkaz ogromnej rzeszy ludzi, żyjących z dnia na dzień, wydierał zarobek na jarmarku, a nadto, wobec zamknięcia przez front uralski granic Syberji, odpy-

chał ich na południe, kędy oczy poniosą, na odległe i utrudnione szlaki powrotu do miejsc rodzinnych przez morze Kaspijskie, Persję lub Turcję.

Ale obecność agentów policji i kozaków głuszyła rwący się z duszy tłumów krzyk protestu. Rozpoczęło się gorączkowe zwijanie namiotów; zamilkły śpiewy; ładowano towary na wozy. Ustępowali z placu biedni Cyganie. Rozbierano budy cyrkowe sztukmistrzów. Żołnierze z bagnietami na karabinach pomagali kolbami opóźniającym się. Gwarna arena jarmarku ku wieczorowi miała zamienić się w pustynię.

Strogowa, obecnego przy początkach ewakuacji, uderzyła pewna okoliczność. Jakim sposobem wczorajszy cygan przewidział dekret?! Albowiem jasnym było, że wyraz „ojciec“ w gwarze cygańskiej pokrywał inny termin: „cesarz“. Oto nieuchwytni szpiegowie! — myślał. Miał wrażenie, że dekret cesarski zdawał się być tamtym, rozmawiającym wczoraj o zmroku, raczej na rękę...

Ale nie zastanawiał się nad tem dłużej. Pochłonięła go naraz myśl inna — o Liwoniance. Biedne dziecko! musiał przeczyć ją jakiś niezmiernie ważny powód do tej podróży....

A teraz droga do Irkucka była dla niej zamknięta. Gdybyż mógł jej przyjść z pomocą...

Błysnęła mu nowa myśl. W gruncie rzeczy mógł jej pomódz, nie narażając całkiem swojej misji. Przeciwnie jej towarzystwo w podróży dawało się doskonale wykorzystać. Człowiek samotny narażał się na podejrzenia w drodze o tak burzliwym czasie. Ale któżby wątpił, że ten, kto podróżuje z kobietą, jest tym, za kogo się wydaje — istotnym kupcem Irkuckim, Korpanowym?!

Rozpoczął ponownie gorączkowe poszukiwania, zaniechane wczoraj. Ponieważ nieznajoma miała, jak

i on, jechać przez Perm, a mogła nie wiedzieć jeszcze o dekrecie, spodziewał się znaleźć ją na przystani. Przebiegł most ruchomy, położony na łożdach. Nie było jej tam, jak nie było jej wśród tumultu na placu jarmarku. Ale musiała być w mieście, z którego przecież wyjść nie mogła. Zachodził do mnóstwa zajazdów — nadaremnie!

Była godzina jedenasta. Miał jeszcze godzinę na poszukiwania. Przyszło mu na myśl, że nieznamoma może być w biurze policji. Wszakże i on winien był tam uzyskać wizę. Dotyczyło to mnóstwa innych. Jakkolwiek dekret wyrzucał za obręb guberni wszystkich przyjezdnych pochodzenia Azjatyckiego w ciągu 24 godzin, rząd nie oszczędzał im martyrologji wyjednanja sobie w tak krótkim czasie przepustek. Chodziło o kontrolę nad wyjezdnyimi, przyczem spodziewano się złowić nie jednego szpiega. Tedy w biurze policji był olbrzymi natłok nieszczęsnych, którzy godzinami wystawać musieli w oczekiwaniu wizy. Znaczny „kupiec Irkucki“ spodziewał się przecież, że będzie szybko dopuszczony przed oblicze samego szefa policji, zwłaszcza, że miał czem pomazać pośredniczące przy wstępie do niego ręce podkomendnych.

Na ławce w poczekalni ujrzał kobietę, pochyłą przygnębieniem, z twarzą, pełną rozpaczki. To była jego Liwonianka. Odmówiono jej wizy, jako poddanej rosyjskiej. Jej specjalne upoważnienie do podróży syberyjskiej traciło moc wobec surowości dekretu, rozciągającego się na wszystkich Rosjan europejskich.

Kiedy zobaczyła go przed sobą, strzelił z oczu jej błysk nadziei. Szła ku niemu, aby poskarżyć się, szukać pomocy. Ale w tej-że chwili agent policji położył dłoń na ramieniu Strogowa: „Szef policji czeka na pana!“

Widząc, że zniknął we drzwiach, opadła bez nadziei na ławkę. Ale jeszcze nie upłynęły trzy minuty, a Michał Strogow pojawił się znowu w towarzystwie agenta policji. W ręku trzymał „podorożną“, która otwierała mu wszystkie drogi Syberji.

— Zbliżył się do Liwonianki i, wyciągając do niej rękę, rzekł:

— Siostró!

Zrozumiała. Powstała natychmiast, aby obecnemu przy rozmowie agentowi nie dać powodu do podejrzeń.

— Siostrzyczko!—powtórzył Strogow—Policmajster upoważnił nas oboje do powrotu do Irkucka zwykłą drogą. Czy pojedziesz zenną?

— Oczywiście, braciszku!—odparła, podając mu rękę z wdzięcznym uśmiechem.

I oboje opuścili dom policyjny.

ROZDZIAŁ VII.

Z biegiem Wołgi.

Na przystani było zbiegowisko. Niemogący wyjechać przyszli patrzeć na zmuszonych do wyjazdu. Policja surowo baczyła, aby nikt nie przedarł się na statek bez przepustki. Oddział kozacki pilnował brzegu na wypadek potrzeby okazania pomocy policjantom. Ale tłum był, jak zwykle, pokorny, acz posępny.

Kominy „Kaukazu“ dymiły. Gwizdania sygnalizowały odjazd. Strogow stał na pokładzie obok młodej

Liwonianki. „Brat i siostra“ wyjeżdżali z upoważnienia gubernatora. Nie zadał jej dotąd pytania o powód jej podróży. A ona dziękowała mu jeno niemem wejrzeniem: bez jego pomocy, zesłanej przez Opatrzność, byłaby uwięzioną w tem mieście. Żegnali wzrokiem radzi przystań, oddalającą się, w miarę, jak statek sunął po rzece. Wołga, starożytna Ra, jest najrozleglejszą rzeką w Europie. Ciągnie się na przestrzeni 4300 kilometrów, przyjmuje wody dwustu rzek, jest pniem głównym olbrzymiego systemu dopływów i kanałów, skrapiającego 9 gubernji i siedemdziesięciu gardzielami wpada w Morze Kaspijskie. Jej fale, zamulone u wierzchołków, jaśnieją i szerzą się od wód wpadającej w nią pod Nowogrodem Niższym bystrej Oki, zyskując na spławności. Niosą one liczne barki i tratwy z drzewem.

Statki Towarzystwa Transportowego, kursującego pomiędzy tem miastem a Permą, zatrzymują się w Kazani na godzinę dla zaopatrzenia się w nowy zapas węgla, a skręcając nieco poniżej tego miejsca, w górę wód wpadającej tu Kamy, zużywają na całą tę drogę blisko 62 godzin.

Parostatek „Kaukaz“, na którym Strogow zajął dla siebie i towarzyski dwie kajuty pierwszej klasy, zabierał trzy kategorie podróżnych. Do pierwszej należeli bogaci kupcy — Ormianie, Turcy, Indusi, rzucający się w oczy charakterystycznością świetnych narodowych strojów. Do drugiej należeli przeważnie Tatarzy, zajmujący wielkie wspólne kajuty. Rozmaita biedota cisnęła się wprost na pokładzie, obozując na swoich tłumokach. Prócz wygnańców-azjatów było tu sporo chłopów rosyjskich, zmierzających do miast i wsi swojej gubernji, czego im dekret nie wzbraniał. Spłowiałe barwy łachmanów i szare twarze tej gromady ludzkiej licowały z monotonią piaszczystych brze-

gów tej części drogi, gdzie ołówek rysownika rzadka uchwycić mógł jakiś malowniczy pejzaż urodzajnego pola, lub zielonych wzgórz.

Zapatrzona smutnie w brzegi Liwonianka pierwsza przerwała dłużące się od godzin paru milczenie, zwracając się do Strogowa:

— Bracie jedziesz do Irkucka?

— Tak, siostró. Jak i ty. A gdzie ja przejadę, i ty przejedziesz.

— Jutro opowiem ci, dlaczego jadę za Ural.

— Nie wymagam tego.

— Ale przed bratem nie wolno mieć tajemnic — uśmiechnęła się smętnie. Tylko że dziś... jestem tak zmęczona.

— Pójdź więc odpocząć do kajuty.

— Dobrze!

— Idź...

Zatrzymał się. Zrozumiała, że chciał ją nazwać po imieniu.

— Nazywam się Nadja — wyciągnęła doń rękę.

— Idź, Nadziu! I polegaj na twym bracie, Mikołaju Korpanowie.

Odprawił ją do kajuty. Potem sam jął błądzić po statku. Obserwował podróżnych. Lecz nie wdał się z nimi w rozmowę. Uważał to za najlepszy sposób zachowania swojego incognito. Zresztą inni także milkli, gdy przechodził. Wszędy wisiało tłoczące podejrzenie, że policja wysłała na statku swoich tajnych agentów. Wystrzegano się mówić w głos wobec nieznanego. Tylko dwaj cudzoziemcy zachowywali zupełną w rozmowie swobodę, używając nadto—widać dla wprawy—rosyjskiego języka,

— Ach, to pan, drogi towarzyszu, pan, którego miałem przyjemność poznać na balu w Moskwie i widzieć przelotnie na jarmarku!—zawołał głos wesoły.

— Ja we własnej osobie! — odparł głos suchy.

— Jedziesz pan tedy za mną?

— Albo przed panem!

— Za?.. Przed?... A gdybyśmy byli, jak żołnierze, idący zawsze w jednym szeregu.

— Mimowoli wyprzedziłbym pana.

— Oho! Doskonale! Ścigajmy się jednak później na teatrze wojny, gdzie będziemy rywalami.

— Może nieprzyjaciółmi.

— Niech i tak będzie. Miłą mi jest pańska precyzja. Ale po cóż, do licha, mamy tutaj już wieść spory, skoro o wyprzedzeniu się na jednym statku nie może być mowy?! Wszakże pan jedziesz do Permu tą samą, co i ja drogą?

Zapewnie!.. Najdogodniejszą — do wrót Uralu.

— Więc będziemy mieli czas, znalazłszy się za granicą, w Syberji, zawołać: „Każdy za siebie, a Bóg za...”

— Za mnie!

— Albo za mnie!.. A teraz przez kilka dni neutralnych, kiedy wiadomości kapać nam nie mogą, będziemy przyjaciółmi, nim staniemy się rywalami.

— Nieprzyjaciółmi!

— Niech i tak będzie! Zresztą przyrzekam chować w tajemnicy przed panem to, co zobaczę...

— A ja to, co usłyszę...

— Ręka?

— Ręka!

Pięć palców sangwinika potrząsnęło dwoma palcami flegmatyka.

— A propos, telegrafowałem kuzynce tekst dekretu, ogłoszonego o 12-ej, dziś o godz. 10 minut 17.

— Ja do Daily Telegraph o 10 minut 13.

— Brawo, panie Blount!

— Brawo, panie Jolivet!

- Muszę odegrać się o te cztery minuty
- To będzie trudne.
- Spróbuję!

Przyjaciele, czy wrogowie, obaj myśliwi na nowości, dzięki propozycji towarzyskiego Francuza i aprobachie zmilkłego Anglika, za chwilę pili przy tym samym stoliku w bufetowej sali autentyczne **Cliquot**, A Strogow, patrząc na nich, myślał: „Oto ciekawscy, których należy się wystrzegać”.

Liwonianka nie przyszła obiadować. Spała w kajucie. Nie chciał jej budzić. Zapadał łagodny w tym pasie i o tej porze zmierzch. Strogow, błakając się po pokładzie, wszedł na schodki i wkroczył do oddziału trzeciej klasy. Mnóstwo nędzarzy chrapało, rozłożywszy się na podłodze, z węzełkami pod głową. Niektóre gromadki w połysku czerwonych latarni, zapalonych na skraju statku, gwarzyły półgłosem. Była tu grupa cyganów — tancerzy i akrobatów, wypędzonych nagle nielitościwym dekretem z jarmarku. Mówili swoim oryginalnym narzeczem.

Naraz Strogowa uderzyły dwa znajome głosy. Jakimś instynktem wiedziony ukrył się w cieniu wielkiego komina od kotła parowego. Nasłuchiwał.

— Powiadają, że kurjer wyjechał z Moskwy do Irkucka! — mówił głos kobiecy.

— Powiadają, Sangaro! Ale lubo dojedzie za późno, lubo nie dojedzie wcale! — odparł głos męski.

Nie ulegało wątpliwości. To była ta sama para cygańska, która rozmawiała przy nim wczoraj wieczorem.

Cofnął się. Udał się do swojej kajuty. Legł w ubraniu na łóżko, z rękoma pod głową. O śnie nie było mowy. Dumął:

— Kto wie o moim odjeździe i kto się tem interesuje?

ROZDZIAŁ VIII

W górę Kamy.

Nazajutrz rankiem 18 Lipca statek przybył do przystani, oddalonej o milę od Kazani. Na brzegu tłoczyła się ludność, ciekawa nowin, złożona przeważnie z Czeremissów, Mordwy, Czuwaszów i Tatarów. Ci ostatni bądź nosili przy krótkich kaftanach czapki z okrągłymi wyłogami, przypominające tradycyjny kapelusze Piotra Wielkiego, bądź długimi kapotami i myckami przypominali żydów polskich.

Wielkorusów na wybrzeżu było niewielu, jakkolwiek Kazań jest miastem gubernialnem, posiadającym uniwersytet rosyjski i cerkiew archierejską. Ale na przystani znaleźli się w przeważnej liczbie Azjaci, których dotknął dekret wygnania, wydany przez miejscowego gubernatora wzorem zakomunikowanego telegraficznie z guberni sąsiedniej. Oczekiwali na statek. Wysiadającymi byli tu natomiast chłopcy rosyjscy, wracający do swoich osiedli.

Obaj dziennikarze, korzystając z godziny przerwy podróźnej, wyszli na brzeg. Milczący Blount rysował w karnecie typy ludzkie. Żywy Jolivet zagabywał wszystkich, notując odpowiedzi w pamięci, Strogow nie wyszedł na brzeg, nie chcąc pozostawić Liwonianki na pokładzie bez opieki.

I znowu coś go uderzyło mocno. Grupa cyganów, którą obserwował wczoraj w pomroku, wysiadła tutaj. Zdał sobie sprawę z tego, że w dzień kryła się pod pokładem, a dopiero nocą wyległa na gó-

rę, gdy nie można było jej się przypatrzeć. Nie godziło się to ani ze zwyczajami Cyganów, ani z dusznością dnia w porze letniej. Uderzyło go i to także, że stary Cygan — widocznie wódz grupy i ten, który zaczepił go na placu w „Niżnym,” — idąc przodem wysiadających, nie występował z dumą zwykłą randze wodza i swobodzie cygańskiej. Nędzną czapę nasunął mocno na czoło, garbił się, a na ramiona naciągał grubą switę, otulając się nią wbrew skwarowi poranka.

Jakaś młoda cyganka, schodząc ze statku, nuciła:

„Przepaszę złotą mam na kruczych włosach.

„Korale lśniące na brunatnej szyi...

„Idę za szczęściem”...

Ledwo miał czas pomyśleć o tem, że niejedna z pięknych tancerek - cyganek znalazła fortunę, stanawszy na ślubnym kobiercu z jakimś magnatem rosyjskim. Albowiem tok jego myśli przerwała zamykająca pochod Sangara — kobieta lat 30, wysoka, wyprostowana dumnie, o bujnych włosach i wspaniałych oczach, mierząca go w przejściu niesamowicie przenikliwym spojrzeniem, jakby chciała sobie wryć w pamięć jego rysy. Był pewny, że to była ona, która już raz wzięła go za szpiega i niewątpliwie zauważyła wczoraj dobrze kociem spojrzeniem cygańskim, widzącym nawet w mroku.

Miał chęć przez chwilę pójść ich śladem, wybadać zamiary tej grupy: dokąd, którędy się udają. Ale powstrzymał się.

— Gadając z tą bandą, ryzykuję zdradzić własne incognito. I po co... Jeżeli nawet podążają z Kazani na Iszym w moim kierunku, tarantas, zaprzężony w dobre koniki syberyjskie, zawsze wyprzedzi furę cygańską. Bądź więc spokojny, druho Korpanowie!

Zaznaczmy, że Kazań zwany „wrotami Azji” otwiera dwie drogi poza Ural. Ale obrana przez Strogowa droga na Perm, Ekaterynburg, Tiurneń, jest dogodniejsza znacznie w charakterze szlaku pocztowego od krótszej wprawdzie, lecz ciężkiej i pustynnej drogi na Iszym, Czelabugę, Złatoustje, oraz leżące już w Azji Czelabińsk i Kurganę. To właśnie skombinował Strogow, śledząc oczyma znikającą zdala grupę cyganów z Sangarą na tyłach.

Statek, zabrawszy zapas węgla, podniósł kotwicę Strogow zauważył, że z dwóch dziennikarzy tylko Blount był na pokładzie. Czy Francuz został umyślnie, czy też nie zdążył na czas?... Wtem ukazał się na brzegu — pędzący, zadyszany, gdy już statek odsunął się od przystani. Ale zręczny Jolivet wykonał skok, godny znakomitego clovna i... poprostu padł w objęcia angielskiego kolegi.

— Sądziłem, że pan obrałeś gorszą drogę! — rzekł z przekąsem Blount.

— Nigdy! przekładam pańskie towarzystwo! Ale od przystani do telegrafu jest wcale daleko...

— Zarty! czyliż funkcjonuje telegraf do Koływani?

— Nie! ale zapewniam pana, że działa między Kazaniem a Paryżem.

— Pan telegrafował?!

— Do kuzynki... Mogę teraz powiedzieć panu nawet treść depezy. Jestem dość pocciwy, aby nie kryć się z tem, czego się dowiedziałem. „Tatarzy z Fofar — Chanem na czele minęli Semipałatyńsk i płyną w dół Irtyszu”.

Blount, zagryzłszy wargi, odszedł. Stał przy barjerze chmurny, skrzyżowawszy ręce na piersi. Jego dziennik był zdystansowany.

Na pokładzie pojawiła się Liwonianka.

— Spójrz, siostrzyczko! — rzekł Strogow. I zachwycony wskazał jej wspaniałą panoramę leśną,

która w skrzących blaskach słońca rozwijała się przed nimi w chwili, kiedy statek wstępować jął w górę świetlistych fal Kamy. Ale oczy Nadzi nie rozpromieniły się. Z troską wbijały się w horyzont, jakoby sięgając do odległego celu.

— Jak daleko jesteście od Moskwy?

— 900 wiorst! — odparł.

— 900 na 7000! — westchnęła.

Skłonił ją, aby zjadła śniadanie. Ale ponieważ odmówiła przekąsek, kawioru, śledzi i zaostrzających na północy apetyt wódek — poświęcając się, spożył z nią razem tylko „kulebiakę”, zapijając ją herbatą.

Szybko nasyciwszy się, bez żadnych wstępów, przyciszonym głosem, aby on tylko sam słyszał, oświadczyła Nadja towarzyszowi:

— „Bracieli jestem córką wysłanego na osiedlenie. Nazywam się Nadjeżdza Fedor. Moja matka zmarła w Rydze przed miesiącem. Ja udaję się do Irkucka, aby podzielić wygnanie ojcowskie”

— Będę rad doprowadzić Nadję Fedor zdrową do jej ojca.

— Dziękuję! Gdyby nie ty, umarłabym samotna w Nowogrodzie.

— Jakże ważyłaś się udać na Syberję w czasie tak burzliwym?

— To był mój obowiązek. Zresztą dowiedziałam się o wybuchu zamieszek już po wyjeździe z Rygi, dopiero w Moskwie.

— Jednak... nie zawróciłaś!

Opowiedziała mu z niezmierną prostotą, nie podkreślając uczuć, podając krótko niemal same fakty, ale tem nie mniej wzruszając słuchającego — smutną historją swego życia.

Pewnego dnia szczęście jej rodziny zostało zburzone. Ustaloną została łączność jej ojca — szanow

nego i wziętego lekarza— z jakimś stowarzyszeniem tajnym, w gruncie rzeczy nie dążącym do przewrotu, ale zakazanem przez podejrzliwość miejscowych władz. Wasyli Fedor, aresztowany nagle przez żandarmów, nie mając czasu objąć żony, już wówczas chorej, i córki—dwu opłakujących rozstanie z nim istot — został zesłany administracyjnie na Syberję. Od dwóch lat mieszkał tam, uprawiając zawód lekarski. Żona nie mogła udać się za nim. Choroba, wzmożona przez cios rozłąki z mężem, potęgowała się z dnia na dzień. W dwadzieścia miesięcy potem matka zeszła do grobu, Nadja, pozostawszy sama, ledwie mając z czego żyć, z wielkim wysiłkiem zebrała jakie takie środki oraz i od łaskawego na nią nowego gubernatora wyjednała sobie zezwolenie na wyjazd do wzywającego ją ojca. Uczyniła co mogła. Reszta jest w ręku Boga...

...Orzeźwiający powiew nocy szedł od lasu. Statek robryzgiwał kołem sterowem szumiące wody i rzucał miliony iskier na brzegi, na których kupiły się świecąc w mroku ślepiami, stada wyjących wilków!

ROZDIAŁ IX.

W tarantasie dniem i nocą.

Perm, stolica guberni, obfitującej w marmury, sól, platynę, srebro i złoto, w pokłady węgla, eksploatowane na wielką skalę—ostatni port na rzece Kamie — miasto, otwierające widok na pasma gór Uralskich, jest brudne, błotniste, pozbawione komfortu i tym, którzy przybywają ze środka Azji, nie daje zbyt

pochlebnego pojęcia o Europie, jako pierwsze na jej granicy wielkie osiedle miejskie.

Michał Strogow, przybywszy tutaj dn. 18 lipca, znalazł się w dużym kłopotcie, szukając środków dalszej lokomocji. Poczta ze względu na okoliczności burzliwego czasu była w stanie dezorganizacji. Tajny goniec carski, nie mogący liczyć na inne przywileje prócz rubli, dawanych woźnicom „na wódkę”, jadący w charakterze osoby prywatnej, wolał zakupić sobie pojazd. Ale wysłani dekretemi ludzie zamożniejsi azjatyckiego pochodzenia już zdążyli wyjechać, zabrawszy najlepsze pojazdy, i Strogowowi wypadło poszukiwać wśród odpadków.

Ofiarowywano mu fury, nie dające mu elementarnych wygod, i przychodzące do celu nieraz na dwóch przednich kołach, gdyż pozostałe dwa grzęzną w błocie — rezultat jeszcze pomyślny.

Na szczęście, odkrył jakiś pozostały tarantas — ostatnie słowo sztuki kołodziejskiej w Permie: wprawdzie bez resorów, jak i „telega”, ale z osiami utrzymującymi jako tako równowagę z nakryciem skórzanem, dającym jakąś osłonę przeciw kaprysom atmosfery, całość z materiału niewątpliwie kruchego, ale na wypadek połamań pozwalającego się łatwo zastąpić na drogach przez okolice leśne. Udawał jednak, że się mocno targuje, aby nie zdradzić się z koniecznością pośpiechu, któremu traf możliwie pomyślnie się przysłużył.

— Wolałbym dać ci powóz wygodniejszy — rzekł do Nadi, towarzyszącej mu w poszukiwaniach.

— Gotowa byłam iść pieszo, aby połączyć się z ojcem!

— Nie wątpię o twojej odwadze. Ale trudy fizyczne dla kobiety...

—Zniosę wszystkie: Jeżeli wydrze się kiedyś skarga z moich ust, porzuć mnie, bracie, na drodze i jedź sam!

W pół godziny potem, po okazaniu „podorożnej“, trzy małe, ale ogniste, koniki syberyjskie, pokryte długą siercią, podobne do niedźwiadków — stały w zaprzęgu. Nad środkowym wyginała się tradycyjna „duga“ drewniana, obciążona dzwoneczkami, weselącemi podróż i znaczącemi rozpęd dla uszu koni i pasażerów.

Woźnica („jamszczyk“) — najmowany od stacji do stacji — tylko cudem utrzymywał równowagę na przedzie, kontentując się jakimś fikcyjnym kozłem. W tarantasie na bagaż nie było miejsca — ale podróżni go też nie mieli; wzięli ledwo pewne zapasy jadła na wypadek opóźnienia do następnej gospody pocztowej.

Pierwszy jamszczyk, niski Sybirak, włochaty, jak konie, dumny z herbów poczty cesarskiej na guzikach sukmany, uderzony był jednak brakiem zupełnym bagażu. Niepodobna zabrać wiele, ale nie mieć go wcale?! Skrzywił się. Mruknął.

— Kruki! sześć kopiejek za wiorstę...

Ale Strogow rozumiał żargon jamszczyków.

— Niel... Orły! I dziewięć kopiejek za wiorstę, prócz napiwka.

To znaczyło, że jamszczyk się omylił. Ci, których oceniał, jak biedotę, godną ledwie biegu kruków, pretendowali do lotu ptaków królewskich a za pościech płacili dobrze. Trzasnął wesoło z bicza. I jał wnet zachęcać konie do szybkiej jazdy na ten jedyny w świecie sposób, który znany jest tylko rosyjskim woźnicom. Jest to rozmowa ze zwierzętami, niby z istotami rozsądnymi i sumiennymi, czulszemi na wyrazy, niż na lekkie i rzadkie zresztą smagnięcia bicza.

Nieustannie padały pochlebne interpelacje: „Wio, moje gołąbki! Lećcie, szlachetne jaskółki! Ostrzej, kumie, z prawej strony! Pędź, ojczulku z lewej!” Ale jak tylko konie po bokach zaprzestawały towarzyszyć galopem średniemu, większemu, idącemu stale sporym truchtem, gardłowy głos rzucał wymysły, których walor zwierzęta znały dobrze: „Pchaj, ścierwo djabelskie! Nu-że, ślimaku. Zakatrupię was żywcem i będziecie przeklęte na tamtym świecie!”... I tarantas biegł, pochłaniając do cztertnastu wiorst na godzinę.

Strogow nazwyczajony był do tego rodzaju jazdy: wehikuł rosyjski nie dba o kamienie, sęki, rowy, przewrócone drzewa — wiedział o tem. Ale i jego towarzysza, narażona na obrazy od ciągłych wstrząśnień, nie skarżyła się. Milcząca z początku w tym zapierającym dech wyścigu z wiatrem, potem zdołała już nawiązać rozmowę z towarzyszem podróży.

— Od Permu do Ekaterynburga liczą 300 wiorst — czy tak?

— Tak! A tam będziemy już u samego podnóża gór Uralskich.

— A przejazd przez góry trwa długo?

— 48 godzin, gdyż jechać musimy dzień i noc... Nie wolno mi spóźnić się, Nadziu!

— Nie opóźnij twej podróży. Będziemy jechali dzień i noc.

— Jeżeli najazd tatarski nie zagrozi nam drogi, przybędziemy do Irkucka za 20 dni.

— Robiłeś już tę podróż?

— Nieraz, ale w zimie.

— To byłoby prędzej i bezpieczniej.

— Ale nie zniosłabyś mrozów i śnieżycy,

— Zima jest przyjaciółką Rosjanina!

— Ale jednak ile temperamentu wymaga ta

przyjaźni! Przechodziłem 40-stopniowe mrozy w tych stepach! Pod pokryciem skór jelenich serce mi lodowaciało — w potrójnych pończochach z wełny stopy tężały! Skorupa z lodu pokrywała konie — ich dech przed nozdrzami krzepł. Wódka we flaszy zmieniała się w kamień — nóż nie pokrajałby jej. Ale sanie mknęły, jak huragan po szybach zamarzłych jezior, lubo po gładkim obrusie śnieżnej pustyni... Lecz ceną jakich cierpień, Nadziu — o tem coś wiedzą ci, zasypani, którzy już nigdy nie powrócą...

— Wszelako tyś wrócił, bracie!

— Trzykrotnie... Bom Sybirak, wdrożony przez ojca od dziecka do polowań...

— I podtrzymywała mnie miłość dla matki, gdym jechał do niej do Omska...

— A mnie podtrzyma miłość dla ojca, któremu wiozę do Irkucka ostatnie słowa matki...

— Jesteś dzielne dziecko i Bóg ci dopomoże!

Tego dnia zmieniający się na każdej stacji „jamszczycy” wieźli ich chyżo, zachęcani sutemi napiwkami, a może przejęci szacunkiem dla tej pary, która miała papiery w porządku i ważyła się jechać w głąb Syberji o tak niepewnym czasie. Zresztą podróżni nie byli na tej drodze sami jedni. Gonicz carski dowiedział się, że jakiś wóz ich poprzedza.

Zatrzymywano się tylko dla posilenia się w pocztowych zajazdach urządzonych z komfortem. Zresztą, gdzie takich brakło, wystarczało zapukać do któregoś z włościańskich domków po drodze, które kupiły się tu i ówdzie przy cerkiewce swemi białemi ścianami i zielonemi dachami. Wnet na progu stawał z uśmiechem chłop i przyjmował gościa chlebem i solą, a gosposia w domu oczekiwała z samowarem. Gdyż lud tutejszy mówi: „Gość w dom—Bóg w dom”.

Przed wieczorem, tknięty instynktem, Strogow za-
pytał naczelnika stacji pocztowej:

— Jak dawno przejechała przed nami owa „te-
lega“?

— Przed dwiema godzinami.

— Ilu pasażerów?

— Dwóch.

— Czy prędko jadą?

— „Jak orły“

— Musimy jechać niezwłocznie! — zerwał się
Strogow.

Jechali całą noc. Nadja spała kilka godzin, choć atmosfera stawała się ciężką i duszną. Michał czuwał. Niepokoiły go pewne oznaki, świadczące o nasyceniu powietrza elektrycznością i zapowiadające nadciągnięcie burzy od gór. Niedowierzał przytem jamszczykom, łatwo przy braku pobudki zasypiającym na swoim siedzeniu, przyczem konie wloką się krokiem. Tym sposobem nie stracono chwili czasu, ani na spoczynek, ani na drogę.

Noc minęła szczęśliwie. 20 lipca rankiem zarysowały się przed nimi łańcuchy gór granicznych między Rosją Europejską i Syberją. Łudząco bliskie, ale trzeba było jeszcze jechać do nich dzień cały. Pokryte obłokami niebo nadawało powietrzu miłą świeżość. Wszelako zapowiedź bliskiej burzy, doradziła nie angażować się wjazdem nocą między góry. Słychać już było echa dalekich gromów. I Strogow byłby się zatrzymał, gdyby nie pewna okoliczność.

— Czy wóz poprzedza nas ciągle? — spytał
woźnicę.

— Tak.

— Jest daleko przed nami?

— Około godzinę drogi.

— Naprzód! Potrójny napiwek, jeżeli jutro rano staniemy w Ekaterynburgu! Wyprzedź „telegę„!...

ROZDZIAŁ X.

Burza w górach.

Góry Uralu rozciągają się od Morza Lodowatego do Kaspijskiego, na granicy Azji i Europy, łańcuchem długości 3200 kilometrów. (Słowo „Ural“ oznacza po tatarsku: łańcuch.)

Wjeżdżając wpośród nie nocą, gdy napięcie elektryczności i zbliżające się gromy wróżyły niechybnie burzę, Michał Strogow przedsięwziął pewne środki zabezpieczające. Podwojono lejce, połączono belką poprzeczną obie osi, wysłano słomą oparcie, aby złagodzić wstrząśnienia, przywiązano z boków dach skórzany dla ochrony od deszczu i wichru. Nadja sznurami na krzyż umocowała na głowie kapturek, aby wiatr go nie zerwał. Zapalono po obu stronach tarantasu czerwone latarenki, oświetlające wprawdzie słabo drogę, ale chroniące od niespodziewanych zetknięć z ewentualnym pojazdem od strony przeciwnej.

— Gotowi jesteśmy — rzekł do niej.

— Jedźmy! — odparła spokojnie.

Słońce zachodziło złowroźnie. Olbrzymie, gęste obłoki nawisły nad ziemią w kształcie fantastycznych łuków, które od czasu do czasu łyskały światłem fosforycznym. Nie było wprawdzie poprzecznego wichru i nie poruszyły się one od jednego horyzontu do drugiego. Ale Strogow widział dobrze, że zniżają się już od zenitu ku ziemi — i tam w sferach gór-

nych musiał wiać huragan, który pędził je i przypierał. Gdyby nie zaczął prószyć deszcz, na drodze stałaby mur ciemnej mgły, w której tarantas nie mógłby się poruszyć bez ryzyka upadku w przepaść. Jakkolwiek góry Uralu nie posiadają wysokości Alp lub Himalajów — szczyt najwyższy sięga ledwo 5000 stóp — i niema tu śniegów wiecznych, zdarzają się okrutne zamiecie śnieżne, a walka żywiołów, wprawiających w ruch lawiny kamieni i wydzierających z korzeniami olbrzymie drzewa, stanowi niełada niebezpieczeństwo. Na tym szlaku śródgórskim niemasz schronienia: pustka była zupełna. Nigdzie domku; urządzenia fabryczne przy kopalniach kędyś zdaleka.

Cisza, słychać tylko trzaskanie z bicza, chryp zadyszanych w biegu koni, klekot podków żelaznych, krzeszących iskry z kamieni przy zetknięciu.

Nadja, skrzyżowawszy ręce na piersiach, zachowywała zupełny spokój, wtulona w głąb powozu. Strogow wychylił się z powozu, badając niebo, które przecinać jęły błyskawice, i nasłuchując szerszących się ech gromu.

— Jak prędko osiągniemy wierzchołka tego wzgórza? — zapytał jamszczyka, który przykrzykiwał gniewnie na konie, wahające się i ociężałe, nie zachęczone już do biegu brzękiem dzwoneczków.

— Nad ranem... jeżeli osiągniemy! — burknął ów, wstrząsając głową.

— Przyjacielu, nie pierwszy raz spotykasz burzę wśród gór?

— Nie pierwszy. Dałby Bóg, żeby dziś nie ostatni.

— Boisz się?

— Nie! ale niesłusznem było teraz jechać.

— Niesłuszniejszem dla mnie — zostać.

— Wio, moje gołąbki! — zawołał stangret, jak człowiek, którego rzeczą jest nie dyskutować, lecz słuchać

Błysnęło przeraźliwie. Na moment las sosnowy stanął w blasku jaskrawym. Tuż zaraz huknął grom — dłużąc się w ryku stu ech. To piorun uderzył zbliżka.. Zerwał się nagły wicher — leciał ze świstem szatańskim. Kilka olbrzymich drzew nie wytrzymało pierwszego nacisku orkanu i zważyło się z trzaskiem. O dwieście kroków przed nimi stoczyła się lawina pni, sęków, gałęzi, w przydrożną przepaść. Konie wystraszone zatrzymały się na moment.

— Naprzód, moje śliczne gołąbki! — zachęcał je jamszczyk.

Strogow ścisnął rękę Nadi.

— Spisz, siostrze?

— Nie, bracie.

— Bądź gotowa na wszystko. Oto burza.

— Jestem gotowa.

Pioruny padały za piorunami. Biły gromy. Dął wicher. Osłepione, ogłuszone, smagane deszczem konie stanęły dęba. Jeszcze chwila. Poniosą — rzucając się w bok, strącając pojazd w przepaść, zerwą uprzęż. Zabiegliwy woźnica zrozumiał niebezpieczeństwo — zeskokczył z siedzenia — rzucił się przed konie. Nie poradziłby sobie z oszalałymi zwierzętami. Ale z pomocą przyszedł mu Strogow. Obaj potężnymi mięśniami, nie bez trudu przecie, zatrzymali zestrachaną trójkę.

Lecz wściekłość huraganu zdwoiła się.

— Nie możemy tu zostać. Trzeba wznieść się wyżej! — rzekł Strogow.

— Ej, i tak tu nie zostaniemy Sam wicher przerzuci nas za tę górę! — odparł jamszczyk, nie ruszając się.

— Weź mi zaraz, hultaju, tego z prawej strony. Ja odpowiadam za lewego konia! — krzyknął Strogow.

W tej chwili pojazd z końmi odtoczony został przez nowy poryw wichru o kilka staj wstecz i szczęściem zatrzymał się o oporę z grubego pnia dębowego.

— Nie bój się, Nadziu! — zawołał Strogow.

— Nie boję się! — odpowiedziała z wnętrza powozu.

Jednak można było lękać się stoczenia w tem miejscu dalej w przepaść przy nowym nacisku orkanu.

— Trzeba zjechać! — rzekł jamszczyk.

— Nie, wjechać! — zaprzeczał Strogow.

— Konie odmawiają!

— Rób to, co ja.

— Ależ...

— Czy będziesz posłuszny? — wrzasnął Strogow.

— Ba, tobie?!

— To Ojciec ci każe przezemnie!

Ten głos potężny, powołujący się na Cara, uczynił woźnicę w mig pokornym.

Obaj mężczyźni z niesłychanym wysiłkiem — naprzeciw wicherze — potykając się co krok, prowadzili konie w górę jakie pół wiorsty, nieraz odrzucani wstecz i ponownie zdobywając drogę przebytą. Trzeba było wyjść poza szlak lawiny kamieni.

Naraz Strogow spostrzegł toczący się z góry olbrzymi odłam skały. Jeszcze chwila, a zdruzgocze tarantas z podróżną. Przytomny i heroiczny znajduje sposób ocalenia i siły nadludzkie: plecami odpycha w górę tarantas. Blok kamienny przemyka się — drasnął ledwie mogącego dyszeć — stoczył się w przepaść.

— Bracie! — krzyknęła Nadja, która w świetle błyskawicy widziała wszystko...

— Nie bój się! Bóg był z nami...

— Zemną, bo dał mi Ciebie!...

Strogow trafnie nalegał na posunięciu się pod górę z niebezpiecznej wśród wichury pochyłości. Pod olbrzymim występem skały znaleziono szerokie zagłębienie, w którym jako tako umieścił się tarantas z końmi i woźnicą. Była tu jeszcze pieczara, gdzie Strogow i Nadja mogli się schronić. Wicher szedł bokiem; nie zabryzgiwały ich już strugi deszczu, spadającego z nieba potopem.

— Nawałnica jest tak wściekła, że z pewnością nie będzie długa. Ale przed wschodem słońca nie wyruszymy stąd.

„Nie chciałabym, abyś opóźnił swój wyjazd ze względu na moje bezpieczeństwo...”

— Nie, dziecko! Ale jechać teraz byłoby to ryzykować więcej, niż twoje i moje życie. Byłoby to oddać na los szczęścia wielkie zadanie, które mam spełnić.

— Al obowiązek — rozumiem...

Tej samej chwili piorun uderzył w samotną sosnę na pobliskim urwisku. Stała w ogniu — jak gromnica. Jamszczyk doznawszy wstrząsu, padł na ziemię. Michał Strogow poczuł, że ręka Nadi mocno ścisnęła jego dłoń. Śród huku gromów szepnęła mu tuż przy uchu:

— Bracie! słyszysz? — ktoś krzyczy... wzywa pomocy.

ROZDZIAŁ XI.

Podróźni w kłopocie.

Krzyk się powtórzył.

— Jeśli ktoś żąda pomocy, należy udać się do niego. Wszakże gdybyśmy byli w podobnem położeniu, ów ktoś winienby to zrobić dla nas! — zdecydował z prostotą Strogow.

— Ależ pan nie zechcesz narażać koni! — sprzeciwił się jamszczyk.

— Niel pójdę pieszo...

— Ja z tobą! — rzekła Nadia.

— Proszę cię, Nadziu, zostań tu. Na wypadek pułapki, sam łatwiej dam sobie radę. Pójdę sam... Powrócę.

Za chwilę znikł im z oczu, pogrążywszy się w mroku. Szedł pod potokami deszczu, walcząc potężną pierśią z wichurą. Zdązał w kierunku krzyku. Prócz litości popychała go ciekawość; nie wątpił, że wołanie dochodzi od ludzi, którzy wyprzedzali go stale swoją „telegą”.

— Twój brat jest szalony! — mruknął jamszczyk.

— Niel tylko szlachetny — odparła.

Strogow szedł jakiś kwadrans. Jeszcze nie mógł dojrzeć w mroku, ale już wyraźnie chwycił uchem jakieś nawoływania. Rozróżnił dwa głosy.

— Butor! łajdakul czy ty powrócisz?

— Szelmo! pocztyljoniel czyś ogłuchł?

— Jak-em Francuz! każę cię ochłostać na najbliższej stacjil

— Tak postępować z obywatelem Brytańskim. Zaskarżę cię w Poselstwie— i będziesz wisiał!

Strogow był zdumiony. Śród wybuchów gniewu i rozpaczy nagle rozległ się śmiech.

— Ostatecznie to jest zabawne, daję słowo honoru. Jeżeli wyjdziemy stąd cało, muszę to opowiedzieć mojej kuzynce.

— Pan odważa się śmiać z okrutnego położenia korespondenta angielskiego dziennika?

— Z naszego!... Radzę panu zrobić to samo...

— Nic podobnego nie mogłoby się zdarzyć w Anglii!

— Ani we Francji!

Strogow zbliżył się.

— Al dzieńdobry panu!—zawołał Francuz. Zdaje mi się, że widzieliśmy się na statku Kaukaz. Zachwycony jestem, widząc pana w takich okolicznościach. Nazywam się Jolivet. Pozwól pan że będąc jego znajomym, przedstawię mu mego... nieprzyjaciela, pana Blount.

— Mikołaj Korpanow, kupiec z Irkucka!— przedstawił się Strogow w świetle błyskawicy. Co się panom stało?

— Spójrz pan, co nam pozostało z naszego środka lokomocji! — odezwał się z goryczą Blount, pokazując coś czerniejącego na drodze. Nędzna połówka wozu!

— Wyobraź pan sobie — wyjaśnił Jolivet: Ten szelma pocztyljon odjechał z końmi i przednią połową wozu. Sądziś pan że rychło wróci?

Strogow mimowoli się roześmiał.

— Z pewnością nie! Jestem pewny nawet, że nie zauważył, iż fura pękła. Pędził, jak szalony, nie obejrzawszy się. Spoztrzeże się dopiero jutro w Ekaterynburgu.

— Jakże pojedziemy dalej?! — rozpaczął Blount.

— Nic prostszego — żartował Francuz — „za-
przeżesz się, a ja będę gwizdał i wołał: „gołąbku!” Po-
biegniesz pan galopem.

— Panie Jolivet, pańskie żarty przechodzą gra-
nice.

— Uspokój się pan. Jak się zmęczone, pozwolę ci
wołać: „Djabelskie nasienie” i sam będę galopował.

— Nie kłóćcie się, panowie. Mam radę. Pożyczę
wam do zaprzęgu jednego z mojej trójki koni. I jeżeli
nie zdarzy się żaden przypadek, przybędziemy razem
do Ekaterynburga. A tam uzupełnicie waszą tylną po-
łowę wozu.

— Oto propozycja szlachetnego serca! — zawo-
łał Jolivet.

— Umieściłbym panów w moim tarantasie,
ale są w nim tylko dwa miejsca: dla mnie i dla
siostry.

— Wybawiasz nas pan z najprzykrzejszej pozycji
— rzekł Blount.

— Z najweselszej zarazem! — poprawił Jolivet.

— Z najprostszej w świecie w tym kraju! — roz-
strzygnął Strogow. Gdyby podróżni nie pomagali sobie
wzajem, należałoby zatarasować drogi.

— Mamy nadzieję, że zrewanżujemy się jeszcze
kiedyś panu — zauważył Francuz.

— Tymczasem raczcie panowie, zejść ze mną i
pomóż mi wciągnąć mój tarantas pod górę, bo koła
zagrzęzły w błocie przy tej plusze, a konie moje są
wyczerpane i zastraszone. Trzeba im nieco ulżyć.

Wszyscy trzej jęli schodzić po spadzistej drodze.

— Dokąd pan się udajesz? — zapytał Jolivet.

— Na razie... do Omska: — odparł Strogow, nie
chcąc nazbyt wywnętrzać się przed ciekawymi niezna-
jomymi. A panowie?

— My^ś bliżej... Gdzie kule nie dolatują za bardzo, a można nałapać ciekawych wiadomości... Do Iszymu będzie nam miło odbywać podróż z panem razem... Ale pan jest rzykant!

— Czemu, panie Jolivet? Ja jestem sobie spokojny kupiec—i też nie mam ochoty leżeć między kule i lance.

— No, to radzę panu śpieszyć do Omska! — mruknął Blount. Bo wkrótce można będzie nie dojechać.

— Oho! a gdzież to teraz są najeźdźcy tatarscy? spytał Strogow, pokrywając ciekawość obojętnym tonem

— Feofar-chan zajął całą gubernię Semipałatyńską i płynie w dół Irtyszu — rozgadał się Jolivet. Mówią, że na spotkanie z nim zdąży w przebraniu Iwan Ogarew.

— Skądże wie się takie rzeczy? — spytał Strogow.

— Ba! to jest w powietrzu—zdąża od Kazani do Ekaterynburga.

— Ach, to pan i o tem wie?! skrzywił się Blount.

— Oczywiście! — uśmiechnął się Jolivet.

— To może pan wiesz i to, że się przebrał za cygana?

— Za cygana?! — mimowoli krzyknął Strogow.

— Donosiłem już o tem kuzynce — rzekł Francuz.

— Nie straciłeś pan czasu na próżno! — zauważył Anglik.

— Właśnie dlatego spóźniłem się na statek.

Strogow ogarnął wspomieniem obraz starego Cygana, opuszczającego „Kaukaz.” Był wstrząśnięty do głębi jakimś domysłem—jakąś okrutną zagadką. Wtem krzyknął:— „Naprzód panowie!”—i jął biedz w dół.

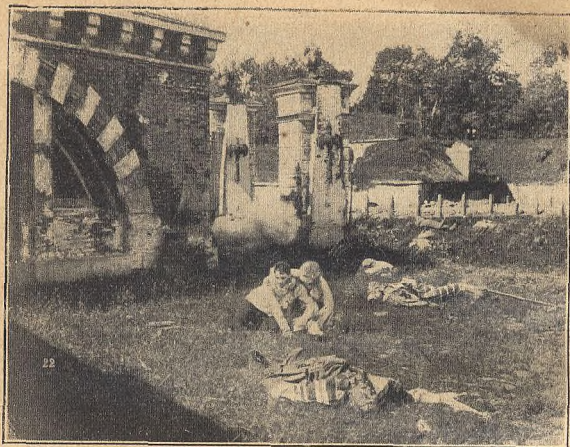
— Jak na kupca, lękającego się kul, biega on zbyt chyżo w miejscowości, gdzie strzelają — zauważył Jolivet.



Śród Tatarów.



Cyganka Sangara czarowała...



— „Nie traćmy nadziei..“



Tłum oczekiwał na przepustki.

Tegoż zdania był i Blount, który zatrzymał się zdziwiony na huk wystrzału. Potem dał się słyszeć ryk—jakaś ciemna masa przemknęła przed nimi.

—Niedźwiedź! Nadja!—zawołał rozpaczliwie Strogow. Już trzymał w ręku kordelas, wyciągnięty z za pasa—zmierzał na szczyt urwiska, pod którym znalazła schronienie Liwonianka. Zjawiał się w porę...

Olbrzymi niedźwiedź, wypłoszony burzą z nory, błakał się w pobliżu. Zwiertzył konie. Skoczył ku nim na dach tarantasu. Przerażona trójka koni w mig zerwała uprząż. Jamszczyk stracił głowę — z wrzaskiem pobiegł za końmi—utracił je w tej miejscowości było to zginąć. Rozumiała to Nadja—przytomna skorzystała z rewolweru, który jej zostawił na wszelki wypadek Strogow—zmierzyła za niedźwiedziem, który dopadał jednego z koni. Rozwścieczone, ranne w łeb zwierzę, zwróciło się ku dziewczynie, szukając zakrwawionemi ślepiami swej krzywdzicielki. Szło ku niej, na dwóch łapach, wyprostowane, groźne, wyciągając pazury łap przednich, aby zedrzeć ofierze zwyczajem swoim skórę z głowy. Nadja strzeliła — tym razem chybiła — śmierć była blisko...

Ale ze skały olbrzymim susem skoczył Strogow między nią i niedźwiedzia. Jeden moment — a straszliwy cios noża, pociągniętego po brzuchu zwierzęcia od dołu ku górze, rozpruł je, nie psując drogocennej skóry—według zasad myśliwych Syberji.

— Nie jesteś ranna, Nadziu?!—spytał Strogow.

— Nie, bracie.

Dwaj dziennikarze zbliżyli się do trupa niedźwiedzia.

— Ślicznie pokrajanel!—wywodził Blount.

— Do licha! jak na kupca, władasz pan zbyt pięknie nożem—krzyczał zachwycony Jolivet.

— W Syberji, panowie, trzeba potrafić wszystko, potrochu — rzekł skromnie Strogow.

— A i siostrę masz pan nie od parady! — cmoknęła francuz. Gdybym był niedźwiedziem...

Ale już Strogow nie słuchał. Biegł przytrzymać spłoszonego konia, który przemknął wśród drzew. Dwa inne sprowadził jamszczyk.

Świtało. Burza przeszła. Jamszczyk skrzywił się, że miast jednego, ma zająć się zaprzęgiem do dwóch wehikułów — z których drugi był przytem tylko dwukolnem siedzeniem, służącym jakimś przybłędem. Ale obietnica ksiązęcego napiwku poprawiła mu żywo humor.

O szóstej nad ranem oba wehikuły wjeżdżały na dwór poczty Ekaterynburga.

Pierwszym napotkanym u wrót był zgubiony nocą jamszczyk dziennikarzy. Wyciągnął on zaraz rękę po napiwek. Gdyby się nie usunął, Anglik poczęstowałby go rodzimym boksem. Ale Jolivet pobiegł za nim ze śmiechem i wręczył mu sute napiwne. Powróciwszy, rzekł do zdziwionego kolegi:

— On ma słuszość. Przybył do umówionego celu. To nie jego wina, że nie zdążyliśmy za nim.

— Ja wytoczę proces temu szelmie! — zawył Anglik.

— Procesy w Rosji! Trwają one za długo. Czy słyszałeś, kolego, o procesie tej mamki, która domagała się, aby jej przyznano zgodnie z umową prawo wykarmienia dziecka pewnego magnata...

— Przegrała?

— Nie! wygrała — wtedy, kiedy dziecko było już generałem huzarów!

Wszyscy roześmieli się. A Jolivet odszedłszy na stronę, zapisał sobie notatkę dla encyklopedji.

„Tieliega — wehikuł rosyjski, wyjeżdżający na czterech kołach, a przybywający na dwóch.

ROZDZIAŁ XII.

PROWOKACJA.

Ekaterynburg, miasto powstałe w r. 1723, słynne z założenia tu pierwszej mennicy rosyjskiej, wybijającej srebrne i złote monety, znaczny centr przemysłu metalurgicznego, kipi życiem. Zwłaszcza wrzało tu życie w chwili przybycia naszych czworga pasażerów. Albowiem przerażona wieściami o najeździe tatarskim ludność z bliższych i dalszych okolic zbiegła się tutaj, szukając schronienia. Tedy dwóm dziennikarzom udało się nabyć pojazd taki sam, jaki był własnością Strogowa, — i dwa tarantasy, ciągnione przez dwie trójki żwawych koników, wynajętych na poczcie, wioząc naszą czwórkę znajomych, znalazły się w drodze na Tulugujsk i Tiumeń do Iszimu. Tu dziennikarze mieli się zatrzymać.

Nadja niemal nie zwracała uwagi na roztaczający się krajobraz. Nie przeto, że był monotony. Ale rada, że znalazła się na Syberji, wybiegała już myślą ku ojcu, zamieszkałemu w Irkucku. A może serce jej, przejęte wdzięcznością dla Strogowa, zajęte było marzeniami o tuż przy niej siedzącym towarzyszu podróży — tak bohaterskim, tak poświęcającym się dla niej, o jej wybawcy w walce z żywiołami i z drapieżnym zwierzem. Oto „prawdziwy brat!”

Strogow był małomówny. Rad byłby także pomarzyć. Nadja czarowała go swoją odwagą i hartem. Szczęśliwy był, iż znalazł sobie „taką doskonałą siostrę.“ Ale nie oddawał się pięknym snom. Było o czym pomyśleć. Zastanawiał się nad tem, czego dowiedział się o przebranym za cygana — Ogarewie. Ważył szanse wykonania swej misji w nowych, wikłających się okolicznościach.

Nie zatrzymywano się na nocleg. Spano w tarantasie śród drogi. Blount drzemał nawet w dzień i jakoby przez sen odpowiadał monosylabami na potok frazesów swego towarzysza podróży. Alcyda Jolivet. Czasem podczas zmiany koni i jamszczyków — nasza czwórka schodziła się przy stole w zajeździe pocztowym, aby posilić się przed dalszą drogą. Francuz starał się nadskakiwać Liwoniance, nie przekraczając granic, gdyż postrzegł łacno, że jakkolwiek uprzejma, myślami błądziła gdzieś daleko. Blount nie miał zwyczaju darzyć uwagą okazów kobiecego rodzaju. Gdy Jolivet zadał mu pytanie:

— Jak panu się podoba młoda Liwonianka?

— Która? — zdziwił się Blount.

— No, siostra Korpanowa!

— A to jest siostra?

— Może babka. Ile pan dajesz jej lat?

— Nie wiem. Nie byłem przy jej urodzeniu.

Drogą, na której spotykało się czasem poważne i surowe postaci tubylców, gnających swoje stada owiec i wielbłądów, w panicznej ucieczce przed Tatarami, a czasem nie widziało żywej duszy — ciągnęła się bezmierna pustynia — czworo podróżnych przybyło do Tulugujska, potem do Tiumeni, Jaluturowska, Nowo-Zaimska. Podczas krótkich przystanków dwaj korespondenci łowili chciwie wiadomości o przebiegu

najazdu. Mówiono o wymarszu kozaków przeciw Tatarom, ale dodawano: „są jeszcze daleko...”

I znowu dwa tarantasy biegły przez olbrzymi step Syberyjski, nakryty kłosem nieba... Droga odznaczała się tu tylko szeregami słupów telegraficznych, których druty już jakieś ręce porwały, i białawą wstęgą kurzu, którą konie podnosiły przed sobą i koła pozostawiały za sobą.

24 lipca zbliżano się do Iszumu.

Nagle Strogow zauważył, że sunie przed nimi pędem zakurzona karetka pocztowa. Znalazła się na jego szlaku — na torze, wiodącym do Irkucka — niespodziewanie wjechawszy nań z jakiejś zagubionej ścieżki stepowej, znanej tylko tubylcom. Jedyłą myślą Strogowa było prześcignąć karetkę. Rozumiał doskonale, że w Iszymie trudno będzie o świeże konie, i przy przepręgu może natrafić na niebezpieczną dla pośpiechu swej misji konkurencję.

Obu jamszczykom rzucono obietnice sutych napiwków i dwa tarantasy pomknęły, jak strzala. Kiedy Strogow mijał karetkę, jakiś głos mocny, widocznie nawykły do rozkazywania, krzyknął z jej wnętrza — twarzy widać nie było:

„Zatrzymać się!”

Lecz nie zatrzymano się. Zmęczone konie przy karetkce, które widać zrobiły długą podróż przez step bez wytchnienia — napróżno zdwoiły galop. Strogow, „Nadja i dwaj korespondenci przybyli do Iszumu pierwsi. Karetka pozostała w tyle w obłokach kurzawy.

Okazało się, jak przewidział Strogow, że naczelnik poczty rozporządzał tylko trójką wypoczętych koni, mogących zaraz puścić się w podróż. Wynajął je. W dziesięć minut potem stały w zaprzęgu. Strogow jął żegnać się z korespondentami, którzy w Iszymie zamierzali zatrzymać się na czas dłuższy.

— A pan nie wytniesz nawet godziny?— zdziwił się Jolivet.

— Nie! nie chciałbym się spotkać z pasażerem z karetki.

— Czyżbyś się pan go bał?—zdziwił się Blount.

— Nie... ale boję się niespodzianek.

— A więc żegnaj pan i pozwól sobie życzyć szczęśliwej podróży.

— I daj nam Boże, spotkać się jeszcze w szczęśliwszych okolicznościach, niż za pierwszym razem!— dodał francuz.

W tej chwili drzwi domku pocztowego otworzyły się. Na progu zjawił się jegomość barczysty, wysoki postawy wojskowej, z ogromnemi wąsiskami i rudemi faworytami, lat około czterdziestu:

— Koniel krzyknął do pocztmistrza.

— Niestety, brak mi na razie — skłonił się tamten.

— A te... w zaprzęgu?

— Już wynajęte — ot, przez tego podróźnego.

— Wyprządz!

Strogow wystąpił naprzód i hamując się, rzekł:

— To są moje konie.

— Nic nie znaczył! Nie mam chwili do stracenia.

— Ja też! — zauważył, wciąż hamując się, Strogow.

— Bajki!... Słyszałeś pan mój rozkaz, wyprządz i zaprządz do karetki! — zwrócił się ponownie do pocztmistrza nowoprzybyły, odwróciwszy się od Strogowa.

Pocztmistrz stał niepewny, co ma czynić. Nadją stanęła obok Strogowa, starając się nie zdradzić niepokoju. Obaj korespondenci gotowi byli pomóc Strogowowi na wezwanie. Ale on ważył w myśli położenie: nie chciał powoływać się na przywileje „podo-

rożnej", których gbur w panującym zamieszaniu nie uszanowałyby — nie chciał jednak opóźnić podróży — a nadewszystko pragnął uniknąć awantury, mogącej stanąć na zawadzie jego misji. Myślał zwyciężyć spokojem.

— Konie pozostaną przy moim tarantasie — ozwał się, nie podnosząc głosu bardziej, niż przystało na kupca.

— Co—o?! — krzyknął gbur. Nie ustąpisz?

— Nie!

— Dobrze! A więc niechaj siła rozstrzygnie.

Wyciągnął szpadę i stanął w pozycji bojowej.

Korespondenci gotowali się spełnić obowiązki sekundantów.

— Nie widzę powodu, abym miał się bić z panem... o konie! — rzekł z zimną krwią Strogow.

— A może to będzie dla pana powód?

I ręka gbur, wyciągnąwszy z za pasa nahajkę, cięła nagle Strogowa w ramię. Był to cios tak niespodziewany, że Nadja krzyknęła.

Na tę obrazę Strogow pobladł straszliwie. Obie pięści wznosił — zdawało się, że zmiażdży przeciwnika. Lecz opuścił je zaraz potężnym wysiłkiem woli. Tamten zasłaniał się szablą. Przyjąć pojedynek? Rana, śmierć — drobiazg, ale to lub owo mogło przeszkodzić wykonaniu poselstwa. Lepiej było stracić kilka godzin czasu.

Dwie pary oczu wpiły się w siebie.

— No, teraz będziesz się bił? — rzucił gbur.

— I teraz jeszcze — nie! — cicho wyrzekł Strogow.

— Widzisz pan sam, że konie tego tchórza... są moje! — zwrócił się brutal do pocztmistrza i podniósłszy z pychę głowę, wyszedł z sali. Pocztmistrz,

rzuciwszy z ukosa wzdarliwe spojrzenie na Strogowa, podążył za nim.

Dwaj korespondenci wycofali się cichaczem. Byli skonfundowani.

— Co za kraj! co za dziwni ludzie! — wymachiwał rękoma z żarem Jolivet. Tu kupiec idzie w pojedynkę na niedźwiedzia. A pogromca niedźwiedzia tchórz przed pyszałkowatym kozłem!

Za oknami dał się słyszeć tętent koni i kłaśnięcie z bicza. Karetka odjeżdżała.

Strogow i Nadia zostali sami w izbie pocztowej. On siedział nieruchomy. Zdawał się posągiem. Na jego twarz, przed chwilą bladą, występował teraz rumieniec. Ale to nie była czerwień wstydu. Coś innego pulsowało we krwi.

Nadja nie wiedziała, co ma myśleć o tajemniczych powodach, które kazały temu bohaterskiemu człowiekowi wziąć na barki ciężar takiego poniżenia. Ale zbliżyła się doń, jak ongi w kancelarji policji w Nowogrodzie:

— Podaj rękę, bracie!

I gestem prawie macierzyńskim obtarła łzę, która nawisła na jego rzęsach.

ROZDZIAŁ XIII.

Ponad wszystko obowiązek.

Wypadło pozostać w gospodzie pocztowej na noc.

Strogow pozostał niemy przez cały wieczór,

Nadja nie pytała o nic. Rozumiała, że coś zawisło nad wolą Strogowa, każąc mu znieść wszystko — aż do obrazy śmiertelnej. Gdy rozchodzili się do swoich pokojów, chciała go pocieszyć.

— Bracie... — zaczęła.

Położył palec na swych ustach, tym znakiem prosząc ją o milczenie. Pokorna jego niemocy rozmawiania, z westchnieniem odeszła.

Michał Strogow nie położył się. Tej nocy nie spał nawet godziny. Miejsce, którego dotknął brutalny bicz, gorzało. Modlił się:

— To dla ojczyzny i dla ciebie, Ojczyzno - Carze!

Wrażał sobie w pamięć rysy człowieka, który go zelżył. Nie bał się. Nie zapomni ich.

O świcie wezwał pocztmistrza.

— Tyś tutejszy?

— Tak.

— Znasz człowieka, który wziął moje konie?

— Nie. Pierwszy raz go widziałem.

— Jak myślisz... kto to być może?

— Pan, który potrafi rozkazywać!

— Co to?... Sądz o mnie?!

— Nie... tak!... Są obelgi, które nawet nie każdy kupiec zniesie — razy biczal! — roześmiał się.

Strogow szedł z roziskrzonym wzrokiem ku niemu. Położył mu ręce ciężko na ramionach. I stłumionym głosem rzekł:

— Wynieś się, przyjacielu — albo... zabiję cię!

— Wolę pierwsze! — mruknął tamten. I ulotnił się.

W godzinę potem tarantas uwoził Strogowa i Nadję z miejsca okrutnego wspomnienia. Na Arbatce, jednym z głównych dopływów Irtyszu, który wypadło przebyć, jak poprzednio Tobol, zwyczajem miejscowym, wjechawszy na prom — podróżni usłyszeli od przewoźników niepokojące o najeździe wieści.

Awangardy hord Feofar-Chana znajdowały się już wysoko na północy, na rzece Irtyszu. Maństwo plemion Kirgiskich łączyło się z Tatarami. Najeźdźcy szli, grabiąc, paląc, mordując. Opowiadano o znęcaniu się nad jeńcami, o spustoszeniu całych wsi i miast. Był to system wojny tatarskiej. Forty rosyjskie leżały w gruzach. Strogow nadewszystko obawiał się, że rekwizycje pozbawią go środków dalszej lokomocji. Nadja czytała z jego milczącej twarzy troskę. Zgadywała, że jest mu śpieszniej do Irkucka, niż jej, że poza obelgą bolał go stracony w Irtyszu czas noclegu. Sama, przedziwnie cierpliwa, nie użalała się na trudy tej szalenie śpiesznej podróży. Spróbowała rozerwać go rozmową:

— Czy dawno nie miałeś wiadomości o matce?

— Od dwóch miesięcy. Ostatni list — przed jazdem — przyniósł mi dobre nowiny. Marta jest dzielną Sybiraczką. Mimo wieku, zachowała moc fizyczną i moralną. Potrafi cierpieć.

— Zobaczę ją, prawda? Skoro nazywasz mnie siostrą, jestem przecież jej córką.

Ponieważ milczał, dodała: „A może twoja matka opuściła Omsk”.

— Może, moja matka nienawidzi Tatarów. Bodaj wzięła kij podróży, ruszyła do Tobolska. Wędrowała nieraz z ojcem i zemną, gdy byłem dzieckiem.

— Masz nadzieję ... ujrzeć ją.

— Tak... na drodze powrotnej.

— Ale teraz... gdyby była w Omsku?

— Nie zobaczę jej — nie uściskam.

Westchnął ciężko. Nie rozumiała.

— Jakże to, bracie, mógłbyś odmówić sobie zobaczenia matki?

— Są takie powody — niemal wykrzyknął. Te same, które nakazują czasem znieść cios biczał

Nie mogła się oprzeć uwadze, choć czuła, jak był wzruszony.

— Czyż mogą być powody świętsze od uczuć, które wiążą syna z rodzicielką?...

Nie odpowiedział. Uszanowała jego tajemnicę. Nie mówili już o tem.

25 lipca o trzeciej nad ranem stanęli w Tiukalińsku. Setki wiorst pozostawili poza sobą. Oboje byli małowówni, skupieni w sobie, pochłonięci odrębnymi myślami o jednakim celu podróży. Na razie nie spotykali w niej przeszkód, jeśli nie liczyć kilku starc z uporem jamszczyków, ociągających się jechać dalej wobec trwożnych wiadomości o bliskości Tatarów. Strogow wiedział, że powoływania się na „podorożną” od władz rosyjskich nie wywierały już skutku. Przełamywał opór raczej sutemi napiwkami.

Ale na brzegach Irtyszu, o dwadzieścia wiorst przed Omskiem, zagroziło im niebezpieczeństwo. Irtysz, wypływający z gór Ałtaju i toczący swoje bystre fale 7000 wiorst ku rzece Obi, w którą wpada — o tej porze roku niezmiernie przybiera. Przejazd przez wody jego odbywa się na promie, poruszonym przez przewoźników drągami, odpychanemi od dna. Strogow obawiał się, że tarantas, konie i troje pasażerów nazbyt obciążą prom. Nie chcąc narażać Nadi, zamierzał przewieźć pojazd i po nią powrócić. Ale ona oświadczyła, że nie chce wywołać opóźnienia i w razie potrzeby raczej skoczy za nim z promu i wpływ dostanie się do brzegu.

Na środku rzeki okazało się, że opatrzone hakami drągi (bosaki) nie sięgają dna. Wypadło powierzyć się falom, płynąć dalej w poszukiwaniu gdzieś płytszych miejsc, czy brodu. Irtysz niósł ich z zawrotną szybkością. Przewoźnicy nawoływali się wzajem słowem: U-wa-ga!...

Wtem z ust ich wydobył się okrzyk rozpaczny.

— Co się stało? — zapytała Nadja.

— Tatarzy! Tatarzy! — wołali, wskazując barki obciążone żołnierzami, które zbliżały się ku nim, płynąc w dół rzeki. Bieg ich był nader szybki — zetknięcie się z promem nieuchronne. Przerażeni opuścili drągi.

— Odwagi, przyjaciele! — krzyknął Strogow — pięćdziesiąt rubli, jeżeli dosięgniem brzegu, zanim barki podejdą.

Przewoźnicy wyteżyli siły ponownie.

— Nie bój się, Nadziu, ale bądź gotowa na wszystko! — rzekł, ściskając jej rękę.

— Jestem gotowa.

— Skoczysz do wody, gdy dam ci znak.

— Skoczę.

— Ufasz mi?

— Ufam.

Ze zbliżających się barek rozległ się groźny rozkaz.

— **Saryn na kitchou!** — wołali żołnierze.

Oznaczało to rozkaz położenia się na brzuchu, poddania. Ale na promie nikt nie usłuchał. Padły strzały — i dwa konie legły zabite. Jedna z bark już zetknęła się z promem. Nastąpił wstrząs. Ale brzeg był już blisko. Wypadało zaryzykować. Niewola oznaczała śmierć.

— Skacz! — krzyknął Strogow.

Ale tej samej chwili trafiła weń lanca. Bystra fala uniosła odważnego pływaka. Woda zaczerwieniła się krwią. Nadi pociemniało w oczach. Nim zdążyła skoczyć, już porwały ją jakieś ręce brutalne, rzuciły na dno łodzi. Dwaj przewoźnicy zostali zabici — konia zabrano.

Tatarzy odbywali dalej swój triumfalny pochód.

ROZDZIAŁ XIV.

Matka i syn.

Omsk, urzędowa stolica Syberji zachodniej, mniej zaludniony i przemysłowy od Tomsku, posiada jednak większą wagę dla państwa, jako siedlisko generał-gubernatora i wyższych funkcjo*n*ariuszów władzy rosyjskiej, oraz jako miejsce utortyfikowane. Ale niewysokie ziemne forty zostały wzięte po kilku dniach oblężenia przez Tatarów, którzy zajęli całe dolne miasto — dzielnicę handlową. Generał - gubernator z oficerami i garnizonem zamknął się w górnem mieście, gdzie opancerzono jako tako domy i cerkwie.

W tej improwizowanej cytadeli można się było przecież utrzymać tylko przez czas krótki, gdyż odsieczy trudno było się spodziewać, a Tatarzy co dnia otrzymywali posiłki oblężnicze od źródeł Irtyszu.

Grozę położenia zwiększała okoliczność, że Tatarami dowodził wytrawny oficer rosyjski, zdrajca swojej ojczyzny, ale znacznych zasług w przeszłości i wypróbowanej odwagi.

Był nim pułkownik Ogarew.

Okrutny, jak ci wodzowie tatarscy, których pchnął do najazdu, bodaj przez przymieszkę w żyłach krwi mongolskiej — matka jego była Azjatką — kochał się w chytrych zasadzkach, w sidłach, w przebraniach, udając wybornie w potrzebie żebrak-włóczęgę. Lubował się także w sprawowaniu katowskiego rzemiosła. W tym znawcy sztuki wojennej

Feofar-Chan zyskał nieocenionego adjutanta i pomocnika w wojnie barbarzyńskiej.

Kiedy Michał Strogow przybył na brzegi Irtyszu, Iwan Ogarew był już panem Omska i celem zawładnięcia Syberją Centralną planował wzięcie Irkucka. Wiemy już o zamiarach jego przedostania się pod fałszywym nazwiskiem do przebywającego tam Wielkiego Księcia, wkradnięcia się w jego łaski i wydania w odpowiedniej chwili miasta wraz z Księciem w ręce Tatarów. Misja Strogowa miała na celu zahamować ten plan...

Na szczęście, Strogow nie był raniony śmiertelnie. Płynąc pod wodą niepostrzeżony, dostał się między gęste krzaki przybrzeżne. Potem wpadł w stan nieprzytomny.

Kiedy otworzył oczy, zdziwiony spostrzegł, że leży na łożku, a nad nim pochyla się stary chłop z długą brodą, wpatrujący się weń troskliwie.

— Nie gadaj nic, młodzieńcze. Jesteś jeszcze bardzo osłabiony. Opowiem ci wszystko, co się stało od chwili, gdy cię przyniesiono do mojej chaty.

Strogow słuchał roztargniony. Przedewszystkiem namacał na piersi drogocenny list cesarski. Przypominając, zerwał się z pościeli — przysiadł:

— Gdzie jest ta dziewczyna, która była ze mną?!

— A, widziałem!... Nie zabili jej. Zawieźli ją dalej. Dużo takich niewolnic wiozą do Tomsku.

— Nad uczuciem górował obowiązek.

— Gdzie znajduję się?

— O pięć wiorst od Omska.

— Czy moja rana jest ciężka... postrzałowa?

— Nie! draśnięcie lancy. Już się zabliznia. Po kilku dniach wypoczynku będziesz mógł jechać dalej. Tatarowie nie znaleźli cię. Nie zagrabili ci nic.

— A jak długo jestem w chacie?

- Trzy dni... Póki byłeś nieprzytomny.
 — Trzy dni stracone!.. Człowieku, masz konia na sprzedaż?
 — Chcesz jechać?
 — Zaraz!
 — Kędy przeszedł Tatar niema koni, ani pojazdów.
 — Pójdę pieszo do Omska szukać konia.
 — Odpocząłbyś jeszcze dzień jeden.
 — Ani godziny!
 — Ha! odprowadzę cię do Omska. Tam jeszcze jest sporo Rosjan. Przejdziesz niepostrzeżony.
 — Przyjacielu! Bóg ci wynagrodzi twą dobroć.
 — Tylko szaleni oczekują nagrody na ziemi.

W drodze włościanin musiał go podpierać; inaczej by upadł. Czuł jeszcze ból od rany na głowie. Ale łagodziła go czapka futrzana. W każdym razie Strogow nie był z tych ludzi, co się liczą z taką drobnostką.

„Niechaj Bóg ma w opiece matkę moją i siostrę! — mrucał do siebie. Teraz nie mam czasu myśleć o nich.

Przeniknęli do miasta przez zburzone okopy. Na ulicach rojło się od żołnierzy tatarskich. Chodził grupami, zbrojni, nie dowierzając mieszkańcom. Na placach obozowały pikiety przy koniach osiodłanych. Zdobywcy gotowi byli do wymarszu każdej chwili celem złupienia bogatszych miast, niżli Omsk.

Nad górnem miastem powiewała flaga rosyjska. Strogow i przewodnik powitali ją wymownem spojrzeniem. Wieśniak znał dobrze pocztmistrza. Spodziewał się wyjednać u niego wynajem konia dla swego towarzysza. Nocą można było wykraść się przez otwory w zburzonych murach fortecznych.

Naraz Strogow zatrzymał się i wtulił w zagłębienie jakiejś ściany.

— Co się stało? — spytał chłop.

Gestem palca na ustach Strogow nakazał mu milczenie.

Ulicą przechodził oddział kawalerji z oficerem na czele. Oficer wydawał wrzaskliwie jakieś rozkazy. Dwudziestu jeźdźców, stanowiących oddział, pognąło lancami rozpędzając, strwożonych przechodniów po drodze. Kiedy zniknęli, Strogow wyszedł z ukrycia. Był blady śmiertelnie z gniewu:

— Kto to był... ten oficer?—zapytał.

— Iwan Ogarew! — odparł chłop stłumionym głosem.

— On! — krzyknął Strogow nie panując nad sobą.

Poznał tego, który znieważył go w Iszymie. A wraz natężeniem wyobraźni odkrył w nim teraz rysy, przypominające starego cygana ze statku „Kaukaz”.

Strogow nie mylił się. Te dwie osoby były jedną. Ogarew potrafił wymknąć się z Rosji europejskiej, wmieszawszy się do bandy cyganów Sangarry, będącej na żołdzie chana i oddającej szpiegowskie usługi dziełu najazdu i buntu. Gdyby nie owe trzy dni musowego odpoczynku, Strogow byłby go wyprzedził, a — kto wie — może tym sposobem nie doszłoby do wielu katastrof. O, gdybyż wówczas w Iszymie nie wydarł mu gwałtem koni!

Należało bądź co bądź ominąć spotkania z nim obecnie — aż do godziny ostatecznych porachunków. O wynajęciu karetki nie mogło być mowy. Trzeba było wymknąć się cichaczem z miasta konno. Ale na cóż mu był pojazd teraz, kiedy był samotny?!.. Dzielny jeździec mógł powierzyć swe losy ścigłemu rumakowi, nabytemu na poczcie za drogą cenę. Wypada-

ło jednak doczekać się nocy. Strogow wyczekiwał na poczie.

Cisnęło się tu w przestronnej izbie mnóstwo ludzi. Rozmawiano półgłosem. Podawano sobie wzajem z ust do ust wieści, przywiezione z różnych stron przez uchodźców, którym powiodło się ostatnio przedostać do miasta. Obozowali tu zamiejscowi, którzy próżno oczekiwali możliwości bądź powrotu do siebie, bądź wyjazdu dalej. Strogow wsłuchiwał się, ale nie mieszał się do rozmów.

Wtem krzyk, w którym zlały się w jednym drgnięciu bezmierna radość i bezmierna tęsknota, przeszył powietrze. Tylko te dwa słowa!

— Mój syn!

Przed nim stała stara Marta, wyciągając ramiona. Już powstawał — już chciał rzucić się w jej objęcia. Ale poczucie obowiązku — myśl o tem, że to spotkanie mogło pociągnąć srogie skutki dla obojga — kazały mu opanować wzruszenie. Śród paru dziesiątków ludzi mogli tu być szpiedzy, wiedzący o tem, że syn Marty jest kurjerem cesarskim. Rozumiał to i znalazł w sobie moc dziwną. Nie poruszył się. Ani jeden muskuł nie drgnął na jego twarzy.

— Michał! — wołała matka.

— Kto jesteście... pocziwa staruszko? — zapytał.

— Co-o? Dziecko moje! Nie poznajesz matki?!

— Pani się myli! Uwodzi cię podobieństwem!...

Na te słowa, tak pełne chłodu, przypadła do jego stołu i patrząc mu oko w oko, spytała:

— Więc ty nie jesteś synem Piotra i Marty Strogow?

Oddałby życie, aby móżdż ją uściskać. Lecz tłoczył go żelazny obowiązek. Odwrócił oczy, aby nie widzieć męki jej twarzy. Wzruszywszy ramionami rzekł:

— Oszaleliście, kobieto. Nie nazywam się Michał. Jestem Mikołaj Korpanow, kupiec z Irkucka.

Jeszcze wołała rozpaczliwie: „Mój syn! mój syn!“ — ale on już, nie oglądając się na nią, opuszczał wielką izbę poczekalną. Wskoczył na konia — odjechał pędem.

Stara kobieta, załamując ręce, upadła na ławkę. Była bliska omdlenia. Ale kiedy pocztmistrz podszedł ku niej, aby jej pomódz — już opanowała się. Nagły błysk świadomości pouczył ją o tem, że jej syn — boć to on był z pewnością! — nie mógł zaprzecić się jej, gdyby nie miał po temu jakichś przyczyn okrutnych, ciężących jak mus. Serce jej drgnęło — może mimowoli zgubiła go swoją matczyną radością. Dokoła niej cisnęli się ciekawi.

— Ach, jestem naprawdę szalona! Wszędzie mi się marzy mój syn! — ozwała się głośno. Nie widziałam go tak dawno! Ale to nie był on... To nie jego głos!

Lecz w dziesięć minut potem jakiś oficer wszedł do poczekalni pocztowej.

— Marta Strogow — jest tutaj? — zapytał.

— Jestem! — odparła. Obecni zdziwili się, słysząc, jaką pewnością brzmiał głos starej, tak drżący niedawno.

— Pójdź za mną.

Poszła spokojna. Za kilka chwil znalazła się na biwaku przed Iwanem Ogarowym, który znał już wszystkie szczegóły sceny poprzedniej i sam pragnął wybadać starą Sybiraczkę.

— Zowiesz się Marta Strogowa?

— Tak.

— Masz syna jedynaka?

— Tak.

— Jest kurjerem cesarskim?

— Tak.

— Gdzie jest teraz?

— W Moskwie.

— Nie miałaś dawno od niego wiadomości?

— Od dwóch miesięcy.

— A ten młodzieniec na poczcie... to był twój syn?

— O, to już dziesiąty, którego wzięłam za mego syna.

— Więc to nie był Michał Strogow?

— Nie.

— A wiesz, kobieto, że mogę cię wziąć na tortury?

— Weź. Nie powiem nic innego. Bo to prawda!

— Więc to nie był twój syn? — spytał poraz wtóry.

— Czyż matka wyrzekłaby się syna, którego jej Bóg dał!

Popatrzył na nią ze złością. Nie wierzył jej. Zgadywał, że skoro matka wypierała się syna, będącego gońcem cesarskim, a rzekomy „kupiec Korpanow“ nie poznawał matki — musiało się pod tem kryć coś ważnego. Wieść o wyjeździe gońca z Moskwy doszła była bowiem jego uszu.

Kazał ją uwięzić i odesłać do Tomsku. A gdy żołnierze uprowadzali ją, bijąc kolbami, mruknął przez zęby:

„Przyjdzie czas, kiedy zmuszę do gadania tę starą czarownicę!“.

ROZDZIAŁ XV.

Bagniska Barabińskie.

Miał słuszną Strogow, opuszczając nagle stację Omską. Iwan Ogarew wydał wnet rozkaz, rozesłany na krańce miasta, aby go nie wypuszczać. Omsk leży niemal w połowie drogi pomiędzy Moskwą a Irkuckiem. Zdrajca zgadywał wagę cesarskiego poselstwa. A goniec, którego incognito zdradziła czułość matki, mógł spodziewać się, że zapragną go ująć, bodaj wysła pogoń za nim.

Wyjechawszy z Omska 29 lipca o godz. 8-ej wieczorem, pędził wichrem przez step, nagląc konia ostrogą. Na szczęście, nie wiedział o tem, że matka jego była uwięzioną. Czyż byłby w stanie przeciwstawić swój obowiązek tej nowej próbie?

O siedemdziesiąt wiorst dalej, na stacji Kulikowo, spodziewał się znaleźć jakiś pojazd i zmienić konia. Ale przeszli już tędy Tatarzy-rekwirenci, lub złodzieje. Zaledwo znalazł posiłek dla siebie, owies dla wierzchowca. Musiał szczerdzić siły zwierzęcia, którego niepodobna było zastąpić. Ale wobec przewidywanej pogoni trzeba się było puścić rychło w dalszą drogę. Dał wytchnąć koniowi jeno godzinkę.

Dotąd pogoda sprzyjała gońcowi cesarskiemu. Temperatura była znośna, krótkie noce letnie w tym pasie umiłał blask księżyca, przedzierający się przez mgły. Pomimo myśli bolesnych, Strogow rzeźko poruszał się naprzód. Był zapatrzony w swój cel, jakoby widny dlań na horyzoncie. Galop konia rozpędzał po-

niekąd troskę. Jeździec zatrzymywał się li po to, aby dać mu nabrać ponownie tchu. Schodził z siodła, aby niekiedy ulżyć zwierzęciu ciężaru, lub przytknąć ucho do ziemi. Badał, czy gdzieś nie dudni podejrzany tętent.

30 lipca, minąwszy stację Turumow, wjechał w błotniste okolice Baraby. Na tych obszernych bagniskach, ciągnących się na przestrzeni trzystu wiorst, podróżnemu groziły trudy niezmierne. Znał je dobrze z lat dawnych. Gromadzą się tu wody deszczów, które nie znajdują odpływu do Obi, lub Irtyszu. A prawdopodobnie jest to dno dawnego morza śródładowego. Zapadający się, grzązki, gliniasty grunt, tworzy zaporę nieprzebytą dla człowieka i konia, zwłaszcza w porze letniej, gdyż zimą ślizgają się tu po pokrywie z lodu sanie myśliwych, tropiących lisy i sobole dla ich drogich futer. Przecież tedy, tylko względnie suchszym pasem, pośród mnóstwa słonych jezior, wije się droga do Irkucka. Grozę męczącej podróży wzmagają latem zabójcze wyziewy, podnoszące się z tych bagien — siedlisk zarazy Syberyjskiej.

Strogow puścił konia między te prerje, porosłe już nie darnią stepową, dającą wyłączne pożywienie stadom pastuchów sybirskich, ale obfitą roślinnością, gigantyczną trawą, syconą przez wilgotny torfiasty grunt, pobudzaną do rozwoju przez słońce letnie. Jej wysokość sięga sześciu stóp. Jest to splecione sitowie, przesiane tysiącami barwnych kwiatów, lilij i irysów, których wonie mieszają się z gorącymi oparami, wywiązywaniem przez skwar. Wysokie trawy, okalające drogę, kryły szczęśliwie przejście gońca. Wydawało go najwyżej zrywające się przed pędem konia stado ptaków wodnych, z krzykiem uciekających w głąbiny nieba. Zmyślny rumak sam znajdował tu drogę — omijał bagna, przemykał się między stawami.

Niekiedy wypadło przechodzić wbród, niekiedy przepływać głębokie jeziora, czasem przeskakiwać rozpadliny i przepaści.

Naogół podróż szła pomyślnie — z szybkością pożądaną, niezwykłą w tych warunkach. Gdyby tylko nie dokuczliwość owadów, unoszących się olbrzymiemi rojami w tych bagnistych okolicach. Atmosfera, zdaje się, przepelniona jest tutaj ostremi szpilkami. Czerwone plamy i bąble od ukąszeń pokrywają twarz, szyję, ręce jeźdźca. Cierpi także okrutnie koń. W tym posępnym kraju jeździec i koń narażają się na daremną walkę z komarami, bąkami, muszkami, oraz mikroskopijnemi istotami skrzydlatemi, niewidzialnemi dla oka. Zdaje się, że zbroja nie uchroniłaby przed ich ukłuciami. Koń Strogowa, opędzając się od nich puszystym ogonem, pędził wściekłym galopem, znajdując w pędzie ukojenie bólu fizycznego. Michał Strogow, jak zawsze hartowny, zapominał o cierpieniach, rad z tego, że pozostawiał za sobą szybko wiorstę po wiorście.

Trudno uwierzyć, że wśród niezdrowych okolic mogła się znaleźć jakakolwiek ludność. A przecież tu właśnie mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy szukali pośród bagien i sitowia schronienia przed najazdem tatarskim. Odziani w skóry pilnowali swoich ubogich stad, ochraniając siebie i zwierzęta od kąśliwych owadów nieustannie podsycanym ogniem. Pośród zieleniących krzaków powstawały tu całe wioski, których dymy unosiły się daleko.

W takich wioskach zatrzymywał się na godzinę lub dwie Strogow, gdy uczuwał, że koń jest nad miarę znużony. Wymazywał gorącym tłuszczem, według zwyczaju Sybiraków, rany szlachetnego zwierzęcia, by przynieść mu ulgę. Poił go i karmił. Mniej myślał o sobie. Spożywał kęs chleba, nieco mięsa, wypijał

kilka kwart kwasu i znowu puszczał się w drogę. Był już 30 lipca za Turumowem w Elamsku, gdzie koniecznością było przenocować, aby koń nie padł z wyczerpania sił.

W tej mieścinie niepodobna było dostać żadnych środków transportowych. Poczta, biura, zajazdy nie funkcjonowały. Nie byli tu wprawdzie jeszcze Tatarzy. Ale władze nakazały ewakuować pozbawione obrony miasto. Ludność i urzędnicy podążyli do Kamska w centrum Baraby. Jednak w tym opustoszałym mieście Strogow spędził noc dla oszczędzenia jedyne go sposobu lokomocji — swego konia.

Nazajutrz o świcie sygnalizowano ruch awangardy tatarskiej o dziesięć wiorst za Elamskiem. I Strogow puścił się znowu w drogę. Zrobił znowu paręset wiorst i, minąwszy Spaskoje i Pokrowskoje, dosięgnął 2-go sierpnia Kamska —swojego rodzaju oazy w tym niewdzięcznym z natury kraju. Tu zgromadziło się mnóstwo uchodźców w przekonaniu, że w centrum Baraby znajdują przytułek—lub czas i środki do ucieczki na wypadek grozy najazdu.

W tem zagubionem wśród bagnistych stepów mieście, Strogow nie mógł zasięgnąć języka o ruchu Tatarów. Raczej gubernator chętniej wy badałby jego w tym przedmiocie... Nauczony doświadczeniem wolał nie wychylać się z zajazdu. Nie chciał zwracać na siebie niczyjej uwagi. Mógłby tu nabyć łatwo kolaskę. Ale ocenił, że ta bardziej rzucałaby się w oczy i budziła podejrzenie. Bystry koń, mogący w potrzebie uskoczyć z drogi i przerznąć się środkiem stepów poprzez osłaniające jeźdźca trawy, był lepszym zabezpieczeniem przed możliwą zawsze pogonią.

Strogow zaniechał również myśli o zmianie konia. Przywiązał się do zwierzęcia, które godne było swojej wysokiej ceny; ocenił jego zalety—zmyślność

i hart. Jeździec i koń już rozumieli się. Jakoby oboje mieli już jeden cel i wzajem sobie ufali.

Wypadało przecie pomyśleć znowu o jednonocnym odpoczynku. Strogow zabezpieczył przedewszystkiem koniowi wygody. Sam posilił się w skromnej oberży na skraju miasta, gdzie nie było tłoku ciekawskich. Potem rzucił się na łóżko w najętym pokoiku.

Ale mimo wysień zasnąć nie mógł. Opadły go troski o towarzyszkę i matkę. Ważył rosnące od chwili zjawienia się Ogarewa na arenie wypadków niebezpieczeństwa swej misji. Ale pomimo bezsenności, kiedy dotykał rękoma cesarskiego listu, wstępowała weń otucha, bładły troski. Widział w nim cudowne lekarstwo na zło, które trapiło kraj rozdarty przez wojnę. Pragnął mieć skrzydła ptaka, by przelecieć nad stepem, potęgę huraganu, przebiegającego w godziny setki wiorst... Gdy zdrzemnął się nad ranem, marzyło mu się, że szczęśliwy staje przed Wielkim Księciem, wręcza mu list i powiada: „Wasza Wysokość! — to od Jego Cesarskiej Mości!“

Nazajutrz, wyjechawszy o świcie, przemierzył w ciągu jednego dnia dwadzieścia cztery wiorsty (85 kilometrów) od Kamy do Ubińska. W tej okolicy ponownie odnalazł bagna Baraby, które nierozsądkiem było przebywać nocą, mimo wężu zmyślnego konia. Przenocował we wsi i wyruszył, czem świt, w podróż dalszą. Ale droga przedstawiała teraz wzmożone trudności. Po obfitych kilkudniowych deszczach znikła pod wodą. Bagna były chłonne i trzeba je było wymijać z wielką ostrożnością. Jedno z jezior, o nazwie Chińskiej Tchang, ciągnące się przeszło wiorst dwadzieścia, zasłużyło sobie na uwagę geografów. Zjawiły się przeszkody, które niecierpliwość Strogowa musiała brać w rachubę i godzić się z opóźnieniem. W każdym razie goniec rad był, że nie wziął kolasy. Nie przeszłaby

ona tu nigdy. Koń, zanurzając się po pysk w wodę, służył tu lepiej swemu panu. Przeciskali się człowiek i zwierzę pomiędzy dwiema kolumnami tatarskimi, widłowo dążącemi, jedna po drodze Omskiej, druga—drogą na Tomsk.

Za Ikułskiem i Kargińskiem warunki naturalne poprawiały się. Bagna Barabińskie miały się ku końcowi. Droga do Koływani była już całkiem możliwa. Ale tem bardziej rosło niebezpieczeństwo spotkania się na szerokim torze z manewrującemi oddziałami Tatarów. Wprawdzie zboczenie z drogi, wpoprzek stepu, gdzie można było napotkać ludzi ledwie zrzadka, gdzie w nielicznych ubogich chałupach i nędznych zajazdach trudno było znaleźć pożywienie dla siebie, paszę dla konia—nie było również ponętnem. Ale bezpieczeństwo osobiste nakazywało obrać raczej bezdroże, niż możliwe spotkanie się z Tatarami.

W każdym razie poza Kargatskiem z zadowoleniem usłyszał Michał Strogow, jak twarda i sucha ziemia syberyjska ponownie zatętniała pod kopytami konia.

15 Lipca opuścił Moskwę. 5 Sierpnia, wliczając w to trzy dni, stracone w chorobie na brzegu Irtyszu, upłynęło 21 dni od wyjazdu. Dzielilo go od Irkucka jeszcze 1500 wiorst!

ROZDZIAŁ XVI.

Ostatni wysiłek.

Goniec słusznie lękał się spotkania na tych równinach z Tatarami. Zdeptane przez mnogie kopyta pola świadczyły, że przeszli tędy nawałą. Można rzec o nich to, co mówi przysłowie o Hunnach: „Gdzie przejdzie Tatar, trawa nie porośnie już nigdy”!

Obłoki dymu i łuny na horyzoncie świadczyły o spalonych wsiach i miastach. Czy wznieciły pożar awangardy, czy już Feofar-Chan zajął całą gubernię Jenisejską — niepodobna było ocenić na oko. W opustoszałych po drodze domkach nie było żywej duszy. Żadnego Sybiraka, od którego możnaby zaczerpnąć wiadomości.

Wtem zgłiszczca chałupy wyrzały z poza drzew. Na nich siedział milczący starzec. Otaczały go płaczące dzieci. Młoda kobieta, widocznie córka jego i matka maleństw, tuliła na kolanach niemowlę. Z łkaniem czepiało się ono matczynej piersi, której brakło mleka. Wejrzenie kobiety było pełne dzikiej rozpaczy.

Strogow przystąpił do starca.

— Czy możesz mi odpowiedzieć? — rzekł głosem poważnym

— Mów! — odpowiedział tamten głucho.

— Czy przeszli tędy Tatarzy?

— Tak, ponieważ dom mój jest w zgłiszczach.

— Czy to armja, czy oddział?

— Armja, bo kędy sięgnie twoje oko, pola są spustoszone.

- Czy dowodził nią Emir?
- Emir, ponieważ wody rzek są czerwone.
- Czy Feofar-Chan wszedł do Tomska?
- Jest już tam.
- Czy Tatarzy zawładnęli już Koływanią?
- Nie, ponieważ Koływanń jeszcze nie płonie.
- Dziękuję ci, przyjacielu! Czy mogę coś uczynić dla ciebie i twoich?
- Nic.
- Dowidzenia.
- Żegnaj!

Strogow rzucił na kolana nieszczęśliwej kobiecie 25 rubli, za które nie miała siły podziękować.

Widział teraz tylko jedno. Należało ominąć za wszelką cenę Tomsk, choćby wypadalo nałożyć drogi, obrać dłuższą i trudniejszą, uskoczywszy w bok od Koływanii i kierując się wzdłuż lewego brzegu szerokiej Obi, w nadziei znalezienia środków przeprawy. Ale czy hordy tatarskie nie zalały już całej gubernii?

I znowu skakał stepem, wsłuchując się w tętnienie kopyt swego konia, któremu nadał bieg umiarkowańszy i pięściwemi słowami wzbudzał w znużonym nową ochotę.

Nastąpiła noc przewiewna po dniu gorącym. Od pewnego czasu do uszu Strogowa dochodził jakiś jednostajny szum i pobrząk. Zsiadł z konia, przyłożył ucho do ziemi wzdłuż samego szlaku. Nie było wątpliwości.

„Zbliżają się jacyś kawalerzyści. Jadą prędko, bo dudnienie się wzmacnia. Będą tu za dziesięć minut. Mój koń ich nie wyścignie. Jeżeli to Rosjanie, połączę się z nimi. Jeżeli Tatarzy...?!”

Rozsądek nakazywał szukać zawczasu schronienia. Ale jak ukryć się w szczerym stepie? Zryją go na wszystkie strony! Nie było jednak wyboru. W roz-

padlinie nieopodał drogi stało kilka modrzewin, otoczonych nieco gęstszym krzakiem u brzegów jeziora. Ujął konia za uzdę, poprowadził go w to miejsce, uwiązał do drzewa. Liczył na to, że noc i krzewy będą dla nich osłoną. Jeśli tylko tamci nie zapuszczają się tutaj!

Położył się na ziemi i śledził drogę. Wtem dojrzał zbliżające się zdala płomyki. Zrozumiał! Tatarzy oświetlali sobie drogę pochodniami. Widocznie szukali kogoś. Nadchodził oddział kawalerji Uzbeków, liczący około 50-ciu jeźdźców. Strogow skulił się za drzewami — czekał.

W pobliżu jego schronienia zsiadli z koni. Zamierzali tu obozować. Rozdzielano żywność. Oblane potem, znużone konie puszczono na paszę. Strogow przyczółgał się ku nim. Niewidzialny wśród trawy wysokiej mógł sam obserwować i nasłuchiwać ich rozmowy w zrozumiałem dlań tatarskiem narzeczu.. W świetle pochodni znaczyły się ich dzikie twarze, włochate kożuchy, długie buty żółte z cholewami, błyszczące uzbrojenie: krzywe szable, kordelasy za pasem, przewieszane przez ramiona strzelby myśliwskie. Dwaj oficerowie odznaczeni się od reszty kaskami i trąbkami. Wyższy „pendja-bashi“ rozmawiał z drugim podkomendnym „deh-bashi“. Obaj palili fajki z haszyszem.

— Napewno nie mógł obrać innej drogi?

— Jeżeli tylko nie pozostał w Omsku!

— Tak, czy inaczej, nie mógł nas wyprzedzić. Obraliśmy przecież drogę krótszą. Nie przybędzie przed nami do Irkucka.

— Twarda starucha jest ta jego matka — sybiraczka!

Serce Strogowa zabiło niespokojnie.

— Ba! pułkownik Ogarew nie dał się jej zwieść. Powiedział, że potrafi otworzyć gębę tej czarownicy!

Teraz Strogow wiedział już wszystko. Każdy wyraz wbijał się weń, jak kinzałem. Wiedział, że jest tropiony, że matka jego była w rękach okrutnika, którego nienawidził całą duszą. Ale wiedział też, że jego matka nie zdradzi się nawet wśród mąk, choćby milczenie miało kosztować ją życie.

Z dalszej rozmowy wniósł, że z północy zdążają wojska rosyjskie, że pod Koływanią nastąpi bój, ale nieliczne siły Rosjan, wzięte w dwa ognie między przeważające armje tatarskie, zmierzające tam od wschodu i zachodu, będą starte w proch.

Aby zdążyć do Irkucka przed ścigającym go oddziałem, winien był ująć stąd, zanim obozujący zjedną z miejsca. Wyruszyć ze swego schronienia było ryzykiem straszliwym; ująć niepostrzeżenie — prawie niemożliwością. Ale nie było wyboru. Trzeba było oddalić się przed brzaskiem dnia, korzystając z ciemności. Jego drogi koń wyniesie go. Niechby go doniósł do brzegów Obi, choćby miał paść. Tam znajdzie się prom lub łódź. Ostatecznie przebędzie rzekę wplaw.

Chodziło o honor, o zbawienie kraju, może o wyratowanie matki. To zdwajało jego energję, kazało ważyć się na niebezpieczeństwo. Człgając się w trawie, zbliżył się do swego konia, przemówił doń pieśczośliwym szeptem. Mądre zwierzę zrozumiało jeźdźca. Szło za nim, pociągnięte uzdą, tak cicho, jakby rozumiało, iż najłżejszy szmer stanowi niebezpieczeństwo.

Ale, na nieszczęście, w chwili gdy wysuwano się już poza kępkę drzew, koń jednego z Uzbeków zwierzył uchodzących, spłoszył się i wybiegł na drogę. Za nim popędził właściciel — dojrzał sylwetę Strogowa — krzyknął. Ludzie na biwaku porwali się i wybiegli na drogę.

Ale Strogow już siedział w siodle. Konia puścił

galopem. Usłyszał świst kuli za sobą. Kula przeszła mu burkę. Jeździec puścił wolno lejce. Wypalił naraz z dwóch pistoletów — położył dwóch najbliższych, którzy chcieli mu zagrozić drogę. Koń, wzdąwszy nozdrza, bryzgając pianą, unosił go, jak wichur.

Tatarzy nie mogli ścigać go zaraz. Konie ich były rozsiodłane. To go ocalało. Ale nie minęły dwie minuty, gdy już usłyszał chrap koński za sobą. Ze wznesioną szablą jechał za nim deh—baschi. Już miał doń doskoczyć — ciąć straszliwie. Ale Strogow, puściwszy cugle koniowi, trzymając się w siodle tylko oparciem nóg w ostrogach — odwrócił się i strzelił. Miał oko i rękę pewną — oficer runął z konia na ziemię.

Strogow pchnął dalej. Pościg był tuż za nim. Tatarzy rozwścieczeni, napędzali się wzajem. Nie strzelali. Znał zwyczaje tatarskie. Rozumiał, że na głowę jego była nałożona cena, ale za sprowadzenie go żywcem nagroda była obfitsza.

Już weszło blade słońce. Dzień jaśniał. Goniący zatrzymywali się czasem, kryjąc głowy w skoku pod brzuchami koni. Położył jeszcze kilku mniej ostrożnych trupem. Ale wreszcie wystrzelał wszystkie naboje. Teraz ścigający liczyli na to, że ujmą go z pewnością.

Lecz już przed nim srebrzyła się wstęga Obi.

— „Odwagi, dzielny koniku! — krzyknął Strogow. To już ostatni wysiłek”.

Znajdował się na wysokim urwisku nad spienionym potokiem. Skok był szaleństwem — był cudem odwagi. Jednak Strogow ważył się na skok. Nikt ze ścigających go nie odważył się skoczyć jego śladem. Ale nie chciano mu dozwolć, aby uszedł. Teraz posypał się grad kul. Szlacheetne zwierzę, trafione w bok, pogrążyło się. Krew zaczerwieńiła wo-

dę. Strogow zawsze przytomny wyzwolił nogi z rze-
mieni. Był w wirach na środku rzeki. Nurkując czę-
sto, aby uniknąć goniących go mnogich kuł — płynął,
nateżywszy wszystkie siły. Dosięgnął prawego brzegu
i skrył się w gąszczu trzciny, zarastających wybrzeże
Obi.

ROZDZIAŁ XVII

Wersety i Kuplety.

Pozbawiony konia, daleko od Irkurcka, bez środ-
ków żywności, w kraju zniszczonym przez inwazję, ale
zawsze mężny duchem — Strogow wykrzyknął w głos
do siebie:

— Dosięgnę celu. Bóg ma w opiece Świętą Ruś!

Slizgał się w gęstem sitowiu po błotnej nad-
rzecznej ziemi, aż wreszcie namacał stopami grunt
stały, nietknięty niedawnym rozlewem. Szedł brze-
giem Obi. W dwóch wiorstach przed sobą dostrzegł
malowniczo rozpostarte na piętrach wzgórz miastecz-
ko. Zielone kopuły bizantyńskie cerkiewek odrzynały
się wesoło na szarem tle nieba. Była to Koływań, je-
szcze wolna od najeźdźców. Tak sądził.

Ale w miarę, jak zbliżał się do miasta, uderzyły
jego uszy głucho detonacje, suchy trzask, a białawe
obłoki i czarne dymy jawiły się w przerwach oczom.
Waliły armaty, pukały karabiny. Wiedział dobrze: o Ko-
ływań toczył się bój... A może już walka przerzuciła
się na ulice... Może miasto wzięli już Tatarzy, a Ros-
janie odbijali je z powrotem.

Ostrożny ominął główny szlak i zaszedł do sto-

jącego na uboczu w dali za miastem domku. Była to stacja telegraficzna. Znajdował się tu jeden urzędnik, wierny swemu stanowisku, flegmatycznie ćmiący papierosa.

— Co wiesz?

— Nic... Biją się.

— Kto zwycięża?

— My albo oni.

— Drut działa?

— Przecięty między Koływanią i Krasnojarskiem; funkcjonuje między Koływanią i granicą rosyjską. Chce pan podać depezę? Proszę! — 10 kopiejek za słowo.

Nim zdążył odrzec, że przyszedł poprosić tylko o kęs chleba i łyk wody, dwaj ludzie wbiegli hałaśliwie do izby. Znajomi mu korespondenci zagraniczni — niedawno przyjaźni sobie współpodróżni, teraz znowu rywale, nawet wrogowie w obliczu operacyj wojennych. Nie zwrócili nań uwagi. Stał pod oknem, obserwował ich ruchy. Harry Blount pierwszy sięgnął okienka i wtłoczył telegrafiście w ręce depezę, piszącą ołówkiem. Alcyd Jolivet z markotną miną cisnął się za nim, trzymając podobną depezę w ręku.

— Dziesięć kopiejek za wyraz! — rzekł urzędnik.

Blount rzucił znaczną sumę:

— Telegrafuj pan... a ja będę pisał dalszy ciąg depezy.

I pisał na kartkach bloku.

Urzędnik stukał na aparacie, dyktując sobie w głos:

„Daily Telegraph. Londyn. Pod Koływanią bój. Garnizon rosyjski poniósł wielkie straty. Tatarzy weszli do miasta. Rosjanie bronią się.”

Urzędnik zamilkł. Jolivet rzekł grzecznie:

— Teraz kolej moja.



Bicz wzniół się nad Martą.



— „Ja ci zastąpię oczy, bracie“.



— „To nasi...”



Sily ich byly na wyczerpaniu.

— Nie jeszcze!... Piszę.

— Ależ ten pan już skończył! Weź pan moją depeszę.

— Zapłacił... ma jeszcze prawo!—odparł urzędnik z flegmą.

— Ale tymczasem nie ma nic do doniesienia...

Blount zerwał kartkę z bloku i podał telegrafście. Ten pukał, czytając półgłosem:

„Na początku Pan Bóg stworzył niebo i ziemię”.

Jolivet kipiał z gniewu. Depeszować wersety biblijne! A dziennikarz angielski z niezmaconą powagą obserwował przez lunetę wypadki w mieście i urywkami podawał tekst dalszej depeszy:

„Dwie cerkwie w płomieniach. Pożar przesuwają się na lewo. A ziemia była bezkształtna i próżna i ciemność była nad przepaścią, a duch Boży...”

— Stop! pańska suma wyczerpała się. Teraz na pana kolej! — zwrócił się telegrafista do Joliveta. Anglik przygryzł wargi. Francuz zajął miejsce przy okienku, podał depeszę, rzuciwszy urzędnikowi znaczną sumę

Telegrafista pukał, odczytując w głos:

„Magdalena Jolivet 10 Przedmieście Montmartre, Paryż. Koływan zajęta przez kawalerję tatarską. Rosjanie uciekli z miasta...”

Odwrócił się od okienka telegrafu i wpatrywał przez lunetę w pole bitwy.

— Ten pan skończył! — przystąpił Blount z rulonem srebra.

— Nie jeszcze! — uśmiechnął się Jolivet. Dyktuję jeszcze.

I zadyktował:

„Był sobie król Ćwieczek,

Nader pocziwy człowieczek...”

-- Co to jest? — krzyknął Blount.

— To nie jest werset biblijny, ale to jest piosenka Beranger'a

— Aha!

Ale w tej chwili zaszło coś niespodziewanego.

Do pokoju wpadł przez okno granat... potoczył się — wybuchnął. Blount upadł zalany krwią.

Jolivet kończył depeszę:

„Korespondent Daily Telegraph, Harry Blount, padł przy mnie, trafiony granatem...”

— Drut przerwany! — rzekł urzędnik i zamknął okienko.

Strogow postąpił ku leżącemu, aby opatrzyć jego ranę, gdyby żył jeszcze.

A nagle stała się rzecz niespodziana... straszna!

Wataha tatarów już otoczyła dom. Ci wpadli przez drzwi — owi przez okno. Rozległy się wycia i strzały. Kilka floretów, wycelowanych wprost w głowę, kilka wzniesionych noży — błysnęło przed oczyma Strogowa i Joliveta. Nie mogło być mowy o oporze.

Strogow i Jolivet znaleźli się za chwilę w pętach tatarskich.

KONIEC I CZĘŚĆ I

Cześć druga.

ROZDZIAŁ I.

Obóz tatarski.

W odległości jednodniowego marszu od Koływani, o kilka wiorst przed Djaczyńskiem, ciągnie się obszerna równina, którą ocieniają olbrzymie sosny i cedry. Zwykle służy ona za pastwisko dla licznych stad pasterzy sybirskich. Obecnie kipiała życiem całkiem odmiennem.

Po krwawej walce z Rosjanami rozłożył się tu obozem okrutny Emir Buchary, Feofar-Chan. Tutaj siódmego sierpnia sprowadzono jeńców rosyjskich, zabranych pod Koływanią, kilkuset żołnierzy, ocalałych z wziętego między dwa ognie tatarskiego oddziału. Tym sposobem inwazja posunęła się głęboko wewnątrz Syberji. Odcięty od komunikacji z Europą Irkuck oczekiwał w nieświadomości swego losu. Z upadkiem tej stolicy, Rosji groziła utrata Syberji. Czy zdążą z odsieczą wojska z nad Amuru i z Jakucka? Czy też Wielki książę wpadł w mściwe ręce Iwana Ogarewa?

Michał Strogow, wprowadzony do obozu tatarskiego, w liczbie innych jeńców, miał wszelkie powody do desperacji, ale pełen hartu — nie uległ jej. Dopóki żył i zachował list cesarski i swoje incognito, miał wiarę w to, że celu swego dosięgnie. Ostatecznie, powleczony przez Tatarów w stronę Omska, zbliżał się do Irkucka i wyprzedzał Iwana Ogarewa. Myślał jeno o tem,

jak w stanowczym momencie wymknąć się z rąk Tatarów.

Stożkowate namioty ze skór i materji jedwabnych, połyskujące w słońcu różnobarwnemi wstęgami, sprawiały imponujące wrażenie krasą i liczbą. Pawilon specjalny, ozdobiony buńczukiem, otoczony strażą, wskazywał miejsce pobytu głównego wodza. Namioty oficerów wysokiej rangi wyróżniały się również bogactwem i artyzmem.

Obozowało tu najmniej 150 tysięcy żołnierzy wszystkich rodzajów broni — piechota, kawalerja, artylerja. Była to zbieranina wszelkiego rodzaju typów ludzkich, zamieszkałych w Turkestanie i na rupieżach Syberji. Byli tu rudobrodzi i niscy Uzbekowie, płaskolicy Kirgizi, zbrojni w łuki, czarnowłosi Mongołowie. Obok brzydkich Turkomenów spotykali się piękni Arabowie. Niewolnicy perscy szli z hordami Feofara-Chana na wspólny rabunek. Byli i Żydzi w roli służby. Rasy końskie, niemniej niż ludzie, odznaczały się rozmaitością. Były konie pociągowe i stepowe, niskorosłe i wysokie, włochate i gładkie. Pasały się na łąkach wkrąg namiotów. W cieniu drzew odpoczywały okazywe wielbłądy i dromadery. W obozie był ruch olbrzymi. Strzelano na uciechę. Grały trąby, dzwoniły brzękadła.

Namiot Feofar-Chana zajmował środek obozu. Był urządzony czysto po wojskowemu. Harem bowiem ze służbą wyprawiony został do Tomsku. Przed namiotem na inkrustowanym drogiemi kamieniami stole leżała święta księga Koranu — na kartach z blaszek złotych rytowane były misternie przepisy Mahometa. Wokół tego namiotu rozłożyły się inne, należące do wysokich dostojników.

W chwili sprowadzenia jeńców Emir nie ukazał się. Było to szczęściem dla nich. Jeden gest jego, je-

dno słowo — bywały sygnałem do rzezi. Ale wschodni władca dla zachowania majestatu nie raczył pokazywać zbyt często oblicza swego poddanym, aby nie spowszedniało.

Jeńców trzymano w obszernem ogrodzeniu pod strażą. Wystawieni na żar słońca, niemal niekarmieni, traktowani grubjańsko, omdlewali ze znużenia, oczekując łaski lub niełaski Chana.

Najcierpliwiej znosił swój los Strogow. Zasłyszał, że ma być z partją jeńców skierowany do Tomska. To zgadzało się z jego rachubami. Jako jeniec, był względnie bezpieczniejszy w pasie zalanym przez Tatarów. Nadto wyprzedzał zawsze o 12 godzin Ogarewa. Trzeba się było tylko wyslizgnąć we właściwej chwili, kiedy obóz zbliży się do rubieży, jeszcze znajdujących się w rękach Rosjan. Lękał się przecież, aby wcześniej nie połączyły się wojska Feofara i Ogarewa i nasłuchiwał, czy fanfary nie ogłoszą przybycia adjutanta Emira. Nadto czasem ścisnęło mu się serce boleśnie, kiedy rozmyślał o losie Nadi i matki, będących, jak i on, w więzach Tatarskich.

Do współtowarzyszy niewoli, Joliveta i Blounta, nie zbliżał się, niepewny ich zdania o sobie od przykrego wypadku w Iszymie. Zresztą przekładał nad gawędę swoje samotne rozmyślenia.

Jolivet okazał się niezmiernie czułym wobec swego angielskiego kolegi. Gdyby Harry Blount nie znalazł oparcia na jego ramieniu, z pewnością padłby w drodze na skutek osłabienia i wpływu krwi. Korespondent „Daily Telegraph” nie poniżył się do powołania się przed barbarzyńcami na swoje stanowisko — wiedział, że to byłoby próżne. Ale godność jego w niewoli cierpiała bardziej, niż ciało od rany. Natomiast Francuz, pełen zawsze ducha filozofji praktycznej, zachowywał pogodę i humor.

Po przybyciu do obozu zajął się przedewszystkiem zbadaniem rany Blounta.

— Nic ważnego, drogi kolego. Lekkie zadrapanie ramienia. Wystarczą trzy opatrunki, a rana się zagoi.

— Ale ktoś je zrobi?

— Ja.

— Pan... jesteś medykiem?

— Wszyscy Francuzi są troszkę medykami.

Rozdarł chustkę, obmył ranę, zabandażował ramię; zręcznością swoją zdumiewał Blounta. Przytem przygadywał:

— Leczę pana zapomocą wody, której cudowną moc lekarze odkryli dopiero po sześciu tysiącach lat, wprowadzając hydroterapię.

Usłtał Blount'owi łożę z liści po drzewem...

— Dziękuję koledze — mówił rozrzewniony Blount.

— Za co?? To samo zrobiłbyś pan ma mojem miejscu...

-- Nie wiem — odparł Blount naiwnie.

— Z pewnością! Anglicy są szlachetni...

-- Jednak Francuzi...

— Są dobrzy i... głupi! Ale to się rekompensuje przez to, że są... Francuzami. Zresztą nie gadajmy o tem. Wymagasz pan absolutnego wypoczynku.

— Jeżeli nie mogę mówić, to mogę słuchać. Jak pan sądzisz? Czy depesze nasze doszły?

— Z Koływani... z pewnością!

— A pańska kuzynka... w ilu egzemplarzach roznosi pańskie wiadomości? — postawił Blount po raz pierwszy niedyskretne pytanie.

— Ach! ona byłaby niepokieszoną, gdybym mówił panu o niej w chwili, gdy potrzebujesz pan snu.

— Nim zasnę, muszę wiedzieć co pańska kuzynka myśli o inwazji tatarskiej w Syberji.

— Władza rosyjska ją przetrwa.

— Pycha gubiła już większe państwa — rzekł Blount z pewną dozą animozji angielskiej względem konkurencyjnej potęgi rosyjskiej w Azji.

— Ach, kolego... Rozmowa o polityce jest zakazaną przez Fakultet przy ranach obojczyka.

— Więc mówmy o naszej niewoli. Nie mam zamiaru pozostawać w niej długo.

— Wyobraź pan sobie — ja także nie!

— Uciekniesz?

— Jeżeli nie znajdzie się lepszy sposób.

— A jaki?

— Jesteśmy neutralni. Będziemy reklamowali.

— Przed tem bydlęciem Feofar-Chanem?

— Nie! przed jego adjutantem, Ogarewym.

— Ależ to hultaj!

— Tak! Jednak on jest Rosjaninem; wie, że nie należy igrzać z prawem narodów. Przytem postara się wyciągnąć zysk moralny z faworyzowania cudzoziemców.

— Ależ niema go tutaj.

— Spodziewany jest lada chwilę dla ofenzywy.

— A cóż zrobimy, gdy będziemy wolni?

— To, co dotychczas. Pan już miałeś wprawdzie przyjemność być rannym na usługach Daily Telegraph. Ja muszę mieć szansę otrzymania rany na usługach mej kuzyny. Udamy się na pole bitwy...

Blount już zasypiał. Jolivet notował coś w karnecie i zaraz sporządzał kopję dla towarzysza. W nie-szczęściu nie było już mowy o zazdrości konkurencyjnej.

Tedy to, co było pożądaniem dla dziennikarzy — oczekiwane przybycie Ogarewa — trwożyło Strogowa. Ta różnica interesów jeszcze bardziej odsuwała tego

ostatniego od ex-towarzyszy podróży. Starał się nie wpadać im w oczy.

Minęły dwa tygodnie. Nie było mowy o ucieczce wobec zdwojonych straży. Jeńców karmiono ochłapami z flaków kozich i kumysem kobyli w skąpej ilości. Dokuczały im zmiany atmosferyczne — ostre wichry i gwałtowne deszcze. Wymierali ranni, kobiety i dzieci. Jeńcy zniewoleni byli sami grzebać swoje trupy. Strogow i dwaj korespondenci radą i czynem byli pomocni towarzyszom niedoli i błogosławieni przez cierpiących.

Feofar-Chan nie ruszał się z miejsca. Czekał. Aż zdarzył się wypadek, tak upragniony dla dziennikarzy. 12 Sierpnia zabrzmiały trąby, zadudniały bomby, rozległy się strzały na wiat. Od drogi koływańskiej posuwał się gęsty obłok. Przybywał do obozu Ogarew na czele tysięcy ludzi.

ROZDZIAŁ II.

Postawa Alcyda Jolivet'a.

Iwan Ogarew przyprowadzał Emirowi cały korpus — piechotę i kawalerję. Nie mogąc wziąć górnego Omska, pozostawił tam dostateczny garnizon oblężniczy, i nie chcąc opóźniać operacyj wojennych, przybywał celem połączenia się z Feofar-Chanem. Postanowiono obrać Tomsk za podstawę przyszłej ofensywy.

Z Ogarewym przybyła również gromada jeńców, pobranych po drogach. Bez ochrony nad głową, nę-

dznie karmieni, ci nieszczęśliwi nie wiedzieli, jaki los ich czeka. Czy kapryśny Ęmir zdziesiątkuje ich przez kaprys? — to było tajemnicą.

Za korpusem ciągnęły tłumy żebraków, maruderów, kupców, cyganów—wszyscy, co korzystali z łupów wojny w pustoszonej kraju. Śród nich była gromadka cyganów, towarzysząca Ogarewowi na statku „Kaukaz“, wyprzedzona przezeń w drodze do Iszyma, później znów z nim połączona. Strogow rozpoznał w tej grupce cygankę Sangarre, która kiedyś zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem. Kobieta — szpieg była złym duchem Ogarewa, współpracowniczką wszystkich jego intryg. Ona to przez członków swej bandy pozyskiwała dlań mnóstwo uszu i oczu w krajach najechałych. Zresztą Ogarew opłacał grubo tę bandę szpiegów.

Niegdyś zesłana za jakąś ciężką zbrodnię na Sybir znalazła ratunek dzięki oficerowi rosyjskiemu i przez wdzięczność zaprzedała mu się duszą i ciałem. Nie mając ojczyzny ani rodziny, posłuszna instyktom swojej rasy, podzielała z rozkoszą awanturniczy żywot zdrajcy. Jej dzika energja nie znała pardonu i litości. Sangarra była godną wigwamu Apasza.

Gotowa też była z okrucieństwem czerwonoskórej poddać torturom wleczoną za obozem Martę Strogową, dla wydarcia jej sekretu, mogącego przynieść pożytek jej panu. Ale godzina dogodna nie nadchodziła. Stara Sybiraczka, śledzona, podsłuchiwana i podpatrywana przez Sangarre, zamknęła się w milczeniu. Wyczekiwane słowo: „Syn“ nie wyszło z jej ust.

Na dźwięk fanfarów naczelny koniuszy i szef artylerji emira wyszli złożyć hołd Ogarewowi, zamierzając towarzyszyć mu do namiotu Feofar-Chana. On przyjmował hołdy dostojników tatarskich ze zwykłą

obojętnością. Odziany był skromnie— przez bezwstydną brawurę nosił jeszcze mundur oficera rosyjskiego.

W chwili gdy dosiadał konia przy kordonie obozowym, zbliżyła się doń Sangarra.

— I cóż? — zapytał.

— Nic jeszcze.

— Bądź cierpliwa.

— Czy zbliża się godzina, gdy stara przemówi?

— Tak, w Tomsku.

— Kiedy tam będziemy?

— Za trzy dni.

Z błyskawicami w czarnych oczach odeszła.

Ogarew na czele eskorty ruszył przed namiot Chana. Feofar oczekiwał go wśród swojej Rady Wojennej. Ogarew zsiadł z konia i znalazł się przed obliczem Emira.

Feofar-Chan liczył około lat czterdziestu. Twarz blada, złe oczy, spadająca na piersi broda, wysoki wzrost — wszystko składało się na wrażenie imponujące i groźne. W kostjumie, błyszczącym złotem i srebrem, z jataganem, wysadzonym drogiemi kamieniami, w kasku zdobnym w djamenty, wydawał się jakoby Sardanapalem tatarskim, potężniejszym władzą od swego pierwowzoru. Jednym gestem mógł odbierać i darowywać życie.

Kiedy Ogarew wszedł do namiotu, siedzieli tam na poduszkach ze złotemi festonami dygnitarze wokół Feofara. Chan powstał i stąpnął po dywanie bucharskim naprzeciw gościowi. Dał mu pocałowanie. Było to oznaka najwyższej łaski — przyjęci do rady wojennej. Ogarew zasiadł przy Chanie w charakterze wysokiego sztabowca („Khodja”).

Chan przemówił:

— O nic nie pytam, Iwanie. Mów sam. Wszystkie uszy cię słuchają.

— Takhsir — rzekł Ogarew, poczynając przemówienie tatarskie mianem, dawanem sułtanowi Buchary — nie pora na próżne słowa. Twoi jeźdźcy mogą pławić dziś konie swoje w Iszymie i Irtyszu, które stały się rzekami tatarskimi. Trakt syberyjski od Iszymu do Tomska jest w twojej mocy. Możesz pchnąć kolumny na zachód, lub na wschód, według swojej woli.

— A jeśli pójde pieczerw słońcu?

— Zdobędziesz ziemię od Tobolska do Uralu.

— A jeśli pójde z biegiem słońca?

— Zagarniesz z Irkuckiem najbogatsze kraje Azji środkowej.

— Jednak armje sułtana Petersburskiego...? zatrzymał się, dając to dziwne określenie.

— Tych nie lękaj się ani na wschodzie, ani na zachodzie. Nim zdążą, wszystko będzie w twej mocy. Gdy zjawią się, zginą jak pod Koływanią.

— A co każe ci iść z nami? — zapytał znów po chwili milczenia.

— Тр, że z wpadnięciem w Twoje ręce stepów wschodu, zmaleje władza Cara, a z upadkiem władzy Cara — Wielki Książę wpadnie w moje ręce.

Ogarew uznawał się za następcę Stieńki Razina, dążącego do rozkładu potęgi rosyjskiej w XVII. wieku. Parła go nieubłagana nienawiść względem Wielkiego Księcia, żądza zemssy,

— Dobrze, Iwanie — rzekł Feofar.

— Co rozkażesz, Takhsir?

— Dziś nasza kwatera generalna przeniesioną będzie do Tomska.

Ogarew skłonił się. Wyszedł, aby wykonać rozkazy Emira.

Gdy zamierzał dosiąść konia i udać się na przednie pozycje, nagle usłyszał jakieś krzyki i kilka wy-

strzałów. Zatrzymał się zdziwiony, Biegli ku niemu dwaj jeńcy, ścigani przez żołnierzy. Ci ostatni dopadli uciekających tuż przy Ogarewie. Wysoki urzędnik, który mu towarzyszył, *housche—begui*, uczynił gest, oznaczający dla jeńców śmierć. Ogarew rozpoznał w skazanych cudzoziemców — wstrzymał kaźń.

Byli to nasi znajomi, Blount i Jolivet. Niedopuszczani przez brutalne straże przed oblicze Ogarewa, wymknęli się z obozu jeńców i omal nie przyplacili samowoli śmiercią. Ogarew zawezwał ich. Gdy podchodzili doń, Jolivet szepnął do ucha Blountowi:

— Bacz! Ależ to jest ten grubjanin z Iszumu! Nie chcę patrzeć mu wprost w pysk. Wylóż ty naszą sprawę. Masz zimniejszą krew...

I stanął bokiem do oficera-zdrajcy. Ogarew wniósł z postawy Francuza, że ten nim gardzi. Ale ukrył to; bodaj postanowił zaimponować cudzoziemcom swoją ogładą.

— Kim jesteście panowie? — zapytał niezwykle miękko.

— Dwaj korespondenci dzienników angielskich i francuskich — odparł Blount.

— Macie dokumenty?

— Oczywiście. Jesteśmy akredytowani u władz rosyjskich przez nasze rządy. Oto one.

— Al — przejrzał z uwagą papiery — i chcecie upoważnienia do śledzenia naszych operacji wojskowych?

— Chcemy być wolni, abyśmy mogli robić to, co się nam podoba.

— Pańska odpowiedź jest piękna. Jesteście wolni. I z przyjemnością będę czytał pańską kronikę w *Daily Telegraph*.

— To będzie kosztowało pana 6 funtów za numer z przesyłką! — odparł z flegmą Blount.

Ogarew nie zmarszczył brwi — skinął głową dziennikarzom, wskoczył na konia i znikł w obłoku kurzu.

— Co pan myślisz o tym pułkowniku Ogarewie— spytał Blount Jolivet'a.

— Nie zaimponował mi wcale. Gest Tatara, nakazujący ściąć nam głowy, zrobił na mnie większe wrażenie — odparł z uśmiechem Jolivet.

Uścisnęli się. W nieszczęściu zbliżyli się do siebie. Nie było już mowy między nimi o małostkowej rywalizacji. Teraz połączyli swoje zdolności — oko i ucho — ku większemu zadowoleniu swoich różnorodowych czytelników.

— Tedy skorzystamy z naszej wolności, aby iść z wojskami tatarskimi aż do Tomska, nieprawda-ż?— spytał Blount.

— Tak daleko, póki nie spotkamy rosyjskich wojsk. Nie mam wcale chęci statarzyć się. Jestem pewny, że bańka mydlana tego najazdu pęknie pod podmuchem wiatru rosyjskiego. Jest to kwestją czasu..

Ogarew wybawił dziennikarzy z opresji. Michał Strogow oczekiwał odeń zguby. Lękał się, że ten go pozna — przypomni spór o pojazd w Iszymie—przeniknie jego zamiary. Zamierzał już uciec z obozu. ryzykując postrzał, pogoń, wreszcie pojmanie w drodze. Na szczęście, dowiedział się, że Ogarew i Feofar wyjechali natychmiast do Tomska z awangardą wojsk.

Postanowił tedy na razie wlec się jeszcze z gromadą jeńców aż do tego miasta. Miała to być wędrówka trzydniowa. W Tomsku obiecywał sobie znaleźć lepszą szansę do ucieczki. Gromada jeńców tymczasem urosła. Przyłączono do niej grupy wziętych przez Ogarewa i oddziały wywiadowców. Nieszczęśni szli zgłodniałi, wychudzeni, prażeni przez słońce, gorzące na niebie bezobłoczne, popychani kolbami,

Wypadało przejść 150 wiorst po okrutnych drogach. Wielu jeńców umierało. Przeganiając ich konno, Jolivet i Blount, patrzyli z żalnością na ludzi, których losu cudem nie podzielili nadal.

Wpółśród jeńców znajdowała się stara Sybiraczka. Mimo wieku musiała zdązać pieszo. Na postojach nieruchoma sprawiała wrażenie posągu boleści. Ale w milczeniu znosiła trudy i cierpienia: przedziwnie wytrzymała! Czasem Cyganka Sangarra zwracała na nią śledzące roziskrzone ślepie. Kobieta ani drgnęła pod tem spojrzeniem. Była to Marta Strogow.

Śród jeńców była także młoda dziewczyna, uderzająca pięknnością twarzy, smutkiem oczu, dumną męką twarzy. Ona także bez skargi znosiła trudy podróży i męki niewoli. Zbliżyła się ze starą — podpierała ją w drodze — i bodaj bez jej pomocy Marta musiałaby paść z wysiłku. Stara przyjmowała jej czułą pomoc z milczącą wdzięcznością. Zgadywała, że jej młodą towarzyszkę trapi również, jak ją, jakaś troska niezmierna, przewyższająca cierpienia fizyczne.

Nadja — bo to było oczywiście ona — cierpiała okrutnie na myśl o cudownym towarzyszku, którego straciła. Była pewna, że zginął. Brała ją rozpacz. Z nimi razem zginęła jej nadzieja odnalezienia ojca. Bolała nad tem, że misja Strogowa nie została dopełnioną — zabrał jej tajemnicę, nie zwierając się towarzyszcze, która rada byłaby przejąć jego obowiązki.

Burzyła się na myśl, że nie pomścił obelgi w Iszymie. Marzyła o tem, aby stać się mścicielką jego obrazy, jego śmierci. Obraz Strogowa towarzyszył jej myślom nieustannie. Obie kobiety zbliżyły się ku sobie — nie wiedząc, że łączy je wspólność myśli o jednej kochanej głowie. Sprawiały wrażenie pary — babki i wnuczki — którą obóz otaczał podziwem i sympatją.

pierwszych dniach znajomości Marta ograniczała się w rozmowie z Nadją niemal do tych kilku wyrazów: „Niechaj Bóg ci wynagrodzi to, co uczyniłaś dla mnie, starej!” Obawiała się mówić więcej, aby nie wydać przed nikim, nawet przed nią, swojej troski matczynej. Nadja pierwsza rozbiła milczenie, dając ulgę wezbranemu sercu opowieścią o swoim szlachetnym opiekunie, Marta rozrzewniała się.

— Mów-że mi jeszcze o tym Mikołaju Korpanowie. Oh, to imię— znam je! Jakże mi jest drogie Czyś pewna, że zwał się Korpanow, córko?

— Czemuż miałby mnie zwodzić?

— Powiadasz, że był nieustraszony.

— O, tak!

Jak mój syn — myślała Marta.

— I silny — i nie tracący głowy w niebezpieczeństwie i czuły zarazem?

— Był dla mnie bratem... siostrą... matką!

— I bronił cię, jak lew?

— Jak lew!

Mój syn! — myślała Sybiraczka.

— A jednak zniósł w lszymie obelgę?

— Tak! Ale nie potępiaj go! — z drżeniem zawołała Nadja. Wtedy podziwiałam go najbardziej. Ciężył na nim jakiś wielki tajemniczy obowiązek... Był wówczas piękniejszy, niż kiedykolwiek.

— To był mój syn! — wyrwało się z ust starej.

— Twój syn?!

— Czy ci mówił kiedy o matce?

— O, tak!... Kochał ją mocno... Ale powiadał, że mu nie wolno zobaczyć jej, zanim dopełni swojej misji. To był obowiązek honoru i sumienia.

Teraz Marta rozumiała wszystko. Nie wątpiła więcej, że nie omyliły jej oczy matki i że syn jej, wyrzekając się jej, działał pod musem, który ona

winna uszanować, choćby jej samej zginąć wypadło wśród mąk najsroższych.

— Dziękuję ci, Nadju, za ten promień, który rzuciłaś w moje serce. Przebacz, że ci więcej powiedzieć nie mogę.

Sądziła, że nie powinna, a to w obawie jakiejś nieostrożności zawiadomić młodej dziewczyny, iż Strogow nie zginął — widziała go przecie później, po rzekomem utonięciu. Ale położyła jej dłoń na głowie i rzekła:

— Miej nadzieję, dziecko. Bóg dobry sprawi, że zobaczysz ojca, a może i... twego towarzysza podróży. Miej nadzieję, Bóg sprawia cuda. Ta moja żałoba nie jest po synu.

RODZIAŁ III.

Cios za cios!

Marta znalazła pociechę: rozumiała postąpienie syna. Nadja dziękowała Bogu, że zbliżył ją z matką tego, którego opłakiwała. Obie nie wiedziały jednego; że Strogow dąży z nimi razem do Tomsku w jednej z partji olbrzymiego pochodu jeńców — wojskowych i cywilnych, mężczyzn, kobiet i dzieci. Rozsypani łańcuchem postępowali wśród kolumn żołnierzy, poganiani, jak bydło.

Michał Strogow, należący do oddziału najpilniej strzeżonych jeńców, nie domyślał się nawet, że dwie

tak bliskie jego sercu kobiety dzielą jego ciernistą wędrówkę, szedł w przednich szeregach jeńców.

Nad nimi świstał nieraz bicz. Łykali gęsty kurz, rzucany przez poprzedzającą ich kawalerję. Prażyli się na nelitościwym upale. Postoje były krótkie, marsz przyspieszony, sto pięćdziesiąt wiorst zdawały się drogą bez końca. Otaczała ich monotonna, bezwodna pustynia, dzieląca koryta oddalonych rzek Obi i Jeniseju. Wprawdzie trafili na okolicę z obfitszą roślinnością, zroszoną przez dopływ rzeczki Tomu, w pobliżu miasteczka Zabadjero, ale tu nie pozwolono im odpocząć — pędzono jeszcze śpieszniej, wobec posłuchu o jakiejś zasadzce ze strony jakiegoś garnizonu rosyjskiego. Trupy jeńców gęsto usłały wielki szlak Syberyjski.

Michał Storgow, o ile mógł, pomagał towarzyszom niedoli. Budził w nich otuchę, podtrzymywał upadających. Zjawiał się z pomocą wszędzie, póki lanca kawalerzysty nie wskazywała mu ponownie jego miejsca w szeregu. Nie uciekał — niepodobna było wymknąć się i nie godziło się: byłby zaraz ujęty przez żerujące dokoła oddziały wywiadowcze. Pocieszał się w myśli, że „podróżuje na koszt Emira aż do Tomsku“.

15 Sierpnia konwój dosięgnął Zabadjero, miasteczka odległego o 30 wiorst od Tomsku. Droga szła tu brzegiem Tomu. Spragnieni jeńcy rzucili się ku rzeczce. Ale straż odpędziła ich; obawiano się ucieczki wplaw i zdwojono czujność. Storgow obliczał szanse wymknięcia się w tem miejscu rzutem we wzburzone wody.

Wojska rozłożyły się obozem u brzegu na noc. Nazajutrz rankiem miano się zainstalować w Tomsku. Feofar-Chan planował z tej okazji wielką uroczystość. Ogarew pozostawił go w Tomsku i powrócił do Ze-

bedjero, aby zorganizować jutrzejsze wejście armji do nowej kwatery głównej w imponującym szyku. Jeńcy legli umęczeni na spoczynek.

Nadja przyprowadziła Martę nad szumiący potok. Staruszka klękała; Nadja zwilżała wodą jej zmęczone powieki. Potem odświeżyła swoją twarzyczkę. Noc była jasna, rozświecona księżycową pełnią.

Odchodziły. Nadja odwróciła się nagle. Mimowolnie wydarł się z jej piersi okrzyk. Przed nią stał — Michał Strogow.

Zadrżał... Poznał ją i matkę. Ale opanował wzruszenie. Oddalił się bez słowa. Nadja chciała biedz za nim.

— Matko! to on! żyje!

— Został! — wstrzymała ją Marta. Ja — matka, a nie idę ku niemu. Naśladuj mnie.

Tej nocy Strogow przeżył okrutną męczarnię. Dwie istoty, tak bliskie jego sercu, były tuż obok, a on nie mógł się do nich zbliżyć. Jeżeli uda mu się zbiedz, odejdzie, niemogąc uścisnąć matki, podać dłoni Nadi. Był jednak rad, że to spotkanie nie przyniosło krzywdy ani jemu, ani drogim mu istotom.

Przerachował się. Jakkolwiek przelotną i nikłą była owa scena, jej szczegóły nie ominęły oczu szpiega-Sangarry. Nie dojrzała wprawdzie jeńca, który szybko odwrócił się i odszedł. Ale dostrzegła gest matki i blask jej oczu. Nie wątpiła, że goniec carski, syn jej, jest w obozie wśród jeńców. Wiedziała przecie, że dalsze szpiegostwo nie odkryje poszukiwanego. Kobiety wszakże były ostrożne — nie zbliżyły się doń w owej chwili — będą trzymały się zdala i później. Był inny sposób: uprzedzić Ogarewa i...

W kwadrans potem zapukała do domku, w którym zamieszkał adjutant Feofara. Wyszedł ku niej.

— Czego chcesz, Sangarro?

- Syn Marty jest tu, w obozie.
 — Jeniec?
 — Jeniec.
 — Widziałaś go?
 — Nie. Ale widziałam gest matki.
 — Jest-żeś pewna? Rozumiesz wagę tego?! On ma list Cara do Wielkiego księcia — tak niezbędny mi.
 — Jestem pewna.
 — Ale w obozie są tysiące jeńców. Jakże go poznasz?
 — Ja nie znam... Ale — matka.
 — Nie powie!
 — Trzeba, aby przemówił!
 — Rozumiem cię! Jutro przemówi:

Wyciągnął ku niej rękę. Ucałowała ją niewolniczo. Księżyc zaszedł. Korzystając z mroku Sangarra wślizgnęła się między jeńców. Legła w pobliżu obu niewiast — nasłuchiwała. Nie spały. Były zbyt wzruszone. Nadja — szczęsną myślą, że Michał żyje. Marta — niejasnym przeczuciem możliwych nieszczęść z powodu tego spotkania. Rozsądny instynkt wstrzymywał je od rozmowy. Sangarze nie udało się słyszeć nic korzystnego.

Nazajutrz, 16 sierpnia, fanfary zbudziły obóz o świcie. Żołnierze zwyczajem swoim chwycili za broń. Iwan Ogarew wjechał konno na czele oficerów tatarskich w środek obozowiska. Michał Strogow, ukryty za plecami innych jeńców, zobaczył jego twarz. Leżał na niej jakiś cień ponury. Była dzikszą, gniewniejszą, niż wówczas, gdy ją widział po raz pierwszy. Serce Strogowa ścisnęło się złem przeczuciem.

Ogarew zsiadł z konia i zajął miejsce w centrum obozu wśród dostojników tatarskich. Przecisnęła się doń Sangarra i szepnęła mu: „Nic nowego, Iwa-

nie — milczały.” Nie mrugnął nawet — i wydał zaraz rozkaz oficerowi straży.

Natychmiast pojawiły się tłumy nieszczęsnych jeńców, popychanych na plac razami bicz a uderzeniami lanc. Otoczył je poczwórny łańcuch konnicy. Przedrzeć się przezeń było niepodobieństwem.

Milczenie. Nowy znak Ogarewa. Sangarra kieruje się ku Marcie. Stara Sybiraczka zgaduje, co ma zająć. Uśmiech wzgardy wykwita na jej zwiędłych wargach. Pochyliła się ku Nadi — szepnęła:

— Nie znasz mnie! Cokolwiek się stanie, jakkolwiek ciężką będzie próba, nie wiesz, kim jestem. Nie o mnie — o niego chodzi.

Sangarra kładzie dłoń na ramieniu starej

— Pójdź!

Marta staje przed Ogarewym. Syn spuszcza oczy, aby nie wydać się ich blaskiem. Matka krzyżuje ręce na piersi.

— Ty jesteś matką Strogowa? — pyta Iwan Ogarew.

— Tak.

— Pamiętasz, coś mi rzekła przed trzema dniami w Omsku?

— Nie.

— Ze nie wiesz, czy Michał Strogow, kurjer Carski, jest w Omsku. Ze nie widziałas go na stacji pocztowej.

— Nie wiem. Nie widziałam.

— I nie widziałas go wśród jeńców?

— Nie.

— Ale gdybym ci go pokazał — poznałabyś?

— Nie!

Szmer rozszedł się po zgromadzeniu na tę niespodziewaną odpowiedź. Ogarew powstrzymał gest groźby.

— Posłuchaj, Marto Strogow. Oto przejdą przed tobą wszyscy jeńcy, wzięci od Omska do Koływani. A jeżeli nie poznasz syna, czeka cię — knut!

Ogarew pojmował, że zacięta matka nie zdradzi się. Ale liczył na mimowolny gest syna—jakieś drgnięcie, którem ten się zdradzi. Mógł wprawdzie nakazać zrewidowanie wszystkich jeńców. Ale wówczas Strogow postarałby się zniszczyć list. Zresztą, doszedłszy do Irkucka, stanowiący żywe poselstwo i bez listu. Trzeba było mieć w ręku samego wysłańca, nie list. Nadja słyszała wszystko — teraz zrozumiała, jaki obowiązek obciążał Strogowa.

Przed Martą przeszły kolumny jeźdźców. Stała, jak posąg. Ani jeden rys nie drgnął w jej twarzy. Jej syn szedł w ostatnich szeregach. Nadja zamknęła oczy, aby nie patrzeć.

Michał Strogow przeszedł przed matką obojętny i spokojny. Nikt nie widział, jak krwawiły jego dłonie, w które wpijał paznogie, aby zdobyć ten spokój.

Ogarew został zwyciężony — przez syna i matkę.

— Doskonale! — krzyknął rozgniewany — wysmagać mi tę czarownicę, póki nie wypuści tchu!

Żołnierz tatarski zbliżył się z knutem. Obciążające pasy ze skóry metalowe kulki sprawiają, że dwadzieścia uderzeń tego bicia równa się wyrokowi śmierci. Obnażono klęczącej plecy. Związano jej z tyłu ręce. Umieszczona pochyło wprost piersi szabla musiała je przebić przy lada nachylenia się z bólu — ostrze sterczało ledwie o kilka cali przed nią. Marta wiedziała, że czeka ją śmierć. Oczekiwała jej ze spokojem.

Tatar czekał sygnału.

— Bij! — zakomenderował Ogarew.

Knut świsnął w powietrzu. Lecz nim spadł, czyjaś ręka wstrzymała ramię kata.

Michał Strogow zniósł ongi cios, który spadł na niego.

Ale złamał się wobec ciosu, który groził matce.

Michał Strogow! — krzyknął Ogarew triumfująco.

— Ach! znajomy z Iszymu! — dodał przystępując doń.

— Tak jest! — i twój dłużnik! — odparł Strogow.

A wyrwawszy z rąk tataru knut, ciął Ogarewa mocno w policzek, zawoławszy:

— Cios za cios!

— Pięknie zwrócony! — krzyknął jakiś głos, który na szczęście zgubił się w tłumie.

Dwudziestu żołnierzy rzuciło się na Strogowa; chcieli go ubić.

Iwan Ogarew, któremu wydarł się okrzyk bólu i wściekłości, powstrzymał ich gestem.

— Ten człowiek oddany zostanie pod sąd Emira!

Przy rewizji zabrano Strogowowi list, którego w nagłym wzruszeniu nie zdołał zniszczyć.

Człowiekiem, który pochwalił „dobrze zwrócony cios“ — był Jolivet. On i Blount byli świadkami całej powyższej sceny.

— To było piękne zakończenie tej awantury Iszymskiej! — rzekł Francuz do przyjaciela. Ci barbarzyńcy rosyjscy mają gesty, które muszą zdumiewać zachód.

— To nie było zakończenie — odparł posępnie Anglik. I dodał:

„Zakończenie nastąpi, Strogow jest człowiekiem śmierci. Nie powinien był się mieszać.“

— I matkę oddać pod knut?

— Czy sądzisz, że ją ocalił... i siostrę?

— Jednak nie postąpiłbym inaczej. Taka krycha na pysku tego zdrajcy! Ostatecznie ma się w żyłach nie wodę, lecz krew...

— W każdym razie jest to piękny artykuł dla gazety — rzekł Blount. Szkoda, że Strogow nie oddał nam tego listu.

Ogarew, obtarłszy krew z policzka, złamał pieczęć na liście. Wczytywał się weń z uporem, jakby chciał wyryć sobie w mózgu jego treść.

Strogow odesłany został pod mocną strażą do Tomsku. Ogarew ruszył tam na czele wojsk. Grały trąby, były bębny. Armja postępowała ceremonialnym marszem przed oblicze wodza.

ROZDZIAŁ IV.

Wjazd triumfalny.

Tomsk, założony w r. 1604 niemal w sercu Rosji Azjatyckiej, jest jednym z najznacniejszych miast Syberyjskich, znajduje się nad główną drogą, idącą z Irkucka do Kiachty, leżącej na pograniczu Chin. Stoi nad rzeką Tomem, na stokach wzgórz, rozgałęziających się od gór Altajskich, obfitujących w złoto, srebro, miedź, żelazo, ołów, węgiel, granit, jaspis i t. d. Miasto przemysłowców i kupców, wzbogaconych na kopalniach, rywalizuje zbytkiem ze stolicami Europy. Co do jego piękna — podróżni różnią się w zdaniach; jedni mówią o jego malowniczym położeniu, inni o jego brudzie i pijaństwie. Henri Russel Killongh ogłosił, że jest to jedno z najpiękniejszych miast świata, sławił jego stylowe domy i kościoły. To jednak jest pewne, że podczas najazdu tatarskiego razilo ono

swoją szpetotą, zalane, łupione, niszczone przez hordy barbarzyńców.

Wszelako wypada oddać hołd pięknu samej uroczystości przyjęcia przez Emira jego zwycięskich wojsk.

Teatr dla tej ceremonji, połączonej z tańcami, śpiewami, widowiskami, był obrany z wielkim gustem no stoku zielonego wzgórze, pod cieniem wspaniałych sosen i cedrów, wśród malowniczo rozsypanych kręgiem wykwintnych budowli i uwieczonych kopułami cerkwi. Na wysokim tarasie zbudowano improwizowany pałac w stylu pół-tatarskim, pół-maurytańskim — była tu loża dla Chana i jego dworu, dygnitarzy wojskowych, aljantów i ich haremów.

Uderzała wśród widzów mieszanina strojów i rysów twarzy. Orientalne kostjумы, kąpiące złotem, dziwaczne w kroju, wielobarwne, powłóczyste i kuse, a obok piersi i ramiona obnażone. Turbany, klejnoty, bransolety, obrączki nawet w uszach męskich. Tu i owdzie zakwefione damy. Ciężkie hafty i lekkie materje. Czarujące oczy, olśniewające białością zęby, delikatna cera kobiet, wyraziste męskie twarze, pełne dumy i powagi — a tuż pyski potworne, dzikie, budzące wstręt i zgrozę. Lśniaca broń wszelakiego rodzaju, bogato ornamentowana, podnosiła ogólny urok widowiska.

Na dole tłoczyli się wojskowi niższej rangi i popólstwo cywilne, która przyszło, pogapić się na triumf nowych panów miasta — nieopisana mieszanina typów plemiennych. W tej ciżbie można było rozpoznać cudzoziemców z Mandżurji, Buchary, Persji, Chin, Turkestanu. Brakło tylko Syberjaków. O ile nie umknęli zawczasu, siedzieli zamknięci po domach, trzęsąc się na myśl o grabieży, która mogła nastą-

pić po uroczystości za zezwoleniem Emira, danem żołdactwu.

Po przedefilowaniu wojsk przed Feofarem, siedzącym na koniu, który nosił na łbie olbrzymi dżament — ów zsiadł z konia i wstąpił na taras. Naprzeciw niemu postąpiła olśniewająca przepychem szat swoich pierwsza z kobiet jego haremu, naczelna małżonka, Persjanka przedziwnej urody, mająca twarz odsłoniętą, wbrew nakazom muzułmańskim, zgodnie z kaprysem swego władcy. Sułtanka — jeżeli to miano przystoi żonom chanów Buchary — zajęła miejsce w łożu przy boku Feofara.

Wówczas siedli także inni dygnitarze i pomniejsi chanowie, otaczając półkolem stół, na którym leżała rozwartą księga Koranu.

Jwan Ogarew zatrzymał się przed namiotem Feofara — zsiadł z konia — wstąpił na taras. Szedł na czele eskorty oficerów. Na ten raz nosił uniform tatarski. Na jego twarzy pozostała od rana krwawa pręga. Ktoś w tłumie szepnął: „Pręga“ — i przydomek ten przyjęty został cichą aprobatą. Feofar-Chan z chłodną wyniosłością despoty wschodniego przyjął ukłon Ogarewa.

Jolivet i Blount mimowoli doznali zachwyty nad tą umiejętnością zachowywania swego dostojeństwa. Obaj znajdowali się wśród ciżby widzów. Wprawdzie napatrzwszy się na okrucieństwa tatarskie, marzyli o wydobyciu się z obozu Feofara i zamierzali już byli udać się do Irkucka w nadziei wyprzedzenia wywiadowców tatarskich i dostania się pomiędzy wojska rosyjskie. Ale nie chcieli zaniedbać okazji zobaczenia uroczystości zwycięzców, licząc na ciekawy materiał do swoich zapisek dziennikarskich.

Na widok zdrajcy, Jolivet odwrócił się wzgardliwie i ozwał się do Blounta, jakby był w operze:

— Drogi przyjacielu! Ten wstęp mierzi mnie. Należało przyjść po podniesieniu kurtyny... na balet końcowy.

— Jaki balet?

— Ale będzie z pewnością! — przyłożył lornetę do oczu, szukając „primaballeriny teatru Feofara.“

Jednak balet musiał być poprzedzony przez ohydny ceremonję publicznego poniżenia zwyciężonych.

Przed Chanem winny były przejść poganiane biczami tłumy jeńców, zanim miano je rozkwatować w więzieniach miasta.

W przednich szeregach szedł Michał Strogow, strzeżony osobliwie czujnie przez oddział żołnierzy, odkomenderowanych przez Ogarewa. Tuż blisko postępowały za nim matka i Nadja. Stara Sybiraczka drżała o syna. Wiedziała, że skoro Ogarew powstrzymał ręce, gotowe zabić jej syna, to jeno z tego względu, że od azjatyckiej sprawiedliwości Feofara wyczekiwał sroższej pomsty nań za doznaną obelgę. Matce i synowi nie pozwolono zbliżyć się do siebie, zamienić choćby słówko. A jakże chętnie błagałaby o wybaczenie za to, że swoim porywem czułości macierzyńskiej wówczas w Omsku dała początek zbliżającej się katastrofie. A Strogow drżał na myśl, że prowadzą matkę za nim, by podzieliła jego męki — choćby tylko współczującym sercem. Co się tycze Nadi, wiedziała o tem, że — cokolwiek się stanie — winna zachować spokój, aby zachować siebie na chwilę przyszłą, gdy znajdzie sposobność pomścić tamtych dwoje.

Pierwsi jeńcy przeszli przed Emirem — każdy musiał padać plackiem na ziemię i czoło zanurzać w kurzawę na znak poddania się u wstępu przyszłej niewoli. Opornym konwojowi przyginali kark do piachu.

— To podle! Odejdźmy stąd! — rzekł oburzony Jolivet.

— Nie! obowiązkiem dziennikarza jest wszystko widzieć, aby o wszystkim opowiedzieć, wszystko opowiedzieć, aby wszystko złe usunąć — odparł Blount.

— Patrz! — krzyknął naraz Jolivet. To ona... jego siostra. Musimy ją ocalić.

— Mieszając się, możemy jej zaszkodzić.

Nadja, osłoniwszy twarz włosami, przemknęła szybko przed Emirem, nie ściągawszy na siebie uwagi i zdolawszy nawet ominąć obowiązek pochylecia się.

Marta Strogow szła wyprostowana. Z tyłu pchnięto ją brutalnie. Upadła. Michał Strogow uczynił ruch groźny. Straż musiała go zatrzymać. Marta podniosła się — popychano ją dalej.

— Niech ta kobieta tu zostanie! — rozkazał Ogarew.

Nadja została odcisnięta między stłoczoną gromadkę jeńców, zatrzymaną na boku.

Teraz przed Emirem przechodził Strogow.

— Czołem ku ziemi! — krzyknął Ogarew.

— Nie! — odparł Strogow.

Dwuch strażników chciało go zgnać. Ale to on jednym potężnym rzutem powalił obu na płask.

— Umrzesz! — zwrócił się groźnie do Strogowa Ogarew.

— Umrę! Ale twoja podła twarz do śmierci nosić będzie znamię knuta, zdrajco!

Ogarew pobladł straszliwie. Emir spytał chłodno:

— Co to za człowiek?

— Szpieg rosyjski! — odparł Ogarew, pewny skutku tego oskarżenia:

Kilku ludzi trzymało Strogowa, który rwał się ku Ogarewowi, groźny i dumny.

Emir wskazał księgę Koranu. Tłum poruszył się. Zrozumiano powagę chwili. Sam Allah miał wyznaczyć karę. Znaczyło to, że palec Emira winien był

dotknąć na ślepy traf kart podanej mu niezwłocznie Świętej księgi. Dotknięty werset ulegał interpretacji Emira.

Szef ulemów, duchowny muzułmański, odczytał cicho ustęp wskazany na chybił—trafił palcem Emira:

„I nie zobaczy on więcej rzeczy tej ziemi.“

— Szpiegu rosyjski! — ozwał się — przyszedłeś obaczyć, co się dzieje w obozie Tatarów. No, to wytrzeszcz-że ślepią!

I patrz!..

ROZDZIAŁ V

Wytrzeszcz oczy!

Wytrzeszcz oczy!

Iwan Ogarew, znający obyczaje tatarskie, zrozumiał znaczenie tego komentarza do wersetu, gdyż na moment rysy jego wykrzywił złośliwy uśmiech.

Zajął miejsce obok tronu Chana w cierpliwem oczekiwaniu.

Matka Strogowa przypadła do ziemi, zgnębiona, niezdolna patrzeć ani słuchać.

Trąbki zapowiedziały początek widowiska.

— Oto i balet! — zauważył Jolivet. Ci barbarzyńcy dają go, wbrew zasadzie, przed dramatem.

Michał Strogow — skrzepowany — miał rozkaz patrzenia.

I patrzył.

Obłok tancerek w zawojach wschodnich wdarł się na plac. Zagrała orkiestra, złożona z dziwacznych instrumentów wschodnich: dutar, kobz, czibizgów,

tam- tamów. Ozwały się półtony oryginalnej muzyki. Dysonanse tworzyły osobliwą harmonję. Muzyce towarzyszył gardłowy przyśpiew chórzystów. Brzękły nadto harfy i mandoliny odmiennego rodzaju, niż europejskie.

I rozpoczęły się tańce. Baletnice nie były niewolnicami. Były to wygnanki perskie. Uprawiały wolny swój zawód. Wypędzone z Teheranu przez surowość nowego dworu monarszego, szukały fortuny po świecie. Ubrane były w świetne kostjumy narodowe. Lśniły od pereł, wstęg srebrzystych i złocistych, brylantowych spięć. Na szkarłatnych przepaskach miały wyhaftowane wersety z Koranu... Twarze ich były odsłonięte, lecz w gracji tańca przesłaniały się gazą, jako ich gibkie figury. To chyliły się w grupach nisko ku ziemi, to wyciągały ku niebu ręce w podskokach, jakby chciały zająć miejsce wśród hurys raju Mahometa. Ale co uderzyło Joliveta — to, że brakło im furji egipskich alme. Poruszały się jakoś sennie, niby chłodne bajadery indyjskie...

Za Strogowem stał egzekutor wyroków Chana ze wzniesioną olbrzymią szablą i od czasu do czasu powtarzał mu wyrazy napomnienia:

— Wytrzeszcz ślepień! Patrz!

Tymczasem służba przyniosła trójnog, na którym zarzyły się bezdymnie węgle. Unosił się z nich zapach kadzideł, aromat mieszaniny olibanu i benzoesu.

Z kolei nastąpił balet cygański. Jolivet poznał trupeę wędrowną z Niżnego-Nowogrodu. Szepnął Blountowi do ucha.

— Oczy tych cygarek przynoszą im więcej zysku, niż ich nogi!

I Strogow rozpoznał wśród tej grupy przywódczynię szpiegów—Sangarrę. Była pełna dumy i powagi w swoim narodowym stroju, podnoszącym jej niezwykłą piękność. Nie tańczyła sama. Wykonywała podrygiem

ramion, zwinnymi skrętami figury, sceny mimiczne, w otoczeniu tancerek, które reprezentowały oryginalne typy włóczegowskiego plemienia, rozsianego po całym świecie. Cymbały, klekotki, tamburyna baskijskie pobudzały taneczną ochotę tych prawdziwych korybantów. Wystąpił potem piętnastoletni cygan i śpiewał piosnkę o dziwacznym rytmie, uderzając w takt jej w dwie brzęczące struny swojej dutary. Tańczące otaczały go skocznym wiankiem.

Z rąk Emira, a jego śladem — z rąk dygnitarzy i oficerów posypał się na tancerzy istny potok złota i srebra.

— Cudowny deszcz złodziejski! — szepnęła Jolivet.

W istocie był to owoc rabunków. Prócz tomanów i cekinów tatarskich sypały się dukaty i ruble moskiewskie.

Coraz głuchszy głos kata powtarzał za plecami Strogowa: „Wytrzeszcz oczy! Patrz!”... Ale wykonawca wyroku nie miał już szabli w ręku.

Tymczasem słońce zaszło. Rozpostarł się zmierzch. Pojawiły się na placu setki niewolników z pochodniami w ręku. Cyganki i Persjanki wyginały się w oryginalnych pozach i grupach przed tronem Emira, kołysząc palcami różnokolorowe latarki. Brzęczały harfy. Brzmiały gardłowe głosy chórów. Widok ruchomej iluminacji sprawiał wrażenie czarodziejskie.

Teraz między tancerki wmieszali się z brawurą żołnierze. Wywijali obnażonemi szablami, strzelali z pistoletów. Z łuf, nabitych kolorowym prochem chińskim, wywijają się serpentyny obłoczne — czerwone, zielone, błękitne... Baletnice i żołnierze zmieszali się w szalonym wirze i wrzawie, ogarnięci furją uciechy.

Jakkolwiek Jolivet był zblazowany, jednak kręci

głową tym ruchem, który na bulwarze Montmartre oznacza; „Nieźle! Wcałe nieźle!

Naraz na znak Emira wszystko zmiłkło, pierzchno ze sceny. Pozostali tylko ludzie z pochodniami.

— Sądzę, że czytelnicy Daily Telegraph nie będą ciekawi szczegółów egzekucji tatarskiej! — ozwał się niezwykle smutnym głosem Jolivet.

— Myślę, że i twoja kuzynka nie na wszystko patrzeć jest w stanie! — odparł posępnie Blount.

— Więc musimy odejść, gdyż temu biednemu chłopcu nie jesteśmy w stanie pomóc — zdecydował Jolivet.

Jakkolwiek winniśmy mu pomoc za jego przysługę! — westchnął.

— Możemy tylko to jedno: udać się do wojsk rosyjskich i zagrzać je do kampanji rewanzu.

Odeszli śpiesznie — a w godzinę potem kopyta ich koni tętniały na szlaku do Irkucka.

Tymczasem Strogow stał wyprostowany przed Emirem. Na Ogarewa nie patrzył, pełen dlań wzgaruy. Oczekiwał śmierci, lecz Emir próżno wyglądał w utkwionych weń oczach skazańca iskierki przestrawu. Dostojni widzowie zostali na miejscach. Upajali się zgóry największą atrakcją tego wieczora.

Emir rzekł:

— Przyszedłeś patrzeć, szpiegu rosyjski. Przed chwilą oczy twoje po raz ostatni patrzyły.

Więc nie śmierć... Ale coś sroższego od śmierci... Groziła mu ślepotą.

Jednak nie drgnął na wyrok przeznaczonej mu męki. Tylko oczy rozwarł szeroko, jakby całe swe życie chciał ześrodkować w ostatniemu spojrzeniu. Błagać tych ludzi okrutnych?... — gdyby to nie było bezużytecznem, było jego niegodnem. Pomyślał tylko o niedopełnionej swojej misji, o matce, o Nadi, któ-

rych nigdy już nie zobaczy. Ale nie zdradził swych
 uczuć. Jeno zwrócił się do Ogarewa

„Iwanie! zdrajco! Moje ostatnie groźne spojrzenia
 ślę tobie i wróżę ci odpłatę Nieba!

Ten wzruszył ramionami.

Strogow omylił się. Nawprost niego stanęła
 matka. Zebrała całą moc swoją, by przybiedz doń,
 zajrzeć mu w oczy tej ostatniej chwili, gdy było w nich
 światło.

— O, tak, matko! — wykrzyknął — zanim mnie
 oslepią, Tobie należy się moje ostatnie spojrzenie, nie
 temu nędznikowi. Niech widzę Twą twarz ukochaną!

— Odpędzić tę kobietę! — wrzasnął Ogarew.

Dwaj żołnierze odepchnęli ją. Potoczyła się, ale
 pozostała o parę kroków, wyprostowana, posągowa.

Zjawił się kat. W rękę dzierzył rozpaloną do
 białości szablę, którą wyciągnął z wonnych węgli, go-
 rejących na trójnogu. Strogow miał być oslepiony
 obyczajem tatarskim — przeciągnięciem przed oczy-
 ma rozżarzonego metalu.

Nie próbował się opierać. Tylko pożerał wzrokiem
 matkę. Ona patrzyła — patrzyła, wyciągnąwszy ku
 niemu ręce, przykuta do miejsca.

Stał przeszła przed oczyma. Strogow był ślep-
 cem.

Widzowie rozeszli się. Lecz zostali ludzie z po-
 chodniami i... Ogarew. Nędznik chciał zadać mu
 jeszcze cios ostatni — katowskiego sarkazmu. Przy-
 sunął mu przed oczy list cesarski i rzekł:

— No, wczytaj się teraz i idź do Irkucka do-
 nieść, coś przeczytał! Teraz kurjerem cesarskim jest
 Iwan Ogarew!...

Ze śmiechem schował list — odszedł. Za nim
 ludzie z pochodniami.

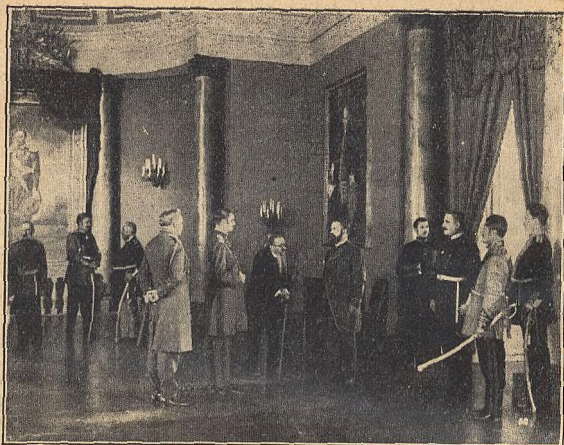
Michał Strogow pozostał sam w pobliżu matki,



Zażarta walka.



W drodze na jarmark N. Nowgorodzki.



— „Mianuję cię szefem korpusu!...”



Wobec wieści o ruchach Tatarów.

która upadła — może nieżywa. Nastawił uszu. Już oddali dochodziły krzyki i śpiewy, hałasy orgji. Tomsk iluminowany święcił triumf tatarski.

Poczołgał się, macając wokół całym ciałem nad ziemią. Odnalazł matkę — jej rękę — przyłgął uchem do piersi. Badał czy serce jej bije. Potem przyciszonym głosem jął jej coś mówić do ucha.

Czy żyła jeszcze? Czy słyszała słowa syna?

Niewiadomo. Pozostała bez ruchu.

Ucałował jej czoło, jej siwe włosy. Potem ostrożnie przesuwając nogi, próbując zwolnić ręce z więzów, szedł na skraj placu.

Nagle zjawiła się Nadja.

Szła wprost ku niemu. W ręku miała puginał. Jednym ruchem przecięła jego więzy.

Rzekła tylko jedno słowo.

— Bracie!

Wiedział teraz, kto go wyzwalał.

— Nadziu! — jęknął — Nadziu!

— Idźmy, bracie! — odparła. Teraz moje oczy będą twojami i powiodą cię do lrkucka!

ROZDZIAŁ VI.

Przyjaciół na szerokiej drodze.

W pół godziny potem Michał i Nadja byli już za Tomskiem.

Udało się jej umknąć tego dnia, gdyż oficerowie i żołnierze podochoceni alkoholem, rozbawieni uczta, rozluźnili węzły dotychczasowej baczości. Uciekło wielu jeńców.

Wmieszana w tłum widziała wszystko. Ale jakkolwiek rozdzierało się jej serce na widok okrutnej stali, rozżarzonej dobiała, przesuwającej się przed oczyma „brata”-bohatera, nie wydała okrzyku. Żyła jedną myślą:

— Będę psem ślepego!

Uniesiona przez tłum, wydarła się zeń, powróciła na taras i ujrzała go w chwili, gdy czołgał się ku matce gdy całował jej siwe włosy...

Wkrótce potem, splótnszy ręce, wychodzili z miasta przez szczęśliwą lukę w łańcuchu strażniczym.

Pociągnęła go szybko. Nazajutrz mogli im odciąć drogę wytrzeźwieni po orgji wywiadowcy. Należało ich wyprzedzić, osiągnąć przed nimi Krasnojarska, odległego o 533 wiorsty, a nie zejść z głównego szlaku. Zejście na manowce byłoby wyrokiem śmierci dla obojga.

Jak zdołali znaleźć moc fizyczną i duchową do forsownego marsza tej nocy z 16 na 17 Sierpnia? Stopy ich krwawiły. Jednakże jest faktem, że w 12 godzin potem znaleźli się w miasteczku Lenińskojem, o 50 wiorst za Tomskiem. On nic nie mówił; raczej on trzymał jej rękę i stapał zwykłym ochoczym krokkiem, niżli ona go wiodła. Ale drgnięcia jej dłoni wskazywały mu kierunek.

Miasteczko było puste. Mieszkańcy uciekli przed najściem Tatarów, unosząc swój dobytek. Nadja wprowadziła towarzysza do jakiegoś opuszczonego domku na skraju miasta. Oboje potrzebowali wypoczynku. Wypadało też pomyśleć o posiłku i zapasach na daleką podróż.

Usiedli na ławie. Nadja spojrzała towarzyszowi w oczy, jak nigdy dotąd. Gdyby mógł widzieć, ujrzałby w nich tkliwość bez granic.

Powieki ślepeca były zaróżowione, lecz suche,

stwardniałe, nieco opuszczone. Wyglądała zza nich źrenica osobiwie zwiększona. Brwi i wąsy były opalone przez wieloletnią stal rozgrzaną. Tęczówka była jakoby błękitniejsza. Ale naogół spojrzenie nie ucierpiało. Jeżeli nie widział, musiało to być wynikiem osłabienia czułości siatkówki i paraliżu nerwu wzrokowego.

— Czy jesteś tu, Nadziu? — zapytał.

— Tak... I będę zawsze. Nie opuszczę cię, Michale.

Pierwszy raz rzekła to imię. Drgnął. Wiedziała zatem, że jest synem Marty.

— Nadziu! musimy się rozstać.

— Czemu, Michale?

— Nie chcę być przeszkodą w twojej podróży do ojca.

Ojciec przekląłby mnie, gdybym cię opuściła. Jestem teraz bardziej potrzebna tobie, niż ojcu. Przecież nie wyrzekłeś się zamiaru udania się do Irkucka.

— Nigdy! — uściśnął jej dłoń tak mocno, że odczuła, iż nie stracił dawnej energii.

— Jednak... nie masz tego listu.

— Ogarew mi go skradł! To nic, Nadziu! Potraktowano mnie, jak szpiega... Pójdę, jako szpieg, do Irkucka, opowiem, com widział i słyszał. I klnę się Bogiem, zdrajca ujrzy mnie kiedyś twarzą w twarz. Ale trzeba, abym przybył przed nim do Irkucka.

— I mówisz o rozstaniu?!

— Nadju! ci nędznicy zabrali mi wszystko.

— Mam nieco rubli i oczy dla nas obojga.

— Ale jak udamy się da'ej?

— Pieszol

— A z czego żyć będziemy?

— Z jałmużny.

— Pójdźmy, Nadziu!

— Idę, Michale!

Poszli. Bliżsi sobie, już nazywali się po imieniu. Nadja, obiegłszy ulice wyludnionej osady, wyżebrała przecież gdzieś nieco czarnego jęczmiennego chleba i miodowego płynu. Nakarmiła go, podając mu jadło kawałkami, napoiła łykami. Niepokoił się, że sobie zostawia skromne resztki, aczkolwiek zapewniała go, że z tej nędznej jałmużny posiliła się również. Oboje nie nasycili się.

I znowu byli w drodze. Młoda dziewczyna opierała się znużeniu. Nie słysząc jej skargi, ani westchnienia — szedł śpiesznie. A jakże marzyć mógł, że ślepy, bez środków, dotrze do Irkucka przed Tatarami? Gdyby nie miał jej przy sobie, musiałby leżąc na kamieniu przydrożnym i wyzionąć ducha. Jednak rachował, że w Krasnojarsku odkryje gubernatorowi, kim jest, i zyska, jego pomoc.

Mówili mało, pogrążeni w myślach. Zresztą nie trzeba im było słów do rozumienia się. Czasem, gdy rzekł do niej:

„Mów do mnie, Nadziu!” — odpowiadała: „Po co?... Myślimy razem.”

Czasem, zdawało się, że serce jej ustawało — traciła dech, ramię jej opadało, krok zwalniał się. Wtedy on zatrzymywał się, kierował oczy na nią, jakby po przez swój mrok pragnął ją dojrzeć. Nabierała tchu. A on znów pociągał ją energicznie.

W tej uciążliwej podróży zdarzyła się okoliczność szczęśliwa. W kilka godzin po wyjściu z Lenińska, Strogow zapytał.

— Nadziu! czy nikogo niema na drodze?

— Nikogo!

— Jednak wsłuchaj się...

— W istocie jakiś szum.

— Jeżeli to Tatarzy, trzeba się ukryć...

Przypadł w gąszczu traw do ziemi. Nadja wybiegła na drogę. Powróciła.

— To kibitka.

— Ilu pasażerów?

— Jeden. Młody człowiek.

Strogow uradował się. Nie chodziło mu o siebie. Gotów był ucześć się kibitki i iść przy niej — to by mu starczyło do pokrzepienia sił. Ale Nadja była wyczerpana. Gdyby dla niej znaleźć miejscel

Kibitka zwykle zaprzężona jest w trzy konie i mieści trzech pasażerów. Ale tę ciągnął jeden tylko koń, niski, o długiej sierci, rasy sybirskiej. Pasażer widocznie oszczędzał konia. Bo ten szedł drobnym truchtem. Trudno było uwierzyć, że młodzieniec posiadać mógł tyle flegmy, jadąc drogą, którą każdej chwili mogli przeciąć mu Tatarzy.

Był to Rosjanin. Zdawało się, że nadewszystko interesuje się swoim psem, który oparł łeb na jego kolanach.

Ujrawszy dwoje ludzi, którzy stanęli na jego szlaku, zatrzymał się.

— A wy dokąd? — zwrócił się do Strogowa:

— Do Irkucka.

— Oho, to daleko!... I pieszo!

— Wiem, że daleko!... Jednak pieszo?

— A ta panienka — też pieszo?

— To moja siostra!... Też pieszo!

— Gołąbku! Wierzaj mi, twoja siostra nie dojdzie.

— Wiem o tem. I błagam — weź ją pan. Ja pobiegnę za kibitką. Nie bój się, nie opóźnisz twej jazdy.

— Nie chcę, panie! Mój brat musi jechać, on jest ślepy.

— Ślepy! — powtórzył głos wzruszony.

— Tatarzy wypalili mu oczy!

— Ach, tak?!... Biedny ojczulkul... No, to... Jadę do Krasnojarska. Zmieścimy się wszyscy troje. A mój pies... ustąpi wam miejsca. Przespaceruje się trochę. Sirko, zejdź.

Pies zeskoczył. Nadja i Strogow znaleźli w głębi kibitki niby wysłane sianem gniazdko.

Młodzieniec zasiadł na przodzie.

— Imię pańskie? — spytał Strogow.

— Mikołaj Pigasow.

— Nie zapomnę go. Pozwól, uścisknę ci rękę.

Wyciągnął swoje, szukał dłoni towarzysza.

— Proszę, uściśnij, jeżeli ci to sprawia przyjemność.

Kibitka ruszyła. Jej jednostajnie kołyszący ruch uspił wnet Nadję, która popadła w stan prostracji. Młodzieniec był wzruszony. A jeżeli z ócz Strogowa nie spadła żadna łza, to przeto, że ostatnią wypaliło nikczemne żelazo.

— Ona jest bardzo miła, ta pańska siostrzyczka — mówił Mikołaj, odwracając się do Strogowa.

— O, tak!

— Idziecie zdaleka?

— Z bardzo daleka.

— A czy bardzo bolało, gdy wypalono ci oczy?

— O, bardzo.

— Nie płakałeś?

— Płakałem.

— Ja bym też płakał! Nie widzieć tych, których się kocha! Jedyna pociecha, że widzą cię kochający!

Zamilkł. Od samego początku Strogow miał wrażenie, że słyszał kiedyś głos tego młodzieńca.

— A pan... czyś nie widział mnie nigdy?

— Nigdy! — odparł zdziwiony Pigasow.

— Jednak... znam pański głos.

— Skąd?... Ja pochodzę z Kolywani.

— Al... Czyś pan nie służył w telegrafii?

— Tak jest.

— Kiedy pewien Anglik telegrafował wersety biblijne, a pewien Francuz — kuplety?

— Może... Ale ja nie mam zwyczaju pamiętać depeesz. Zapominać — to mój obowiązek.

Tak jechano dwie godziny Wypoczywano godzinę. Na postoju podróżni jadali z wiernym psem Sirko. Mikołaj zachęcał gości do korzystania z jego prowizji, której zapasy mogły starczyć dla dwudziestu osób aż do Krasnojarska.

Po dniu podróży Nadja odzyskała siły. Nocą spała wybornie. Mikołaj również chrapał. Wówczas Strogow w ciemności namacywał lejce i przyśpieszał trucht konika, zbyt oszczędzanego przez flegmę pana. Koń biegł klusem. Mikołaj budził się zdziwiony. Ale podróżni zyskiwali wiorst kilka.

Tak przekroczone rzekę, Iszymusk, osady Berykilskoje, Kiskoje i t. d. — wszystkie wyludnione skutkiem ucieczki ludności przed najazdem. Przebyto olbrzymie lasy jodłowe, z których zda się nie było wyjścia, wszędzie rozciągała się pustynia.

Dnia 22 Sierpnia po sześciu dniach wspólnej podróży dotarto do Atczyńska. Dzielilo ich jeszcze 120 wiorst od Krasnojarska Nadja i Strogow z niepokojem myśleli o chwili, kiedy wypadnie rozstać się z miłym, acz flegmatycznym towarzyszem. Starał się on rozerwać ślepca, zastępując mu za przykładem Nadzi brak oczu opisem szczegółowym przebieganej drogi.

— A jaka pogoda? — spytał raz Strogow.

— Nie zła. Ale to koniec lata. Jesień jest krótka. Nastąpią zimna. Może Tatarzy powstrzymają się w pochodzie na Irkuck.

— Niel... jestem tego pewny.

— Masz słuszność! Mają kogoś, co ich popycha. Czy słyszałeś o Iwanie Ogarewie.

— Tak.

— To zdrajca. Zdradzać swój kraj—to podłość.

— Zapewniel — odparł Strogow, starając się zachować chłód.

— Ojczulkul Nie posiadasz dość rosyjskiego serca, skoro nie burzysz się na dźwięk tego imienia.

— Nie bój się! Nienawidzę go dosyć.

— Nie tak, jak ja. Gdybym napotkał tego człowieka, który tyle krzywd przyniósł naszej Świętej Matce Rusi, to...

— To co byś zrobił?

— Zdaje mi się, że zabiłbym go!

— A ja jestem tego pewny! — odparł Michał Strogow. —

ROZDZIAŁ VII.

Przez rzekę Jenisej.

— Po ośmiu dniach od wyjścia z Tomsku t. j. w dniu 26 Sierpnia Michał i Nadja dotarli do Krasnojarska. Jeżeli podróż nie trwała o połowę krócej, to dlatego, że Pigasow mało spał, a przeto Michał nie mógł pobudzić konia do szybszego kłusa.

Nie było tu jeszcze przednich straży Tatarskich, co mocno dziwiło Strogowa. Nie wiedział bowiem, że 25 Sierpnia siły rosyjskie starły się z Tatarami

pod Tomskiem, próbując odzyskać to miasto. Nie podołały temu, gdyż były zbyt nieliczne w stosunku do 250.000 żołnierzy połączonych chanatów, ale wstrzymały nieco pochód najeźdźców. W każdym razie Strogow widział, że wyprzedza Tatarów o dni kilka i nabrał nadziei, że do Irkucka, odległego jeszcze o 900 wiorst, dotrze przed poruszającym się wolniej obozem wrogów. W Krasnojarsku spodziewał się odsłonięciem swojej misji zyskać pomoc gubernatora, czyli pojazd.

Ale i Pigasow nie wyrzekał się dowiezienia Nadi do ojca — tak bardzo ujęła jego serce. Wzorowy urzędnik zamierzał zatrzymać się w Krasnojarsku, „o ile znajdzie tu miejsce telegrafisty.“ Gdyby tu okazał się zbyt cennym, gotów był w poszukiwaniu pracy jechać do Udinska — a choćby, do samego Irkucka, czyli służyć Nadi i jej bratu swoją kibitką na podróż dalszą.

O godzinie siódmej wieczorem kibitka zatrzymała się. Na ciemnym niebie zarysowały się sylwety cerkwi.

— Gdzie jesteście, siostrze? — spytał Strogow.

— O pół wiorsty od pierwszych domów — odparła.

— Dziwi! Nie słyszę żadnego szumu.

— A ja nie widzę żadnego światła.

— Osobliwe miasto — mruknął zdziwiony Pigasow. Widocznie kładą się tu wcześniej spać.

Strogow rażony był złem przeczuciem.

— Czemu zatrzymaliśmy się? — zapytał.

— Obawiam się zbudzić mieszkańców — odparł Mikołaj.

Smagnął lekko konia. Pies zaszczeakał parę kroków. Wjechano wolno w główną ulicę.

Co za rozczarowanie! Krasnojarsk świecił pustką. Nie było ani jednego Ateńczyka w tych „Atenach północy“ według określenia podróżniczki pani de Bour-

boulon. Ani powozów przed wspaniałemi gmachami w szerokich ulicach. Ani eleganckich Sybiraczek, nadsładowujących ostatnie mody paryskie. Dzwony cerkiewne milczały. Ani żywej istoty! Pustka absolutna.

— Powodem jej była ostatnia otrzymana tu depesza cesarska, trafna, czy nie — to nie podlega tu dyskusji — nakazująca metodą Rastopczyzna nie pozostawić w mieście niczego, co mogłoby stać się użytecznem dla najeźdźców. Wojskowi i cywilni mocą tego nakazu podążyli ukryć się w Irkucku.

Nasi podróżni osłupieli, przebiegając to martwe teraz miasto. Strogow doznał na moment wściekłości wobec zdruzgotania jego nadziei. Położenie w istocie było rozpaczliwe. Wypadało przeprowić się przez burzliwy, wezbrany o tej porze, głęboki i rwisty Jenisej, a niewątpliwem było, że uchodźcy zabrali barki, statki, zniszczyli mosty, promy — słowem, wszystkie środki komunikacji z przeciwległym brzegiem rzeki.

— Zobaczmy jutro! — usiłował pocieszyć Strogowa Pigasow. Nadja westchnęła. Zrozumiał i poprawił się: „Wybacz pan! Wiem, że dla ciebie dzień i noc — to jedno. Ale my obejrzymy za ciebie wybrzeże...

Nazajutrz o świcie kibitka dotarła do lewego brzegu Jeniseju. Ale nadaremnie Nadja i Pigasow biegali tam i sam brzegiem rzeki. Próżno dopytywał się Strogow, sam wpijając ślepe oczy we mgły, jakby je mógł przedrzeć: „Czy widzicie co?” — odpowiadali: „Nie! żadnej łodzi, ani tratwy”.

Pojechali brzegiem rzeki, rachując na szczęśliwy los. W pobliżu zamarłego portu napotkali gospodę. Weszli — była pusta.

— A to co?! — zapytał Strogow, obmacując ściany.

— Tu wiszą miechy — „bukłaki”, napełnione ku-

mysem! — krzyknął wesoło Pigasow. Jest ich dwa-
naście. Będziemy mieli prowizję!

— Weź parę. Wypróżnij inne. Teraz wiem, że
przeprawimy się.

— W jaki sposób?!

— Zawiesimy miechy z boków kibitki, która jest
sama przez się lekka i na biodrach konia. Posłużą,
jak pęcherze...

Pian był śmiały, ale wróżył powodzenie.

— Nie boisz się, Nadziu? — zapytał Strogow,
gdy oryginalny „statek” zsuwał się w wodę.

— Nie! — rzekła. A pan, panie Mikołaju?

— A ja jestem zachwycony. Pływać w karetce!

Niebezpieczeństwo było wszelako wielkie. Koń
pograżył się po szyję. Groziło mu zaduszenie. Rwisty
potok niósł kibitkę wdół. Porwał ją wir i miotał dłu-
go. Lada chwila groziło podróżnym zatopienie. Nadja
nie wydała ani okrzyku. Pigasow gwizdał, może nad-
rabiał miną. Strogow — nie mógł widzieć niebezpie-
czeństwa... Jednak w najgroźniejszej chwili — jakby
wiedziony instynktem — skoczył w wodę, odciążając
brykę, odszukał lejce, wziął i mocną dłońią wyprowa-
dził kibitkę na brzeg.

— Hurr! — krzyknął Pigasow, klepiąc psa, który
otrząsał się z wody, przebywszy rzekę wplaw.

Gdy odpoczywano, susząc się na słońcu, Strogow
zauważył:

— Co tak było trudnem dla nas, da Bóg — bę-
dzie niemożliwością dla Tatarów!

ROZDZIAŁ VIII.

Zając przebiega drogę.

Wyprzedzono Tatarów nadobre... Przebywając Jenisejsk zmuszeni będą stracić kilka dni na budowę pontonów. Strogow nabrał otuchy. Stanie jeszcze na czas w Irkucku.

Jechano przez puszcę, której wysokie cedry i sosny gęstemi koronami osłaniały podróżnych od skwaru.

Kraj był piękny i bogaty, ale wyludniony przerażał i budził żalostną pustką. Rozkaz władzy wojskowej stworzył tu dla obrony — pustynię!

Pogoda sprzyjała: nie było burz, ani deszczów. Noce świeżym tchem krzepiły bohaterską trójkę, przywracając jej siły po trudach podróży. Pigasow był pełen zachwytu.: „doprawdy, to lepiej, niż sterczeć 12 godzin w krześle telegrafu!” Przejęty zadaniem zwrócenia córki ojcu-wygnańcowi zezwolił nawet na szybsze tempo jazdy, które silny konik syberyjski znosił wybornie.

— „Muszę być w Irkucku przy scenie spotkania się ojca z dziećmi. Co za radość! Ach, gdyby tylko nie ten ból... ślepy syn. Łzy i śmiech, wszystko w życiu się płacze”...

Robiono tedy 10—12 wiorst na godzinę. 28 sierpnia przejechano Bałajsk, 29-go Rybińsk, nazajutrz do tarto do Kamska. Wszędzie po miastach było głucho i pusto. Rozkaz władzy moskiewskiej, pragnącej wstrzymać najazd pustynią, do cna spełniony został przez ślepo posłuszną ludność, zresztą zatrwożoną słusznie

okrucieństwami Tatarów. Nigdzie po drodze nie spotkano gospody. Żywiono się zapasami zabiegliwego Pigasowa — świetnem ciastem „pogacza”, które zapiano zabranym z Krasnojarska kumysem.

Do Birjusińska podróż szła gładko. Przy wyjeździe z tej osady zaszedł wypadek. Pigasow nagle krzyknął: Ach!

— Co się stało? — spytał zaniepokojony ślepiec.

— Nie widziałeś?... Ach, prawda, ty nie widzisz...

— Ja też nie widziałam — rzekła Nadja.

— Mój Boże! zajęc przebiegł nam drogę.

— Ej, Pigasow! czego tu się bać? — uśmiechnął się mimowoli Strogow, nie dzielający przesądnej wiary ludu rosyjskiego w złe znaki.

Lecz Pigasow zatrzymał kibitkę.

— Wam to nic... wyście nie widzieli... Ale dla mnie to przeznaczenie, omen!

Smagnął konia, zasępiwszy się. Ale mimo złego prognostyku dzień przeszedł bez wypadku.

W Alsalewsku na progu pustego domostwa Nadja znalazła dwa noże syberyjskie. Dała jeden Michałowi, sobie zachowała drugi.

Przejeżdżano ostatnie odnogi wzgórz Sajańskich. Pigasow, tak przedtem gadatliwy, stracił humor, milczał stale. Jakkolwiek inteligentny, nie mógł pozbyć się przesądności ludzi północy. Kibitka za to pędziła co się zowie. Właściciel wobec rzuconego nań uroku, już nie uważał za stosowne oszczędzać konia.

Jednak zła wróżba zdawała się spełniać! O trzecieści wiorst przed Niżnym Udińskiem podróżni ze zdziwieniem natrafili na ślady spustoszenia, które mnożyły się po drodze i zajmowały wielkie połacie ziemi. Nie mogły to być wyniki uchodźstwa. Stratowane dookoła trawy, domy, leżące w zgliszczach, albo porozbijane świadczyły, że przeszła tędy — i to bodaj led-

wo przed 24 godzinami — nawala wraza, wielka mja. Nie mogli to być Tatarzy Feofara; ci byli daleko za nimi.

— Jakież to nowy wróg idzie przeciw Rusi? — rozmyślał ze ściśniętem sercem Strogow, któremu Nadja opisywała napotkane po drodze objawy zniszczenia.

Z pewną ostrożnością posuwano się przecież dalej.

Rankiem 8 września koń zatrzymał się, nie chciał postąpić kroku. Sirko zawył żałośnie. Mikołaj zeskokczył z kibitki. Wrócił wzruszony.

— Na drodze leży trup włościanina! Musimy go pogrzebać, aby go nie rozszarpały zwierzęta...

Niel nie wolno nam zatrzymać się ani godziny! — zakrzyknął Michał.

I kibitka ruszyła. W istocie, gdyby chciano grzebać po drodze wszystkie trupy, niepodobna by nigdy przybyć do Irkucka. Spotykano je teraz rozpostarte grupami po dziesięć i dwadzieścia zabitych na tle okrutnej ruiny osad ludzkich.

Miasteczka, których nazwy wskazywały, że założone zostały przez zesłańców polskich, nosiły ślady grabieży i podpaień.

Tegoż dnia pod wieczór, gdy z rysowały się przed nimi kopuły Udińska, Nadja zakomunikowała Michałowi, że widać łuny na horyzoncie. Czy podpałały miasto wojska rosyjskie z rozkazu władzy, aby nie dało wrogom przytułku, czyto Tatarzy zażegli opuszczoną przez ludność siedzibę — trudno było rozstrzygnąć. Ostrożny Strogow doradził skrócić z głównej drogi i objechać miasto zdaleka.

Pigasow zawrócił konia...

Nagle w ciemnościach błysnęło, gwizdnęła kula,

koń padł. Jacyś jeźdźcy otoczyli kibitkę. W mig trzej podróżni znaleźli się w więzach. Strogow, choćby widział, nie znalazłby czasu do obrony, tak zniecka rozegrała się ta scena w mrokach nocy. Za to mógł słyszeć, co mówili napastnicy.

Z urywków rozmowy wniósł, że znalazł się w pętach Tatarów, stanowiących trzecią kolumnę najeźdźców — złożoną z hord Kokandy i Kunduzy, operującą w tym pasie zawczasu według planu Ogarewa, przed połączeniem się w okolicach Irkucka z dwiema innymi armjami Feofara.

Groza położenia dla stolicy Syberji — Irkucka wzrastała. I było niepojętem, że zaciśnięte wargi ślepego jeńca mruczały jeszcze „Dojdę!”

Troje więźniów, z którymi obchodzono się brutalnie, znalazło się nazajutrz w pochodzie tatarskim. Nadja zносиła, jak zawsze, z godnością ciężki los. Mikołaj ledwie tłumił oburzenie. Strogow pod zrezygnowaniem tał energję myśli o ucieczce przy lada sposobności.

Barbarzyńcy, słysząc, że jest ślepy, dali mu ślepego konia: „A może widzi!” mówili. Nieszczęsne zwierzę, którem jeździec nie był w stanie kierować, pędzone ukłuciami i biczami drwinkarzy, szalało, uderzało się w biegu o drzewa przydrożne. Nagle galopem rzuciło się w bok — ku przepaści. Nadja i Mikołaj wydali krzyk rozpaczny.

Koń stoczył się w przepaść — złamał obie nogi. Strogow, cudem osunąwszy się z siodła nad wyrwą, ocalał, nie doznawszy nawet rany. Zwierzęciu dano zemrzeć w parowie, nie dobiwszy go nawet ciosem łaskawym. Michał, przytroczony do siodła jednego z jeźdźców, zniewolony był odtąd iść pieszo za nim. „Człowiek z żelaza” — szedł bez skarg!

Na jednym z postojów za Chibarlińskim, gdzie Tatarzy zalewali się obficie wódką, zdarzył się wypadek okrutny, który pociągnął ważne za sobą następstwa. Dotąd cudem Nadja została uszanowana przez żołnierzy — budziła w nich jakąś przesadną obawę chłodną dumą swego spojrzenia, niby istota wyższa. Tu naraż zbliżył się do niej jakiś dzikus — chciał jej zadać gwałt.

Strogow nic nie widział. Ale Pigasow ujrzał szamocącą się w ramionach żołdaka dziewczynę. Bez chwili namysłu, niemal instynktownie, wyciągnął z olstr przy siodle tatarskiem pistolet i gruchnął w pierś żołnierzowi, rażąc go śmiertelnie. Kamraci zabitego chcieli rozszarpać wybawcę Nadi.

Ale oficer na odgłos wystrzału zerwał się — przybiegł — rozkazał przywiązać nieszczęsnego Mikołaja w poprzek do siodła konia i zakomenderował: „Odjazd!..” Cały oddział odjechał galopem ..

Powróż, tajnie przegryzany przez Strogowa, pękł przy nagłym puszczaniu się w galop konia, za którym jeniec włókł się dotąd. Pijany jeździec nie spostrzegł zguby.

Michał Strogow i Nadja zostali sami na drodze.

ROZDZIAŁ IX.

Przez stepy.

Byli znowu wolni... Ale porzuceni złośliwie na pustyni bez środków do życia, bez sposobu do dalszej podróży. Utrata wiernego przyjaciela krwawiła im

serca. Tatarzy znikli w obłoku kurzawy, unosząc swoją ofiarę.

Michał siadł na kamieniu przydrożnym, zakrywszy ślepe oczy, głowę ścisnąwszy oburącz.

— Michale! — rzekła Nadja — dokąd zaprowadzę cię teraz.

Podniósł głowę. Był jakoby zdziwiony.

— Do Irkucka! — odparł.

— Główną drogą.

— Tak. Jest pusta, więc bezpieczna. Ci odjechali. Tamci nie prędko nadejdą. Będzie czas w potrzebie zejść na manowce.

I poszli, znowu trzymając się za ręce. Po drodze Nadja rozglądała się z troską. Czy nie leży gdzie trup Mikołaja? A może oszczędzono go dla okrutnej karni publicznej w Irkucku?

Doskwierał im głód. Na szczęście w jakimś domu opuszczonym znaleźli suszone mięso i suchary — posiłne mimo utraty smaku. Co do wody, nie brakło jej w miejscowości, gdzie szumi tysiąc potoków Angary.

Michał nie mógł widzieć znużenia Nadi. Ale zgadywał je. „Wyczerpana jesteś, biedne dziecko“. — mówił do niej. „Nie!“ — odpowiadała. „Jeżeli nie będziesz w stanie iść dalej, poniosę cię!“ — „Dobrze!“ — zgadzała się.

Szli wciąż, wzięwszy się za ręce. Przechodzili w bród drobne dopływy Oki. Wszędzie była pustynia — wszędzie trupy i ślady pożogi. Wszelako niebezpieczeństwo nie szło przed nimi; czyhało od tyłu, skąd lada chwilę mogły zjawić się wywiadowcze oddziały przeprowadzającej się przez Jenisejsk armji Feofara, zaopatrzonej już w przybyłe zgóry rzeki barki. Tedy odpoczywali o ile mogli najkrócej — po sześć godzin na dobę. I Nadja oglądała się często poza siebie.

Mówili ze sobą niewiele, urywkami. To Nadja wspominała dobroć Mikołaja, zaś on ją — wbrew własnej niewierze — pocieszał, że ten żyje. To prosił ją, aby mówiła mu o jego matce, a wtedy gotów był słuchać jej bez końca. To ku jej zdziwieniu wyrażał obawę drażliwego sumienia, że sprzeniewierzył się przysiędze, matki swej nie ocalił, a naraził misję swoją, tak ważną dla kraju. „Czy Bóg i Car mi to przebaczą?” — pytał. „Żeś nie zniósł myśli o skatowaniu matki? Azaliż to może być grzechem?” — odpowiadała zapytaniem. Z kolei wyrażała obawę szlachetnego serca, że nie mając listu cesarskiego, nie znając jego treści, dąży do Irkucka już tylko dla niej — dla przeprowadzenia jej do ojca. Odpowiadał jej: „Mylisz się! Wystarczy, jeżeli zjawię się przed W. Księciem, zanim zdąży Ogarew”. Ale miała wrażenia, że tai przed nią jakiś ważny sekret.

15 Września dosięgli osady Kimiltejska bez przeszkód, bez niebezpieczeństw. Wataha tatarska przed nimi najwidoczniej przeszła śpiesznym marszem: zgłiszcza nie dymiły, trupy rozkładały się. Awangarda armji zachodniej nie zjawiała się. To było pomyślne. Irkuck ze swemi siłami mógł wytrzymać nacisk odosobnionej kolumny.

Natomiast niepokoiło Michała ciągle zatrzymywanie się Nadji. Jej stopy były pokaleczone. Mimo wielkich sił moralnych fizyczne były na wyczerpaniu. Znajdowali się już tylko o 230 wiorst od Irkucka — tak niewiele w stosunku do olbrzymiej drogi, którą mieli za sobą — a gotowa była nieraz wykrzyknąć: „Zostaw mnie w stepie. Idź sam! Niczego się nie boję. Ukryję się. Potem ty z ojcem odnajdziecie mnie.” Ale on jakby zgadywał tę myśl — brał ją wówczas na ręce — i niósł, a z tym drogim ciężarem po-

stępował szybko, jakkolwiek jego stopy także krwawiły. Potem szła znowu pokrzepiona, ochocza“.

W odległości dwóch wiorst zarysowała się rzeka Dinka, przecinająca drogę do Irkucka.

— Noc nadchodzi. Spocznijmy! — rzekła.

— Nadziu! ostatni wysiłek. Musimy mieć Dinkę za sobą...

„Tem pewniej będziemy mieć za sobą awangardę Feofara.

Poszli. Powietrze było ciężkie, nieruchome. Ale na horyzoncie jawiły się czasem błyskawice. Naraz szczenie przeleciało przez step.

— Słyszysz? — drgnęła Nadja.

Potem dał się słyszeć krzyk bolesny, rozdzierający. Ktoś wzywał pomocy.

„Mikołaj! Mikołaj!“ — zawołało dziewczę.

I pobiegła tak szybko, jakby rozpacz i nadzieja oskrzydliły ją, dały jej siły niezmożone. Michał ledwie mógł nadążyć za nią. Naraz u stóp Nadi pojawił się pies, zaskomlał — potem prowadził ją tam, skąd wydobywał się głuchy krzyk. Jego treścią było jedno imię: „Michale!“

— Tu... tu.. — wołała Nadja rozpaczliwie, dając znak kierunku Michałowi głosem.

Ujrzała scenę okrutną. Głowa ludzka — głowa Mikołaja — krzycząca, patrząca obłądnie, napastowana przez sępa. Korpusu nie było widać. Tatarzy okrutnym zwyczajem zakopali nieszczęsnego po szyję w ziemi. Prażyło go słońce przez trzy dni. Nie miał rąk do obrony przed dzikiem ptactwem. Jeno wierny Sirko go bronił, ale i on już ustawał w boju z olbrzymim sępem. Może już trzy dni skazaniec wywoływał daremnie imię przyjaciela.

Nadja skamieniała. Pies wstąpił w ponowny bój z potężnym skrzydlatym drapieżcą. Zgłodniały

miał już mocy. Trafiony ostrym dziobem w łeb, padł martwy przy głowie pana.

Strogow nadążył już tylko na ostatnią chwilę, aby z ust konającego usłyszeć te wyrazy:

„Zegnajcie, przyjaciele. Rad jestem, żeś was jeczcie ujrzał. Módlcie się za mnie.

Daremnie Strogow z Nadją ryli rękoma, odgarbiali piasek — odkopali wpół męczennika. Ale serce już nie biło. Nadja przyklękła do modlitwy. Strogow ponownie zasypywał zwłoki. Przy panu złożył wiernego Sirko.

Wtem stepem poszedł głuchy pobrzęk.

— Patrz, Nadju, patrz! — co tam?!

— Tatarzył — jęknęła przerażona.

Szły awangardy armji Feofara. Ten, który skończył, ocalił ich przed nową niewolą. Za jego ostatnim krzykiem zeszedli daleko na manowce. Byli niewidzialni dla przeciągających wojsk w pomroce wieczora, zdala od bitej drogi.

— Muszę dokończyć pogrzebu; nie oddam jego ciała wilkom i sępom na pożarcie.

Sypał mogiłę.

— A taraz w drogę, Nadziu!

Główny szlak był zajęty przez hordy tatarskie i ich obozy, rozciągnięte długim węzłem. Nadja i Michał musieli skręcić w bok. Udawali się na południow-schód. Znajdowali się teraz o sto kilkadziesiąt wiorst od Irkucka. Ale dotrzeć tam wpoprzek bezmiernego stepu przed armją, dążącą konno prostym szlakiem, nie było-ż to nad siły pieszych, znużonych, zgnębionych — ślepcy i młodej dziewczyny?!

Jednak szli, a 2-go października roztoczył się przed nimi olbrzymi obrus wodny — jezioro Bajkał!

RÓZDZIAŁ X.

Bajkał i Angara.

Jeziro Bajkał, czyli Święte Morze najgłębsze na ziemi jezioro (gdzieniegdzie sięga blisko 1400 metrów), trzecie z kolei co do wielkości jezioro Azji wewnętrznej, obwodu blisko 2000 klm., obszaru blisko 35000 klm. jest kolosalnem zbiorowiskiem wód słodkich, karmionem przez mnóstwo bystrych rzek, z których najznaczniejszą jest Angara, wypływająca z Jeniseju.

Na jej brzegach dzikich i pustych, gdzie wśród skał mieści się niezliczona ilość mew, kruków i jaskółek — oczekiwała, zda się, śmierć Michała Strogowa i Nadję. O sto zaledwie wiorst podróży — po tylu mękach i trudach!

Los jednak tego nie chciał. Nadja, którą niósł na ręku Strogow — ona była jego oczyma, wskazującemi kierunek — nagle krzyknęła: Ludzie!

Drgnął: „Tatarzy”?

— Niel Rosjaniel...

Omdlała na jego ręku z radosnego wzruszenia. Ale już ich dojrzano. Strogow i Nadja przybyli w samą porę. Grupa uciekinierów, włościan, żon ich, dzieci, mnichów i pielgrzymów z dalekich stron, zgromadziła się w tem miejscu, zamierzając przeniknąć do Irkucka przez Bajkał i Angarę. Chłopskie ręce pościnały grube drzewa i zbiły z wielkich bali tratwę, na której dogodnie zmieścić się mogło owych kilkadziesiąt osób. Miał ją ponieść bystry prąd na zachodniej stronie jeziora, a potem rwiste wody Angary. Tratwa miała

właśnie odchodzić. Poczciwcy przyjęli na nią ślepcę i młode dziewczę. Stary marynarz — poważny i miłujący — objął kierownictwo.

Tym sposobem Strogow dzięki zrządzeniu losu zyskał jeszcze szansę dotarcia do Irkucka. Nadja, wy-czerpana, zasnęła snem głębokim. Michał, nieomal bezsenny, czuwał przy niej, ujawszy jej dłoń, pogrą-żony w swoich myślach. Dokoła niego mówiono o przedwczesnem zamarznięciu wód tego roku, (w istocie temperatura spadła nagle poniżej zera), o sporych krach, wśród których przebijać musiała się tratwa. Chodziło o to, aby, nagromadzając się, nie zatamowały im wejścia do Angary. Wszelako na ra-zie — jak miarkował z rozmów — kry te opóźniały tylko przybycie do ujścia rzeki, co było na rękę po-dróżnym, bowiem bezpieczniej było płynąć nocą po falach Angary wśród brzegów, na których z obu stron grasowali najeźdźcy. Śród ciszy na jeziorze ulatywały pod niebo głosy mnichów, intonujących śpiewne mod-litwy z powtarzaniem się stokrotne „Sława Bogu”!...

Nadługo przed zmierzchem dosiężono ujścia Angary i zatrzymano się celem naprawienia tratwy w małym porcie Liwenicznaja — wśród skał granito-wych. Zamarło w nim życie zupełnie wobec warun-ków chwili. Już miano odbić od brzegu, gdy z domku na przystani wybiegło dwóch ludzi, krzyczało i ma-chało rękoma zdala, widocznie dopraszając się, aby przyjęto ich na pokład. Nadję obudziło ich wołanie.

— Co się stało? — spytał Strogow.

— Nasi towarzysze z gór Uralu, dziennikarze!

Strogow drgnął. Przekładał rozsądnie zacho-wanie *incognito* wśród obcych ludzi. A tu zjawiali się ludzie, którzy wiedzieli obecnie, kim był mniemany Korpanow.

Korespondenci ofiarowywali marynarzowi złoto.

— Wejdźcie — odparł sucho — tu się płaci tylko narażeniem życia.

— Nadziul — rzekł cicho Strogow — gdy wejdą, przyprowadź ich do mnie.

— Dobrze.

Francuz i Anglik byli rozpromienieni. Opuściwszy armję Feofara, oni też zostali odcięci od rzeki Dinki przez nagłe wysunięcie się z południa trzeciej kolumny Tatarskiej. Dotarłszy do portu Angary, zrozpaczyli o możliwości przedarcia się do Irkucka, nie znalazłszy tu ani statków, ani łodzi, które zdawna uniosły zbiegłą ludność. Aż oto przysłużyła się im przypadkowa tratwa.

Wtem na ramieniu Joliveta spoczęła czyjaś ręka. Odwrócił się, krzyknął radośnie. Stała przed nim uroczą Liwonianka. Uczyniła gest milczenia palcem na swoich drobnych ustach. Jolivet powtórzył gest Blountowi. I obydwaj poszli za Nadią wzdłuż tratwy. Można wyobrazić sobie ich zdziwienie, gdy ujrzeli przed sobą Strogowa, który według nich już dawno musiał przebywać na tamtym świecie — oraz ich współczucie, gdy Nadja szepnęła im:

— „On nie widzi. Tatarzy go oślepiłi.”

Rozmowa między ślepcem a nimi była lakoniczna.

— Zechcecie panowie zatrzymać w tajemnicy moje nazwisko i charakter mej podróży. Proszę o to. Czy dotrzycie?

— Pod słowem honoru, tak! — rzekł Francuz.

— Słowo gentlemana! — uroczyście potwierdził Anglik.

Korespondenci półgłosem zakomunikowali Strogowowi ważne nowiny. Trzy kolumny tatarskie już dokonały operacji zjednoczenia się i ruszyły na Irkuck.

Jolivet przed udaniem się na spoczynek, ścisnął rękę Strogowowi:

— Proszę o wybaczenie, że nie pożegnał pana wówczas w Iszymie. Ale nie spodziewałem się wtedy, że naznaczysz taką znakomitą krychłą pysk... tego łotra, Ogarewa.

— I wzięłeś mnie za tchórza. Nie mam ci tego za złe. W Iszymie ja także brzydziłem się sobą...

Gdy odchodzili, Blount rzekł do Joliveta:

— „To człowiek, jak się patrzy!” Pamiętam to słowo cesarskie. Wpadło mi do ucha na balu w Kremlu.

Jolivet zamyślił się i odparł sentymentalnie:

— On jest promienny i gorący i wysoki, jak te gejzery, które strzelają z głębokiego dna Bajkalskiego jeziora. Dziwnie piękni ludzie wyrastają z mrocznych nizin ludowej duszy rosyjskiej.

Lodowce tarły się o belki tratwy. Pobożni mnisi półgłosem nucili psalmy. Dusze Strogowa i Nadji kołysały się między niepewnością i nadzieją. Jednak zbliżali się wciąż do celu podróży!

ROZDZIAŁ XI

Wpółród dwóch rzek.

Księżyc był na nowiu. Już o ósmej wieczorem głęboka ciemność spowiła niebo i dolinę Angary. Z pośrodku rzeki brzegi były dla płynących niewidzialne. Sprzyjało to zamysłom uchodźców. Rozsypane po wybrzeżach eszelony tatarskie nie mogły ich dostrzedz.

Z wielu względów pożytecznym był i wczesny przepływ kry. Aczkolwiek utrudniał podróż i zniewa-

łał kierownika tratwy wraz z jego ludźmi do ciągłej walki z lodowcami zapomocą wielkich drągów, to przecie zdawało się, że to sama natura nagromadzała te odłamy lodu na rzece, aby zatamować Tatarom dostęp do Irkucka dogodną w innej porze roku drogą wodną. A zarazem owe kry, wielokształtne i ogromne, ścierające się i pękające, przykrywały wysokością swoją i zagłuszały hukiem pochód tratwy w pośrodku szerokiej rzeki, gdyby jakoweś oczy, śledzące z wybrzeży, mogły przebić mgłę nocną i jakoweś uszy rozróżniły odrębny ton wśród poszumu fal. Pielgrzymi umilkli — modlili się teraz w sercach...

Najgorszem było, że temperatura spadła nagle, dał mroźny wicher i kłuł poprostu twarze podróżnych. Jolivet i Blount, przytuleni do siebie, starali się wzajem ogrzać tym aljansem anglo-francuskim. Nadja i Strogow znosili chłód bez skargi, jakkolwiek dotkliwie cierpieli. Strogowa zajmowała tylko jedna myśl: oby narastająca kra nie zatrzymała tratwy przed dopłynięciem do Irkucka. Nadja, zbliżając się do Irkucka, mimowoli ścigała obraz dawno niewidzianego ojca wyгнаńca, przypominała słowa zmarłej matki, które miała mu zawieźć; poczem myślała o tem, jak wskaże ojcu bohaterskiego „brata”, który mu przywiódł córkę, a sprawionego przez się cudu sam nigdy nie zobaczył! Serce jej ścisnęło się boleśnie...

Jolivet spojrzawszy na nią, mruknął do Blounta:

— O niej możnaby stworzyć poemat, gdyby nie to zimno...

Blount odparł:

— Na tym mrozie ścina się nawet proza dziennikarskich pomysłów...

Naraz mroki nocy rozdarło czerwone światło. Palily się wsi i lasy nadbrzeżne. Refleksy ognia na

wielokątnych kryształach płynącego lodu sprawiały widok czarodziejski.

Z tym pożarem wiązało się nowe niebezpieczeństwo, nie dające się odparować. Sygnalizował je koleźce po fachu Jolivet. Opuściwszy dłoń w rzekę poczuł niezwykłą konsystencję wody — oblepił mu palce niby tłuszcz płynny — zbliżył je do nosa, wzdrygnął się pod wrażeniem przykrego zapachu.

— Kolego! — szepnął do Blounta — płyniemy po fali nafty.

Obaj jęli porozumiewać się cichaczem. Stanęli wobec zagadki, mogącej mieć kilka różnych rozwiązań. Czy to trysnęło z podwodnej studni artezyjskiej źródło naftowe? Bywa to na morzu Kaspijskiem, na jeziorach chińskich... Czy to Irkuck próbował bronić się w ten ryzykowny sposób? Czy raczej Tatarzy naśladowali uroczystości Bakińskich czcicieli ognia, zapalających na rzece płynące strugi nafty — rozleli naftę po wodzie, aby w danej chwili zapalić: morze ognia mogło dojść do Irkucka. Dziennikarze nie obawiali się nieostrożności ze strony pasażerów tratwy; nie palono na niej światła. Ale starczyła iskra z zajętego na brzegu pożarem lasu — a tratwa mogła znaleźć się w objęciach ognia. Zdecydowali przecie nie płoszyć towarzyszy widmem niebezpieczeństwa, które nie było pewnością, nie dawało się odpędzić zawczasu, w razie urzeczywistnienia zostawiało jedyną możliwość: skoku w wodę i dostania się wpław do brzegu.

— Tylko jeden z nas nie ocali się — rzekł ze smutkiem Jolivet.

Pomyślał o ślepcu.

Ale teraz jawiło się nowe, bliższe niebezpieczeństwo. Ostrooki Blount dojrzał przesuające się po lodowcach przed nimi szare postacie.

— Tatarzy! — wskazał je marynarzowi z grozą w głosie.

— Nie jest tak źle! — odparł tamten.—To tylko wilki. Ale trzeba się będzie bronić przed nimi. I to bez hałasu.

W istocie w kilka chwili potem wściekle z głodu i mrozu zwierzęta natarły na tratwę. Mężczyźni osłonili grupę kobiet i dzieci, skupionych wpośród, tocząc trudną walkę z napastnikami, gdyż nie można było puścić w ruch głośnej broni palnej. Walczono drągami, pałkami, nożami. Francuz i Anglik nie próżnowali; ich ręce były zadrapane pazurami, pogryzione zębami wilczemi, ale zarazem splamione krwią zarzniętych krzywdzicieli.

Wszelako bój nie był łatwy. Miejsce zepchniętych z tratwy, zabitych, odpędzonych zajmowały nowe stada. „To niema końca!” — wyrzekał zrozpaczony Jolivet. Strogow, aczkolwiek ślepy, czołgał się po tratwie, namacywał czworonogich wrogów, ciął potężnie na prawo i na lewo. Ale oto dziesiątek potwornie wielkich okazów wkroczył na tratwę, łyskał gorejącymi ślepiami, rozwierał z wyciem chciwe gardziele — obrońcy wyczerpani długą walką, toczoną w milczeniu, już słabli... Groziła katastrofa...

Naraz stał się cud: napastnicy pierzchnęli z tratwy, z lodowców, z brzegu—skryli się. Cud wyjaśniał się prosto. Osaczona przez wilki tratwa wpłynęła w strefę ognia. Płonęła osada Poszkawsk. Wilki, żerujące z natury w mroku, strwożone wobec światła, umknęły na widok pożaru.

Ale ten ratowniczy dla uchodźców ogień był znamieniem nowego niebezpieczeństwa: tratwa dostała się w pas operacyj armji tatarskiej, manewrującej na obu wybrzeżach. Płonęły liczne domy — całe

miasto... Słysząc było wycia tatarskich podpalaczy. Jolivet i Blount zadrżeli; oni jedni wiedzieli, czem zagraża iskra tratwie, sunącej po plamach nafty, tworzących łańcuch na wodzie. Jaskrawość ognia nadto mogła odkryć placówkom tatarskim przemykanie się wędrowców - Rosjan. Ale kryły ich cienie wysokich lodowców. I podróżni minęli wreszcie pas pożaru i znaleźli się znowu na ciemnej rzece. Były tylko dobić się do Irkucka przed świtem... byle tratwa płynąć mogła dalej...

Nadzieja ta okazała się zawodną. Nagle przed podróżnymi stanęła barjera lodu — krzepkie kry stoczyły się w mur granitowy. Tratwa zatrzymała się.

Michał Strogow już wcześniej odgadł z zahamowania biegu bliski zator. Zbliżył się do Nadji i cicho spytał.

— Jesteś gotowa?

— Gotowa! odparła, jak ongi.

Naraz z brzegów rozległy się wycia. Wstawał szary świt. Wędrowców dostrzeżono. Posypał się grad kul z prawa i z lewa na nieszczęsnych podróżnych. Ich los był zdecydowany—śmierć patrzyła z każdego brzegu.

— Nadziu! prowadź mnie — rzekł Strogow — ale bacz, aby nikt nie widział, że schodzimy.

Dwa cienie ludzkie ześlizgnęły się ze skraju tratwy. Wstąpiły mężnie między kręte wąwozy wśród ruchomych gór lodowych przed nimi. Jakieś kule szły ich śladem, ale rozbijały się o osłaniający ich mur lodu. Szli przez dłuższy czas po skupionej krze, aż wyszli nareszcie tam, gdzie rozwarło się przed nimi znowu gładkie zwierciadło wód. Już zdążyli doszły ich jęki i gwizd kul.

— Biedni towarzysze nasi! — westchnęła Nadia. Wstąpili na krę, która odłączyła się od zbitej

masy lodu. Prąd zawracał tutaj. Napływ kry, odbijającej się od brzegów, potworzył wiry. Kra poniosła ich.

— Widzę światła wielu domów — rzekła Nadja, To już chyba Irkuck!

W istocie znajdowali się już tylko o pół wiorsty od upragnionego celu.

— Nareszcie! — szepnął wzruszony głęboko Strogow.

A wtem Nadja wydała głośny okrzyk.

Strogow odwrócił się na ten krzyk — wyprostował się na chwiejącej się pod nim krze. Rękę wyciągnął w kierunku miasta. Jego postać, cała oblana niebieskawymi blaskami, zdawała się posągiem zgrozy. Oczy jakby otworzyły się na światło, zawołał:

— Ach, sam Bóg jest przeciwko nam!

ROZDZIAŁ XII.

I r k u c k.

Irkuck — stolica Syberji Wschodniej, ludna, licząca naówczas 30 tysięcy stałych mieszkańców, leży na prawym brzegu Angary, uderza oczy malowniczym położeniem rozsypanych na wzgórzach domów, nad którymi panują szczyty Katedry prawosławnej. Kopuły dzwonnicy, minarety, budowle japońskie nadają miastu styl wschodni; smak bizantyński i chiński wiąże się zajmująco z doskonale europejskim smakiem, noszącym znamię nowinek Paryża w charakterze budowli i ruchu ulicznym.

W okresie wypadków naszej powieści ta siedziba generalgubernatorska i wielka arena handlu była życiem podwójnem i potrójnem, gdyż przyjęła pod skrzydła swoje olbrzymią ilość uchodźców, kryjących się za jej murami fortecznymi, bronionemi przez dwutysięczny garnizon, złożony z pułku kozaków i korpusu żandarmerów.

W Irkucku zamknął się brat Cara, Wielki Książę, od chwili inwazji, o której wieść doszła doń podczas powrotu z podróży nad morze Ochockie, przedsięwziętej w celach politycznych. Inwazja zamykała dlań komunikację z Europą, Od czasu przzerwania drutów telegraficznych, Irkuck był odosobniony od świata.

Wielki Książę zachował zimną krew. Zorganizował według możliwości obronę. Wiedział o pogromach oddziałów rosyjskich przez przeważające liczebnie hordy tatarskie pod Iszymem, Omskiem i Tomskiem. Wiedział, że na posiłki z Europy nie prędko liczyć może. Ale postanowił nie oddać żadną miarą stolicy i wytrzymać do ostatniego tchu oblężenie.

Uciekająca do miasta ludność zniosła olbrzymie zapasy żywności i broni.

Z rozkazu Księcia zniszczono dwa mosty, prowadzące na niedające się obronić zarzeczne przedmieście starożytnego miasta, powstałego w r. 1611 przy zbiegu Irkutu i Angary. Zachęcona przezeń ludność cywilna — kupcy, włościanie, wygnańcy — pomagała żołnierzom w sypaniu okopów, ryciu rowów, podnoszeniu fortów.

Osaczająca Irkuck trzecia kolumna tatarska była zbyt słabą, aby wziąć miasto szturmem. Oblegający oczekiwali przybycia dwóch wielkich armji Feofar-chana. Połączenie nastąpiło 25 września na pociągach Angary. Zamknięci w mieście nie mogli temu przeciwdziałać.

Obecnie kierował operacjami oblężniczymi nieznanym Wielkiemu Księciu oficer rosyjski, sprawny inżynier, Iwan Ogarew. Zniewolony został podjąć regularne oblężenie, gdyż do szturmów brakło mu dział i siły tatarskie stopniały w poprzednich bitwach. Zresztą dwie próby wzięcia miasta spotkały się z potężnym odporem załogi i ludności, zakończyły się wielkimi stratami dla szturmujących.

Ale przeciągnięcie się oblężenia wobec zasobów i energii obrońców groziło najeźdźcom katastrofą. Wiedział Ogarew, że armje rosyjskie maszerowały z gubernji Jakuckiej na odsiecz miastu, że skoncentrowały się nad Leną i w ciągu dni sześciu mogą zająć tyły tatarom. Trzeba było wziąć stolicę przedtem. Odebranie jej od osłoniętych fortami byłoby już dla Rosjan zadaniem nader trudnem.

Tedy Ogarew postanowił użyć podstępny — zdobyć miasto zdradą. Przystąpił z namowy Sangarry do wykonania chytrego planu...

Wieczorem dn. 2 Października odbywała się w pałacowej sali wielka narada wojenna, której przewodniczył sam Wielki Książę.

— Pomimo ciężkiej pozycji — rzekł, wskazując przez okno przednie placówki armji oblężniczej — nie tracę nadziei, że odpędzimy te hordy od naszej stolicy. Ręczy mi za to postawa patrijotycznej ludności. Dzięki Bogu nie cierpimy głodu, nie poddaliśmy się epidemji. Za sześć dni — tak sądzę na mocy ostatnio doszłej do mnie depeszy — winniśmy otrzymać posiłki: 50 tysięcy pod wodzą Generała Kisielewa. Byle tylko nie zatrzymały ich mrozy i śniegi...

Poczem zwrócił się do generała Woroncowa:

Obejrzymy jutro roboty na prawym brzegu Angary. Na rzece podobno pojawiły się w wielkiej ilości

kry... To mnie trochę niepokoi... Z tej strony nie jesteśmy dosyć osłonięci.

Obecny przy naradach nad środkami obrony stolicy przedstawiciel kupiectwa ozwał się :

„Wasza Wysokość pozwoli zauważyć, że to zjawisko jest zwykłe u nas o tej porze. Ale widziałem już spadek temperatury niżej zera o 30 i 40 stopni. A jednak Angara nie zamarzała całkowicie. Tak bystre są jej wody. Jestem pewny, że od strony rzeki Tatarzy nie zdołają przeniknąć do miasta, bronionego przez ludność z takim poświęceniem.“

— Właśnie pragnę zanieść do Waszej Księżęcej Mości prośbę — rzekł policmajster — od...

— Od kogo? — spytał książe wobec zawahania się mówjącego.

— Od 500 politycznych zesłańców, przebywających w mieście. Są między nimi medycy, profesorowie, nauczyciele, liceiści...

„Dotąd za pozwoleniem Waszej Księżęcej Mości brali udział w obronie i dowiedli swego patriotyzmu.“

— Czego żądają?

— Pragną stworzenia własnego Korpusu śmierci. Są to najlepsi żołnierze!

— To są całą duszą Rosjanie! — rzekł ze wzruszeniem Wielki Książe. Nie mogę odmówić im prawa bicia się za ojczyznę. Ale skąd wezmą odpowiedniego dowódcę?

— Jest już taki, który odznaczył się nieraz.

— Rosjanin?

— Tak jest. Z prowincji Bałtyckich. Zowie się Wasyli Fedor.

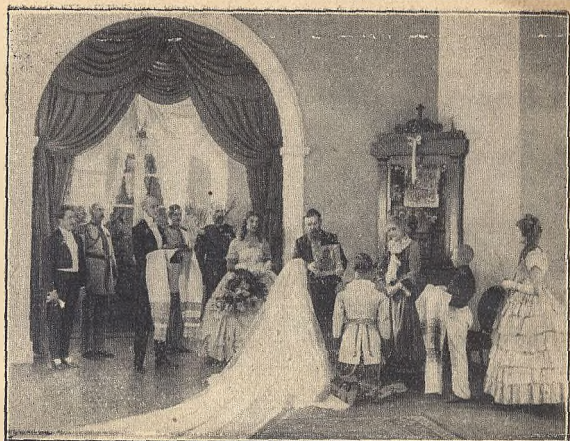
Tym zesłańcem był ojciec Nadji. On to opieką lekarską zyskał miłość wygnańców, a teraz natchnął ich poświęceniem w walce z najeźdźcami, dał przykład bohaterstwa, rzucił myśl o stworzeniu własnego kor-



Śmierć zdrajcy.



Chwila, pełna grozy...



Przysięgli sobie wiare...



Ślub ich odbył się w Katedrze.

pusu, acz skromny nie pomyślał o zajęciu stanowiska komendanta.

— Czy dawno jest w Irkucku? — spytał W. Książę.

— Od dwóch lat... Sprawuje się wzorowo.

— Przedstawić mi go niezwłocznie!

W półgodziny potem przed W. Księciem stanął człowiek wysoki, lat 40-stu, z długą brodą, o twarzy poważnej i smutnej, zdradzającej, że całe życie Wasylego Fedora zawierało się w cierpieniu i walce. Zresztą rysami przypominał córkę. Wiedział z listu Nadzi, że po śmierci matki wyjechać miała 10 Lipca. Inwazja nastąpiła 15 Lipca. Jeżeli Nadzia nie przybyła dotąd, uprzedzając najeźdźców, znaczyło to, że wpadła im w ręce podczas podróży. Dręczony niepokojem ojciec pałał podwójną nienawiścią do dziczy tatarskiej.

— Wasyli Fedorzel! Czy twoi towarzysze rozumieją, że chcą wziąć na siebie obowiązek poniesienia głowy w pierwszych szeregach, oddania życia do ostatniego człowieka?

— Wiedzą. Po to chcą stworzyć korpus śmierci.

— A ciebie mieć pragną za szefa.

— Mnie?

— Chcesz oddać życie?

— Skoro jest Rosji potrzebne — tak!

— Komendancie Fedorze, nie jesteś odtąd zesłańcem.

— Jakże będę mógł dowodzić tymi, co są zesłańcami jeszcze?

— Już nie są nimi — od tej chwili.

Wielki Książę przy swoich szerokich pełnomocnictwach wiedział, że brat jego cesarskim manifestem potwierdzi ten wyrok, w którym mądra sprawiedliwość łączyła się z dobrą polityką. Stanął przy oknie —

patrzył na płonące na przedmieściach domy, na płynące po zaczerwienionych wodach, błyszczące refleksami pożaru lodowce i rozmyślał...

Był teraz sam. Wasyli Fedor odszedł. Rozeszli się członkowie Rady.

Wtem powstał hałas za drzwiami. Wszedł adjutant książęcy; wzruszony zameldował..

— Wasza Cesarska Wysokość! Przybył goniec od Najjaśniejszego Pana.

ROZDZIAŁ XIII.

Goniec Cesarski.

Oficerowie sztabowi, rozchodzący się po posiedzeniu Rady Wojennej, stali zelektryzowani, zgorączkowani u podjazdu pałacowego. Ujrzeni gońca Cesarzskiego. Gdyby zastanowili się, uznaliby to za niemożliwość...

Wielki Książę żywo postąpił ku adjutantowi:

— Goniec od Cara. Dawaj go tu!

Wszedł człowiek o twarzy, znamionującej wielkie znużenie. Miał na sobie ubiór włóścianina syberyjskiego, zniszczony; podarły podziurawiony przez kule. Rana, źle zabliźniona, szpeciła jego policzek. Nędzne obuwie świadczyło o trudach długiej pieszej podróży.

— Wasza Książęca Wysokość?! — krzyknął od progu.

— Tyś kurjer cesarski?

- Tak.
- Skąd?
- Z Moskwy.
- Wyjechałeś?
- 15 Lipca.
- Nazywasz się?
- Michał Strogow.

To był bezczelny przywłaszczyciel, Iwan Ogarew. Korzystał z tego, że nikt go tu nie znał. Wielki Książę oddał im gestem oficerów, którzy, uległszy wrażeńiu, wbrew etykiecie, wtoczyli się za gońcem do sali.

On i fałszywy Strogow pozostali sam na sam. Mierząc „gońca“ badawczym spojrzeniem, W. Książę zapytał:

- Gdzie był Cesarz 15 Lipca?
- W noc z 14 na 15 w Kremlu na balu.
- Masz list od Niego.
- Oto jest.

W. Książę rzucił okiem na lakoniczne pismo.

- List był dany ci w tym stanie?

— Nie! Zdarłem kopertę. Aby przy ewentualnej rewizji zamaskować przed żołnierzami Emira charakter listu.

- Dostałeś się do niewoli?

— Tak, na dni kilka. Dlatego przybywam 2 Października po 79 dniach podróży. Winienem być przybyć wcześniej.

W. Książę wczytał się w znane pismo Cara. Nieufność pierwszej chwili pierzchła. List był autentyczny. Człowiek dawał odpowiedzi trafne. Doniesienia były pierwszej wagi.

- Michale Strogow, znasz treść pisma?
- Znam! Musiałem wbić sobie ją w pamięć,

aby powtórzyć tekst Waszej Wysokości, gdyby list mi zabrano.

— Wiesz, że ten list nakazuje nam umrzeć raczej, niżeli poddać miasto?

— Wiem.

— Wiesz, że donosi o ruchach naszych armij celem wstrzymania najazdu?

— Wiem... Ale te ruchy nie urzeczywistniły się.

— Co chcesz rzec przez to?

— Mówię o Iszymie, Omsku, Tomsku, gdzie nasi zostali osaczeni.

— Ależ nasze pułki kozackie jeszcze nie starły się z Tatarami.

— Mnóstwo razy, Wasza Książęca Mość!

— Odepchnięci?!

— Niestety! Wobec przewagi liczebnej wroga.

— Gdzież były te starcia?

— Pod Koływanią, Tomskiem.

Dotąd mówił prawdę. Lecz aby zgłębić obrońców Irkucka, przesadził triumf wojsk Emira — dodał kłamliwie:

— A poraż trzeci pod Krasnojarskiem.

— A ta potyczka? — rzucił książę przez zęby.

— To była bitwa.

— Bitwa?

— 20000 Rosjan, przybyłych od granic guberni Tobolskiej, walczyło z 50000 Tatarów. Mimo cudów odwagi, nasi zostali rozbici w proch.

— Łzesz! — krzyknął, książę, nie mogąc pohamować gniewu.

— Mówię prawdę — odparł zimno Strogow. Byłem świadkiem tej batalji. Tam dostałem się do niewoli. Odbyła się 2 września. Dzięki temu zwycięstwu siły Tatarów ześrodkowały się naokoło Irkucka.

Książę opanował się. Dał poznać Ogarewowi, że nie wątpi o prawdzie jego doniesień.

— Liczysz te siły na... ?

— Na 400000 ludzi!

Była to przesada znaczna, zmierzająca do celu zdrajcy. Książę cicho zapytał.

— Więc nie otrzymam pomocy z zachodu?

— Żadnej, Wasza Książęca Mość.

— A więc posłuchaj, Michale Strogow! Choćby nie miała przyjść żadna pomoc od wschodu i od zachodu i tej dziczy było nie 400, ale 800 tysięcy — nie oddam dobrowolnie Irkucka!

Ogarew schylił głowę, kryjąc złość spojrzenia. Wielki książę, chcąc ukoić wzburzenie, wywołane przez okrutne nowiny, jał przechadzać się szerokimi krokami po salonie, przystawał milczący przy oknie, wpatrywał się w gwiazdy na mrocznym niebie i w dalekie ognie oblężniczych obozów... A złe oczy szły za nim niepostrzeżenie, z ukosa, jakby wypatrywały z nienawiścią ofiarę dawno planowanej zemsty. Minął kwadrans.

— Michale Strogow! wiesz, że w liście uprzedzony jestem o tem, abym nie ufał pewnemu zdrajcy?

— Wiem.

— Który chce zyskać mą ufność, aby...

— Wydać Irkuck Tatarom. Zowie się Iwan Ogarew. Zaprzysiągł zemstę osobistą cesarskiemu bratu.

— Za co?

— Za degradację, która go poniżyła z wyroku Waszej Książęcej Mości.

— Przypominam... Ależ ten nędznik zasługiwał na to, skoro rzucił teraz na swoją ojczyznę hordy tatarów!

— Najjaśniejszy Pan nalegał mocno na uprzedze-

niu Waszej Książęcej Mości o grożącym Mu niebezpieczeństwie i kazał mi pilnować się przed tym zdrajcą!

— Spotkałeś go?

— Tak. Gdyby odgadł misję moją, już bym nie żył.

— Jak umknąłeś mu?

— Rzuciłem się w wody Irtyszu!

— Jak dostałeś się do Irkucka.

— Dzięki wycieczce obrońców, którzy odparli oddział tatarski. Wmieszałem się pomiędzy nich, kiedy cofali się ku bramie miasta. Dałem się poznać i... jestem tu.

— Michale Strogow! dowiodłeś odwagi i gorliwości, o jakich nie zapomina się. Masz jakieś życzenie?

— Tylko jedno: bić się przy boku Wielkiego Księcia.

— Dobrze! Od dziś jesteś moim adjutantem. Zamieszkaś w pałacu.

— A jeżeli zjawi się przed Waszą Książęcą Mością Iwan Ogarew pod fałszywym nazwiskiem, jak zapowiada list?

— Zdemaskujemy go dzięki tobie, bo go znasz. Umrze pod knutem. Odejdź!

Ogarew odsalutował po wojskowemu — wyszedł.

Tak zdrajca wszedł pomyślnie w swą rolę. Korzystał z bezgranicznej ufności W. Księcia. Mieszkając w pałacu, znał wszystkie sekrety obrońcy. Dzierzył w rękę klucz sytuacji. Nikt go nie znał — nie bał się tedy zdarcia maski. Przystąpił do wykonania czarnego dzieła. Rzecz nie cierpiała zwłoki — posiłkowe armje mogły zjawić się za dni sześć.

Obserwował prace obronne. Wciskał się między oficerów, żołnierzy, obywateli, którzy radzi byli słuchać bez końca opowieści jego fałszywych przygód. Próbował kłamliwemi wiadomościami zachwiać obrońców, ale spotykał w nich taką patriotyczną nieugiętość,

że zaraz się cofał, aby nie obudzić podejrzeń, i sam dodawał: „pomimo wszystko — należy bronić się do upadłego.“ Tedy nikt nie przejrzał piekielnego dna duszy zdrajcy.

Mniemał przez chwilę, że ziarno jego intryg znajdzie podatny grunt wśród zesłańców. Zetknął się przypadkiem z Wasylim Fedorem. Ów przyszedł do niego. Popchnęła go chimeryczna nadzieja, że „kurjer cesarski“ mógł w swoich wędrówkach napotkać Nadję i coś wiedzieć o jej losie. Ogarew widział ją przelotnie na stacji pocztowej w Iszymie, ale nie zwrócił na nią uwagi. Udał obecnie współczucie dla męki ojca, rozpytując go:

— A kiedy córka pańska wyjechała z Rosji Europejskiej?

— W tym samym czasie, co pan.

— Zatem 15 lipca?

— Tę datę wskazała w poprzedzającym wyjazd liście.

— Tak?... No, to pan powinien położyć w tem nadzieję, że nie wyjechała, bo gdyby wyjechała — musiałaby wpaść w ręce Tatarów!

Wasyli Fedor odszedł ze zdwojoną troską w sercu. Niegodziwiec, wiedział o rozporządzeniu, ogłoszonym w Niżnym Nowogrodzie, zamykającym granicę Syberji. Mógł był zakomunikować to ojcu i tem go uspokoić, ale sprawiało mu przyjemność cierpienie Fedora, przekonanego, że córka jego sama nie wyrzekła się podróży we wskazanym terminie. Ogarew wściekał się tajnie, że na pomoc zesłańca politycznego w zdradzie kraju liczyć nie może.

Rachował teraz tylko na swój spryt. Postanowił osłabić czujność obrońców miasta, zaleciwszy oblegającym pozorne rozluźnienie osaczającego łańcucha, zaniechanie na pewien czas strzelaniny, potem nacisk

pozorny w dwóch punktach od północy i południa, które miały przyciągnąć siły obrońców. Natomiast rachował na to, że wyda Tatarom miasto od strony portu Bolszaja, skąd nie spodziewano się ich wcale, gdyż rzeka nie była zamrzła, a lodowce zatrzymywały dostęp łodzi i barek. Wszelako Ogarew wiedział, że po zgrubiałych w pewnej mierze i nagromadzonych w pewnej ilości krach ukryty w mrokach nocy oddział może się przedrzeć do miasta. Trzeba było tylko dać mu hasło, kiedy obłążeni odciągną stąd siły i przerzucą na rzekomo bardziej zagrożone posterunki, zaniedbawszy bronić się z tej jakoby najbezpieczniejszej strony.

W tej myśli wychodził tajnie — któż bowiem śledzić mógł wypróbowanego w patriotyzmie gońca cesarskiego — za obręb fortów. Albo czynił to jawnie, budząc tylko podziw straży dla swej odwagi i gorliwości: wszakże jakoby narażał życie, aby wy badać stan kry na rzece, w interesach obrony, wystawiając się na kulę od strony posterunków tatarskich.

W istocie zaś szedł na lodowce dla porozumienia się z pewnym cieniem o kształtach iudzkich, skradającym się zręcznymi skokami dołem kry za wysokim murem z lodu... Temu cieniowi z wyżyn lodowców rzucił listy zawierające wskazówki dla Feofar — Chan. Cieniem była... Sangarra!

Ogarew doniósł Chanowi, że wyda mu miasto nocą z dn. 5 na 6 Października.

ROZDZIAŁ XIV.

Noc z dnia 5 na 6 Października.

Zdrajca wypracował swój plan niezmiernie chytrze. Zmodyfikował go w pewnych szczegółach korzystniej jeszcze dla niespodziewanego po długiej

przerwie szturm, bądź powziąwszy pewne wiadomości o planach Wielko-Książęcych rozstawienia garnizonu, bądź popychając nieznacznie Księcia na błędne tory obserwacjami, które odpowiadały pozornym ruchom Tatarów, maskującym skryte cugi, dyktowane przez niego współpracownikom, bądź wreszcie stosując się do warunków chwili. Te sprzyjały zamysłom zdrajcy. W oznaczonej noc mur lodu poruszył się na rzecę — lód topniał i spływał — dostęp od strony Angary był łatwiejszy.

Ogarew czuwał tajnie w ciemnej sali pałacu przed oknem, pod którym obszerny taras [zbiegał ku rzecę.

Obserwował pozycje obrony i zrozumiałe dlań sygnały świetlne w ruchach oblężniczych. Czekał tam umówionego hasła, które miało i mogło wyjść tylko od niego.

Ktoś zapukał do drzwi jego pokoju, ozwał się głos: „Michale Strogow!” Wzywano go do W. Księcia dla porady, gdyż W. Książę nie tylko obdarzył go pełną ufnością, lecz nadmiar przejęty był podziwem dla mądrych wskazówek „gońca”, co znał z doświadczeń życia i niewoli Tatarów, którym potrafił się wymknąć. „Jego zdrowy rozum chłopski — mawiał do oficerów sztabu — wart jest naszej nauki strategji. Radzę się go w ważnych wypadkach.”

Ogarew zmilczał na wołanie. Cóż miał do powiedzenia księciu, skoro już wszystko ułożyło się zgodnie z jego planami. Ogromne siły przerzucono na punkty dalekie od portu „Bolszaja”, które Feofar pozornie zaatakował gwałtownie wszystkimi siłami. Adjutant odszedł od drzwi, poszedł donieść Księciu, że Strogowa niema w pałacu.

Był zmrok — była godzina druga w nocy. Ogarew przez parterowe okno zsunął się na taras. Szedł ku

rzece. Wyjął z kieszeni hubkę. Skrzeszał ogień - - rzucił na wody. Buchnęły płomienie... Bowiem to z rozkazu Ogarewa od dwóch dni Tatarzy wypompowywali z olbrzymich rezerwoarów pomiędzy Poszańskiem a miastem strugi nafty, które rozlewały się po rzece na prawo i na lewo i zbliżały się do miasta.

Angara, pokryta warstwą nafty, miała przynieść sama, szerzącym się słupem niebieskawego ognia, wrzącą fontanną, kolosalnymi zawojami dymu, miotającego iskry—niszczący pożar na przedmieścia skazanego na rzeź i zgubę miasta.

— Nakoniec! — wyrzekł z trjurfem Ogarew.

Pożar był hasłem. Od północy i południa Irkucka waliły armaty tatarskie. Obrońcy odpowiadali zaciekle na szturm, reżyserowany umiejętnie, zdający się groźnym, maskujący doskonale inne, w cichości i okolnie przedsiębrane pod przykryciem nocy, ruchy oblegających, sunące od obu brzegów Angary dwiema kolumnami. Dzwoniły teraz wszystkie cerkwie, głosząc przerażonej ludności niespodziewany pożar, zajmujący domy nadbrzeżne...

Ogarew cichaczem powrócił do swego pokoju. Oczekiwał chwili wejścia sojuszników do miasta, by z nimi się połączyć — osaczyć W. Księcia i głowę jego rzucić na piki tatarskie. Chwila triumfu i marzonej zdawna zemsty!

Ale gdy otworzył drzwi, wślizgnęła się za nim w pomroce postać kobieca.

— A, Sangarra! — zawołał radośnie.

Lecz to nie była Sangarra. To była Nadja.

.....

Pamiętamy krzyk oświetlonego naraz niebieskawym ogniem Strogowa, wyciągającego dłoń na płycie lodowej ku miastu. Temu krzykowi towarzyszył krzyk Nadji. To od krzesiwa zdrajcy zapłonęła Angara... Na-

dja dojrzała jego twarz okrutną i szpetną w nagłym błysku ognia...

Strogow pochwycił ją w ramiona. Poczul gorący powiew i zapach charakterystyczny płonącej nafty, wiedział, że ogień idzie sferą powietrzną i wrzenie wody nie rozpościera się głęboko. Objął silnemi ramiomy Nadję — nurkował — płynął z nią pod wodą — tam nieco dalej kry spłynęły — była przestrzeń wolna — wynurzył się — jeszcze chwilę płynęli oboje — wyszli na brzeg.

Stał się cud. Strogow był u celu. Stopą dotykał upragnionej ziemi Irkucka.

— Do pałacu gubernatora! — krzyknęła Nadja, Widziała wchodzącego w podwoje Ogarewa. Biegła za nim, niepomna sobie — niepomna w gniewie, że ślepiec ledwo za nią podążyć może, nie znając kierunku...

Przed pałacem była pustka. Oficerowie, służba, wszystko pobiegło tam, gdzie był pożar — gdzie wzywano ratunku.

.....

— Iwanie Ogarew! — krzyknęła Nadja.

Zdrajca drgnął. Kto go nazwał tutaj prawdziwem imieniem? Kto go znał? Czyj był ten obcy głos?

Miał jedno ocalenie. Zabić istotę, która poraz drugi i trzeci rzucała mu to jedno w twarz: „Iwanie Ogarew!” — które tu znaczyło: zdrajca!

Wyciągnął puginał — i ona miała nóż w ręku. Ale on go wytrącił. Już ją przyparł do ściany — widział jej twarz przerażoną w czerwonym blasku, który zaglądał od łun pożaru przez okno — ugodzi ją wnet śmiertelnie.

— Michale! — krzyknęła...

A on słyszał jej krzyk. Widać tym krzykiem się kierował. Bowiem już był w sali. Już stanął pomiędzy

zbrodniarzem i ofiarą, — jako ongi stanął między tą samą Nadją a niedźwiedziem gór Uralu!

— Nie lękaj się! — rzekł do niej.

— Strzeż się! On ma broń!...

„On widzi. A ty nie!... — wołała przerażona.

Ale ślepiec rzucił widzącego na podłogę. I on także miał nóż w ręku.

Cóż to znaczy?! Ogarew powstał drwiący. Poznał Strogowa. Z oślepieniem załatwi się w moment.

— Zamknij drzwi, Nadziu! Nie wołaj nikogo! Goniec cesarski nie potrzebuje pomocy. Da sobie sam radę z nędznikiem. No, podejdz, łotrze, jeżeli śmiesz!...

Ogarew skradał się, jak tygrys. Stąpał cicho. Nie wyda się szmerem. Zajdzie ślepcę niespodzianie z tyłu. Miał długi krzywy puginał. Tamten miał tylko krótki nóż syberyjski... Nadja struchlała. Czyż można było nie przewidzieć rezultatu boju w tak nierównych warunkach?

Ale ręce skrzyżowawszy na piersi, bez tchu śledząc walkę, zdumiona spostrzegła, że ślepiec brał górę nad widzącym, gorzej zbrojny nad zbrojnym lepiej, lew nad tygrysem. Lew był spokojny. Tygrys wściekły. Daremnie mierzył między oczy ślepcę. Nóż odbijał szpadę.

Ogarew drgnął. Zimny pot toczył mu się z czoła, pod którym nagle zaśniła błyskawica myśli.

— Ależ on widział! — krzyknął!...

I skulił się ze strachu przed tą myślą i padł. I odtoczył się skurczony w daleki kąt sali. Przed nim — stał wyprostowany — posągowy Strogow.

Posąg ślepcę poruszył się.. Szedł ku niemu:

— Tak! widzę... widzę krychę od knuta, którym nazaczyłem cię do śmierci. Broń życia. Nikczemniku godny wzgardy — oficer ofiaruje ci pojedynek, bo

byłeś oficerem rosyjskim, jak ja... Mój nóż wystarczy przeciw twojej szpadzie.

— Mój Boże! on widzi? Czy to możliwe?! — krzyknęła Nadzja.

A przed jej oczyma skrzyżowały się szabla i nóż. Ogarew ochłonął — wyciągnął szablę — szabla zagórować musi nad nożem. Jednak stal krótkiego noża trafiła z trzaskiem, potężnie, w stal długiej szabli. Szabla, wytrącona z rąk niegodnych, furknęła w powietrzu, upadła z brzękiem na posadzkę — nóż syberyjskiego myśliwca trafił w pierś zdrajcy.

Ogarew legł martwy.

W tej samej chwili drzwi się rozwarły. Na czele świty wszedł W. książę.

— Kto zabił tego człowieka? — spytał groźnie.

— Ja! — odparł Michał Strogow.

Oficer przyłożył lufę rewolweru do skroni zabójcy, gotów wypalić na rozkaz książęcy.

— Twoje imię? — spytał W. książę.

— Wasza Książęca Mość niech spyta raczej o imię zabitego.

— Znam je! To wierny sługa mego brata. To goniec cesarski.

— Nie! to Iwan Ogarew! To zdrajca!

— Iwan Ogarew — on?! A tyś kto?

— Michał Strogow!

ROZDZIAŁ XV.

E p i l o g:

Jak wyjaśnić to, co się stało? Nagłe przejrzienie fantazja? — nie! Cud? — nie! Prostu Michał Strogow nie był nigdy ślepym.

A więc cud! — boć był oslepiiony... Nie cud,

lecz fenomen przyrodniczy — zarazem fizyczny i moralny, który potwierdzi nauka.

Pamiętamy, że Marta Strogowa stanęła nawprost skazanego na oślepienie syna, wyciągając ku niemu ręce, że on na nią skierował ostatnie spojrzenie. Wszystkie łzy z jego serca spłynęły do oczu, które płakały mimo dumy — płakały nad zbolełą matką, nad zwichniętą misją, nad nieszczęśliwą ojczyzną. Wstrzymywane dumą nagromadziły się pod powiekami, a powstała z nich przy żarze przesuwanej szabli warstwa pary stanęła, jako obronna przegroda pomiędzy stałą a źrenicami. Znihilizowała upływ gorącego żelaza!... Był to ten sam efekt, który wydarza się, kiedy robotnik - giser, po pogrążeniu ręki w wodę zanurza ją w roztopiony metal bez żadnej krzywdy dla ciała.

Nikt-że o tem nie wiedział?

Owszem, wiedziała matka. Jej jednej tylko, gdy padła w rozpacz, zwierzył na ucho pocieszający sekret, który napełnił go radością nie tylko widzenia, lecz odzyskania w roli ślepeca wolności i dopełnienia misji, do ktorej prześladowcom zdał się już niezdolny — wiedział, że matka potrafi milczeć.

Czemuż jednak nie odkrył swej tajemnicy Nadzi? Dlaczego ją zwodził?... Potrzeba było, aby nikt dookoła nie odgadł ani na chwilę, że jego oczy widzą i śledzą swój cel daleki.

Najlżejszy gest nieostrożny młodej kobiety — taki, jakim porozumiewamy się z widzzącymi — starczyłby do zdemaskowania grającego rolę ślepeca. Trzeba było wziąć na siebie straszliwy ciężar udania i przed nią — należało wykorzystać, że złudziły ją zaczerwienione powieki, opalone rzęsy, zmieniony wygląd obolałej nieco rogówki.

I stał się jeszcze jeden fakt szczęśliwy właśnie dzięki największej podłości zdrajcy. Podstawił on

z drwiną otwarty list cesarski przed oczy mniemanego ślepcą.

A oczy wpiły się w tekst pełnego wagi piśma, czytały go chciwie, aż wrył się w pamięć. I Strogow — pozbawiony listu — jeszcze wędrował z uporem nadziei, że ważną wieść, ocalającą księcia i stolicę Syberji Wschodniej, przyniesie do Irkucka, zanim stanie w nim Ogarew.

Spóźnił się? — nie! przybył w sam czas, aby ukarać zdrajcę i przeszkodzić zamordowaniu księcia. Przybył w sam czas, aby usłyszeć następnie, że plan Ogarewa został zwichnięty, zdradzieckie najście Tatarów od strony portu Bolszaja sparaliżowane dzięki czujności Wasylego Fedora, który na czele korpusu — wiedziony instynktem — pozostał w miejscu, gdzie tumaniony przez zdrajcę W. księżę nie pozostawił zwykłej osłony. Przybył w porę dla Nadzi, aby rzucić ją w objęcia ojca — już nie wygnańca — ale uwieńczonego krzyżem zasługi z rąk książęcych Komendanta miasta Irkucka...

Cóż opowiedzieć wypada jeszcze?

Czy o tem, że w dwa dni potem nadeszły posiłki — wielka armja pod wodzą Generała Kisielewa, że hordy tatarskie odeszły od miasta, że Irkuck został ocalony, że pod jego murami rozegrała się wielka bitwa, że wojska Feofara - Chana poszły w rozsypkę, że zalew tatarski odstąpił, pozostawiając po drodze masy trupów... Te rzeczy należą już do dziejów — o tem czytelnicy przeczytać mogą w zbiorze korespondencji p. p. Joliveta do kuzynki i Blounta do „Daily Telegraph”. Albowiem obaj korespondenci, skoczywszy z tratwy w chwili właściwej, dotarli po krach do brzegu i unieśli cało swoje odważne głowy, aby zanieść je wkrótce po opisanych wyżej wypadkach do Chin. Pociągnęły ich tam echa wielkich przewrotów

i wojen domowych, które opisywali teraz, łącząc przyjaźnie swoje bogate obserwacje, a nie wprawiając w zdziwienie Europy odmiennością informacji—oka bez ucha i ucha bez oka!

A reszty czytelnik się domyśla,.. Czyż nie daje się zgadnąć, że Michał Strogow — obecnie faworyt W. Księcia — jaknajśpieszniej zadał Nadzi pytanie:

— Siostró! czy wyjeżdżając z Rygi zostawiłaś tam serce?—i usłyszał odpowiedź:

— Nie, bracie!

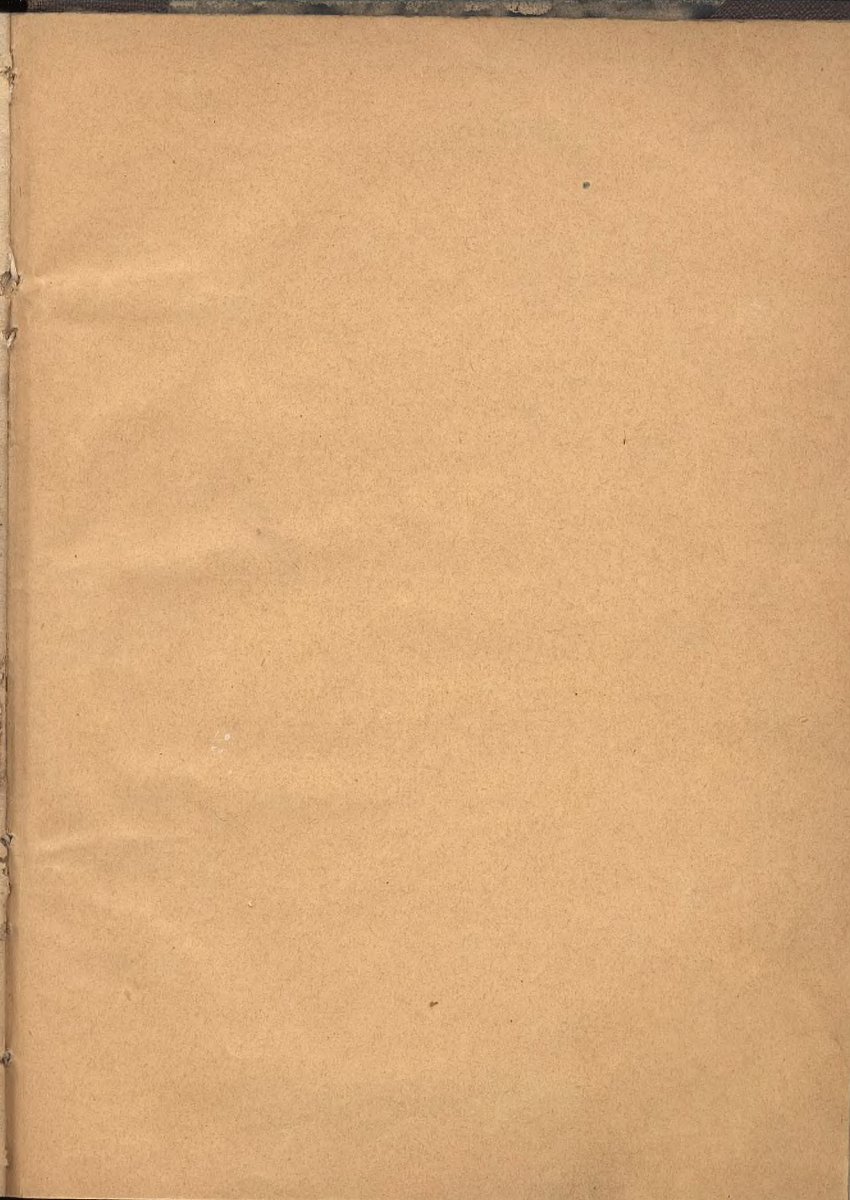
I że zaraz potem nastąpiło drugie pytanie:

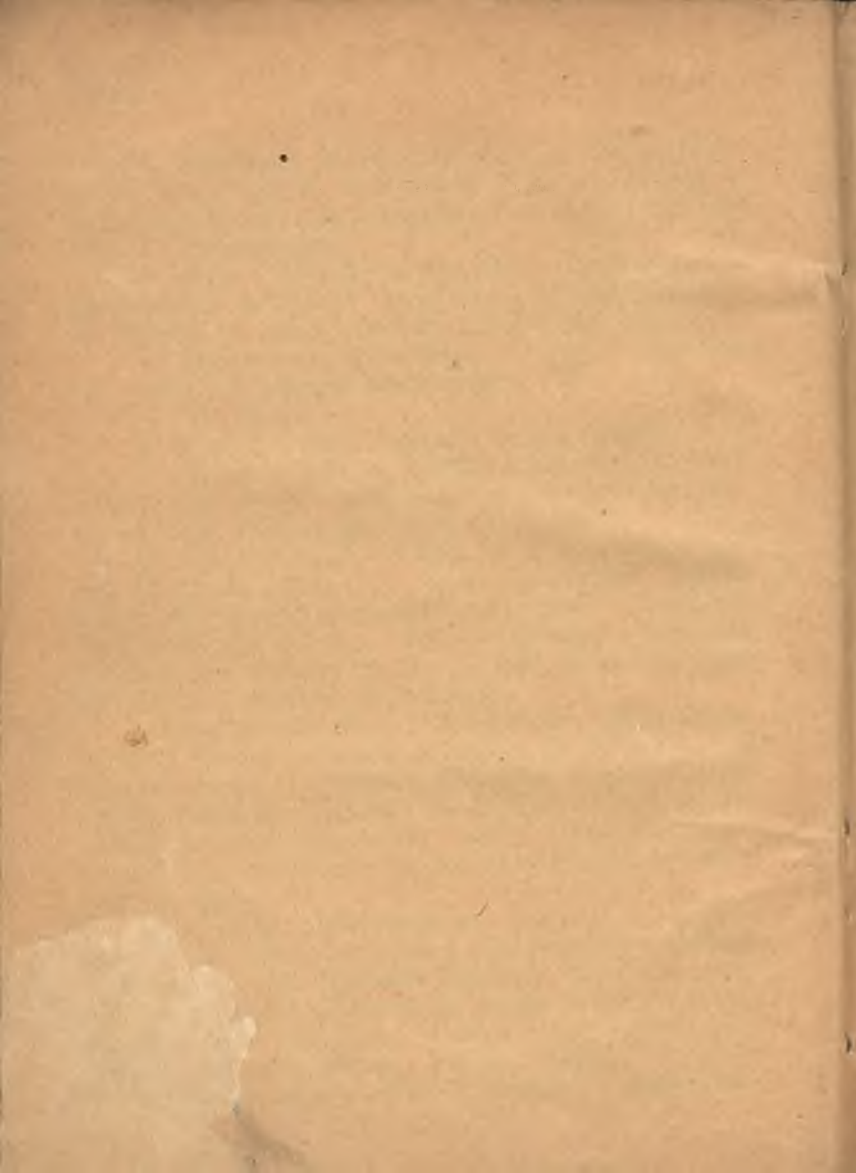
— To może już nie będziemy bratem i siostrą? i druga odpowiedź — milcząca, a wymowna: zarzucone na szyję Michała gorące rączki Nadzi.

Potem pocałunek — ślub, na którym oczywiście był W. Książę i cała jego świta w zwykłym blasku (tak przemijającym na ziemi) i cały sztab i osiedleńcy i wdzięczna zbawcy, który unicestwił knowania zdrajcy, cała ludność Irkucka — cała, o ile pomieścić się mogła w świątyni katedralnej...

Odprowadzały tłumy nowożeńców, wyjeżdżających do Europy. Jechali szczęśliwi do Moskwy wraz z powracającym z wygnania Wasylim Fedorem. Po drodze naturalnie zajechali do Omska, aby pozdrowić zawsze krzepką starą matkę Martę Strogową i opowiedzieć jej o sukcesie „gońca cesarskiego” i o swoim szczęściu.

A prawda!.. Zatrzymali się jeszcze w pobliżu rzeki Dinki. Odszukali pewien improwizowany grób na bezdrożu — grób Michała Pigasowa, nadali mu piękniejszy wygląd i postawili na mogile krzyż — na znak tego, że życie jest męką... i że w niem niewinni cierpią dla zbawienia innych, którzy osiągają kropelkę **szczęścia** za cenę wielkich bohaterstw i poświęceń!





24 -
357403/70

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000354172



I 319888